

Chris Bunch

Star Risk Sp. Z o. o.

Star Risk, Ltd.

Przetłóżył Radosław Kot

NSB

*Dla
tej prawdziwej Michelle Reese,
żeglarki, modelki,
mistrzyni swobodnego spadania,
impresaria,
oraz
Williamy i Steuena Courchesne,
którzy też niejedno potrafią*

1

Kobieta była wysoka, jasnowłosa i miała zielone oczy. Była też piękna, a jej ledwie istniejący kostium kąpielowy oraz kapelusz przeciwsłoneczny wyglądały na bardzo kosztowne.

Leżała wyciągnięta na brzegu basenu na dachu superluksusowego hotelu Shelburne. Nieregularnego kształtu basen wił się przez ogrodowe zarośla, a jego liczne zakola stwarzały iluzję prywatności.

Poza kobietą na dachu cieszyło się popołudniowym słońcem jeszcze kilkunastu innych mieszkańców hotelu oraz ich goście. Było tu kilka gwiazd medialnych, jedna czy dwie gwiazdy piosenki, pęczek prawników, paru menedżerów oraz pięciu czy sześciu wybitnie dzianych zamiejscowych, którzy czynili wszystkim zaszczyt, pokazując swe urodziwe fizjonomie.

Czterdzieści pięter niżej kotłował się niezauważenie miejski świat Trimalchio IV, którego obywatele robili swoje... albo dawali się wrobić.

Trimalchio IV miał to szczęście, że nie ciążyła na nim praktycznie żadna godna odnotowania historia. Zasiedlony został pierwotnie przez grupkę plutokratów Sojuszu, którzy ulegli czarowi umiarkowanego klimatu, kilometrów pustych plaż i malowniczych turni niedostępnych gór. Z początku bardzo ograniczali napływ pospólstwa, przyjmując jedynie kandydatów na służących oraz pracowników luksusowych sklepów, które nigdy nie cierpiały na brak klientów. Potem pojawiły się też restauracje, bary, hotele i wszystko inne, co jest potrzebne

bogaczom do wygodnego życia. Niemniej mieszkańców wciąż było niewiele, poniżej pięćdziesięciu milionów. Co ciekawe, podatki też były niskie, głównie dlatego, że pakiet opieki społecznej ograniczał się do biletu w jedną stronę na jakąś inną planetę. To był wspaniały świat, o ile miało się pieniądze. Jeśli nie... zawsze można było jeszcze głodować.

Krążący wkoło basenu strażnik czuł się w tym towarzystwie stary i gruby, choć miał niewiele ponad pięćdziesiątkę. Na biodrze ciążyła mu broń, chociaż zachodził w głowę, dlaczego właściciel hotelu kazał mu z nią chodzić. Przecież bogatym nigdy nic się nie przytrafia.

Spojrzał na opalającą się kobietę, zaryzykował uśmiech i zaraz poczuł się jeszcze starszy, gdy potraktowała go jak powietrze i wróciła do lektury. Zerknął na okładkę książki, spodziewając się jakiegoś monstrualnego czytadła, nosiła jednak tytuł *Matematyka przestrzeni n-wymiarowej i nowa teoria unifikacji*.

To z pewnością nie była jego liga.

Poszedł do windy, zjechał do holu i schronił się w pomieszczeniu ochrony, gdzie mrugał na niego tuzin projekcji ukazujących różne zakątki budynku.

Uznał, że spędzi tu resztę zmiany, nie narażając się na niemiłe spotkania przypominające nachalnie o jego wieku i nie najciekawszej aparycji.

Główne słońce zsuwało się już za horyzont, drugie właśnie wzeszło, było jednak małe i chłodne niczym świecąca odbitym blaskiem planetoida.

Goście porzucili basen i zjechali do swoich pokoi.

Niejaka M'chel Riss ziewnęła i spojrzała na zegarek. Teatralnie uniosła brwi, jakby się właśnie przekonała, że jest już spóźniona na spotkanie z kochankiem, wstała,

przecięgnęła niemal dwumetrowe ciało i złapawszy torbę z prawdziwej skóry, ruszyła do windy. Zza okularów przeciwsłonecznych uważnie śledziła kamery. Gdy obie, które miały w polu widzenia wejście do windy, obróciły się w bok, szybko skręciła i miękko, jak zawodowy sportowiec, zniknęła w małej wnęce między skrajem dachu a nadbudówką dźwigu.

Odczekała chwilę, ale obeszło się bez alarmu.

To była już jej trzecia doba w hotelu Shelburne i z przyczyn finansowych przedostatnia. Żałowała, że nie zostawi żadnego napiwku pokojówkom, ale pracująca dziewczyna nie może sobie pozwolić na rozrzutność.

Stała dalej w półmroku. W dole ulice migotały różnymi barwami, przywołując atmosferę karnawału.

Dwa razy ślizgacz przeleciał na tyle blisko Riss, że musiała zwalczyć odruch, aby się nie schylić. Chociaż była już tylko majorem w stanie spoczynku, dzięki ośmiu latom spędzonym w oddziałach szturmowych Floty Sojuszu wiedziała, że w takiej sytuacji najlepiej pozostać w bezruchu.

W końcu zrobiło się ciemno.

Riss wyjęła z torby kameleona, kombinezon maskujący, który włączył się, gdy przecięgnęła palcami po zamknięciu. Potrzebował tylko kilku sekund, aby się rozgrzać, po czym upodobił się kolorem do ceglastej ściany. Nie okrywał tylko dłoni i twarzy.

Wyszła z ukrycia i włożyła parę butów do wspinaczki. Następnie wyciągnęła z torby zaciski do „małpowania”, wytwornicę nici wspinaczkowej oraz kilka innych przedmiotów, między innymi szykowną suknię koktajlową, niezbędną do bezpiecznej ewakuacji z budynku.

Schowawszy większość z tego do kieszeni kombinezonu, potrząsnęła pustą torbą, która przypominała teraz plecak, tyle że z otworami na nogi, jak dziecinne nosidełko. Riss założyła go na plecy i wyjrzała za krawędź dachu. Zadrzała lekko na myśl, że nie będzie miała ani asekuracji, ani partnera do wspinaczki. Nie lubiła obowiązkowych w jej służbie ćwiczeń w górach.

Nie miała jednak wyboru.

Natrysnęła nić, zamocowała na niej zaciski i wysunęła się za okap. Obiecała sobie, że nie będzie się więcej wygłupiać i nie spojrzy drugi raz w dół. Jak spadniesz, to spadniesz, powiedziała sobie w duchu. Zostanie z ciebie mokra plama w modnym tu malinowym kolorze.

Wiatr kołysał nią lekko, gdy liczyła mijane okna. Trzy piętra niżej sięgnęła po wytwornicę nici i zrobiła pętlę na nici nośnej. Teraz miała w co wsunąć stopę.

Wyjęła z kieszeni mały palnik i zaczęła wycinać zrobioną z tworzywa szybę. Niewielkie okno nie zostało wyposażone w instalację alarmową. Nikt nie oczekiwał, że może być potrzebna, zwłaszcza na tej wysokości.

Palnik dawał bardzo słaby, na dodatek błękitny płomień, Riss zdawało się jednak, że wygląda on jak noworoczny fajerwerk. Gdy szyba była już podcięta z czterech stron, pchnęła ją delikatnie i kawał przezroczystego tworzywa pochylił się do środka. Ledwo zdążyła go złapać, nim wpadł do łazienkowego baseniku.

Dobrze. Nawet bardzo dobrze. Trafiła dokładnie tam, gdzie miała trafić. Drobną kwotą dla służby pokojowej nie poszła na marne.

Riss obróciła się w pętli i akrobatycznym ruchem wsunęła głowę i ramiona we framugę. Zawahała się jednak,

nim wyczepiła zaciski. Odcinała sobie w ten sposób drogę odwrotu, co wcale się jej nie podobało. Z drugiej strony, o ile rozpoznanie miało rację, powinna wyjść stąd bez trudu głównymi drzwiami, i to z dzieckiem prowadzonym za rękę.

Niemniej czy zdarzyło się kiedyś, aby rozpoznanie się nie myliło?

Do łazienki sączyło się światło nocnej lampki włączonej w sypialni. Nie odezwał się żaden alarm. Riss wyjęła niewielki pistolet i przeszła dalej. Sypialnia była większa niż cały dom, w którym dorastała.

Na łóżku spała dziewczynka. Akta klienta podawały, że ma ona dziewięć lat, trzy miesiące i dwa dni. Wkoło poniewierały się różne animatroniczne zabawki, jednak mała tuliła do piersi zwykłą lalkę z gałganków, która równie dobrze mogłaby należeć do jej babki.

W porządku. Wszystko zgodnie z planem. Teraz włożyć suknię, obudzić dzieciaka, a potem...

– Odlóż broń – rozległ się spokojny głos. – Odstąp od niej trzy kroki i stań nieruchomo. Oboje jesteście zawodowcami, więc nikt nie musi ginąć.

M'chel wzdrygnęła się, ale posłuchała.

Zza konsoli rozrywkowej wstał klęczący tam dotąd mężczyzna. Podeszedł kilka kroków w stronę Riss. Był trochę niższy od niej, wyglądał na sześćdziesiąt kilka lat, miał starannie ułożone siwe włosy, pomarszczoną, ale przystojną twarz. Był w smokingu.

W ręku trzymał blaster. Standardowy model Sojuszu, w tej chwili wycelowany w pierś Riss.

– Bardzo dobrze – powiedział. – Narobiłaś trochę hałasu przy wejściu. Ostrzegłaś mnie.

– Miałeś być w teatrze... – odpowiedziała Riss. – Zakładając, że jesteś jednym z jego ochroniarzy.

– Byłem – przyznał mężczyzna. – Jestem jednak znany z tego, że nigdy nie tkwię długo tam, gdzie wszyscy się mnie spodziewają...

Riss obserwowała go uważnie i gdy tylko wszedł na leżący przy łóżku bieżnik, wparła się stopami w grubą tkaninę i skoczywszy ku mężczyźnie, szarpnęła bieżnik do tyłu.

Siwy krzyknął i zachwiał się. Nim zdążył odzyskać równowagę, Riss wykopnęła mu broń z dłoni i uderzyła go w mostek. W ostatniej chwili nieco wyhamowała impet.

Ochroniarz stracił dech w piersi i otwierając szeroko usta, złożył się we dwoje.

Riss wyjęła mały pojemnik z gazem, pochyliła się nad ciężko łapiącym powietrze mężczyzną i wstrzymując oddech, prysnęła mu usypiaczem w twarz. Szarpnął się raz i drugi, ale po chwili znieruchomiał. Obudzić miał się dopiero za osiem godzin.

Zdyszana Riss podniosła broń i rozejrzała się uważnie, nikt jednak nie przyszedł ochroniarzowi z odsieczą.

– Kim jesteś? – usłyszała piskliwy głosik.

Dziewczynka się obudziła. Siedziała na łóżku i wcale nie wyglądała na wystraszoną.

– Cześć, Debra – odparła M'chel, możliwie spokojnie i przyjaźnie. – Chcesz wrócić do mamy? To ona mnie przysłała.

– Domyślam się – stwierdziła rzeczowo dziewczynka. – Bo wiesz, nie ty pierwsza próbujesz mnie ratować. Którędy wyjdziemy?

– Drzwiami dla obsługi na korytarz, potem do windy i

dalej normalnie, jakbyśmy były gośćmi hotelowymi. Zaraz włożę suknię...

– To nie oknem? – Mała była zawiedziona. – Słyszałam, jak drapałaś się po ścianie, a potem weszłaś do mojej łazienki.

M'chel pomyślała, że będzie musiała dopracować techniki cichej wspinaczki.

– Mam nadzieję, że nie oknem – odparła.

– Szkoda, kurde. To byłoby klawo.

Zapadła chwila ciszy.

– To jak? – spytała Riss, gotowa w razie potrzeby potraktować dzieciaka gazem.

– Zastanawiam się. Gdy ostatni raz widziałam mamusię, nie była dla mnie miła.

Mała suka, pomyślała Riss.

– Ale chyba z tobą pójdę – zdecydowała dziewczynka. – Tatuś jest dla mnie coraz gorszy, jakby mu odpierdoliło. Nigdzie mnie nie puszcza i na nic nie pozwala. – Nie wypuszczając lalki, wstała zdecydowanie z łóżka. – No, to chodźmy, zanim wróci tatuś ze swoimi goryłami.

Riss podeszła do drzwi i ujęła klamkę. Przyklęła i pochyliwszy głowę do poziomu podłogi, wyjrzała ostrożnie na korytarz. Zmeła w ustach ciężkie przekleństwo.

Na drugim końcu korytarza ujrzała dwóch byczków w ciemnych okularach. Niby rozmawiali sobie bez troski, ale na milę można w nich było poznać ochroniarzy.

– Zmiana planów – szepnęła. – Będiesz miała swoją wspinaczkę.

– Klawo! – pisnęła radośnie dziewczynka.

Riss kazała jej włożyć buty i wskazała torbę. Mała zdumiała się, ujrawszy otwory na nogi, ale weszła do niej

ochoczo.

M'chel wstała i lekko dociągnęła paski, szacując ciężar małej. Dziewczynka ważyła ledwie połowę tego, co marine zwykle musi nosić w plecaku.

Ruszyła ku łazience.

– Czekaaj! – syknęła Debra. – Moja lalka.

M'chel opanowała się, aby nie warknąć, i podała jej szmaciankę, po czym podeszła do okna, wypuściła z pół metra nici, przykleiła ją do parapetu i zsunęła torbę z pleców.

– Teraz wyjdę na zewnątrz – powiedziała. – Ty wsuniesz stopę w tę pętlę i pójdziesz za mną. Potem oprzesz się na kolejnej pętli. Widzisz ją?

Debra pokiwała głową. M'chel wypełzła przez okno, które było zbyt małe, aby mogła się przez nie przecisnąć z Debrą na plecach. Dziewczynka wyszła rakiem i zawisła obok Riss. Gdy spojrzała w dół, po twarzy przebiegł jej grymas niepokoju.

– Nie patrz w dół, do cholery! – rzuciła M'chel. – A jeśli mnie orzygasz, twoja matka będzie musiała kupić mi nowe ubranie.

Debra zacisnęła usta i bez słowa skinęła głową.

Riss włożyła torbę na plecy, chociaż gdyby spytano ją, jak to zrobiła, nie umiałaby odpowiedzieć.

Wpięła puszkę z nicią w jeden z zacisków i przesunęła zapadkę na stałe wydzielanie. Przykleiła koniec nici do ściany i zaczęła powolny zjazd.

Po chwili zaryzykowała spojrzenie pod siebie. Zostało im jeszcze z pięćdziesiąt metrów.

– I co, podoba ci się? – szepnęła.

– Nie... nie tak bardzo, jak myślałam – wyjąkała Debra.

– Trzymaj się, mała. Jeszcze chwila i poczujesz ziemię pod nogami.

W końcu Riss musnęła stopami bruk otaczającej hotel ścieżki i zaraz stanęła pewnie, odcięła nić i czym prędzej ruszyła ku pobliskiej alejce, gdzie miała czekać w swoim ślizgaczu mamusia smarkuli. Kątem oka dostrzegła, że portier przy drzwiach zgiął się przed kimś w ukłonie, ale nie obejrzała się, tylko przyspieszyła kroku.

Ślizgacz czekał.

Mamusia, grubsza wersja córeczki, pisnęła radośnie i porwała Debrę w objęcia. Dziewczynka poddała się temu bezwładnie.

– Udało się pani! – zawołała klientka.

– Jasne, że tak – odparła spokojnie Riss. – Przecież powiedziałam, że tak będzie, prawda?

– Tyle pani zawdzięczam, że sama nie wiem... – paplała kobieta. – Zaraz jutro z rana zrobię przelew i może być pani pewna, że dodam znaczącą kwotę.

M'chel poczuła ukłucie niepokoju.

2

Dwa tygodnie później siedziała w kafejce nad kanałem i spoglądała z zadumą na croissanta oraz herbatkę ziołową, które miały jej wystarczyć do wieczora. Starła się zachować pogodę ducha, wszystko jednak sugerowało, że mężczyzna, który z takim entuzjazmem zapewniał, że zamierza ją wynająć, jednak się nie zjawi.

I to by było na tyle w kwestii jej sloganu reklamowego „Sprawy niewykonalne załatwiam od ręki, na cuda potrzebuję trochę czasu”.

Co dalej?

Nie miała żadnych pomysłów na przyszłość, wróciła więc myślami do przeszłości.

Czy naprawdę byłoby tak źle, gdyby została w Marines i wzięła przydział sprokurowany przez tego dupka pułkownika, któremu nie chciała „asystować” w podróży inspekcyjnej na pewną diabło rozrywkową planetę?

Owszem, byłoby źle. Sprawdziła, co to za garnizon. Chodziło o stację orbitalną krążącą wkoło jakiegoś gazowego giganta z załogą w sile zaledwie kompanii. Najgorsze z możliwych zadupie.

Skoro tak, to może jednak powinna spakować koronkową koszulę nocną i przyjąć wcześniejszą propozycję pułkownika? Z paskudniejszymi od niego lądowała w łóżku.

Coś ją ścisnęło w żołądku. Owszem, bywali gorsi, ale zawsze wybierała ich sama i wołała już klepać biedę, niż żeby się to zmieniło.

Brzuch znów o sobie przypomniął. Jesteś dużą, zdrową

dziewczyną, powiedziała sobie. Myślisz, że długo pociągniesz na słodkim pieczywie i herbacie?

Ale nie. Nawet nie myśl o tych ostatnich kredytach w pasie pod ubraniem. I nie zgaduj, z łaski swojej, co tym razem podadzą w jadłodajni dla ubogich w roli mięsa. Nikomu jeszcze się to nie udało i lepiej tego nie próbować.

I nie zamartwiaj się, jak przekradniesz się do swojego pokoju w tym beznadziejnym przybytku hotelowym i co skłamiesz, spotkawszy właściciela, żeby ci pozwolił spędzić tam jeszcze jedną noc.

M'chel przeczesła palcami włosy. Dalej, mózgownico, rusz konceptem, pomyślała. Nigdy się nie poddawałaś.

Nigdy jeszcze nie było tak głodno, odparł jej wewnętrzny głos.

Na sąsiednim stoliku stał terminal sieci i Riss rozważyła, czy nie przejrzeć ogłoszeń. Może na Trimalchionie ktoś szuka kobiet do pracy, która nie wymaga ani specjalistycznego wykształcenia, ani kształtów do specjalnego wykorzystania. W tej chwili zadowoliliby się nawet posadą kelnerki. Tylko kto zatrudni kelnerkę, której doświadczenie zawodowe ogranicza się do biegłego otwierania połowych racji żywnościowych.

Nagle do ogródka wszedł mężczyzna, którego z miejsca poznała. Wolałaby jednak, żeby on jej nie rozpoznał, był to bowiem ochroniarz Fal'ata, ten sam, którego dwa tygodnie wcześniej obezwładniła kopnięciem i na dodatek potraktowała gazem.

On jednak dostrzegł ją, uśmiechnął się i ruszył prosto do jej stolika.

Riss wsunęła dłoń za cholewkę buta, wyciągnęła mały pistolet i wymierzyła go w mężczyznę pod blatem.

Mężczyzna zauważył jej ruch, uniósł ręce z otwartymi dłońmi i odczekał chwilę bez ruchu.

M'chel kiwnęła głową. Skoro to ona trzymała go na muszce, mogli porozmawiać.

Gość stanął przy jej stoliku i uklonił się, wciąż trzymając ręce na widoku.

– Friedrich von Baldur – przedstawił się. – Do usług, panno...?

Riss podała mu swoje nazwisko.

– Mogę się przyłączyć? – zapytał.

– Dlaczego nie?

Baldur usiadł.

– Dziś spotykamy się w znacznie miłszych okolicznościach niż ostatnio – zauważył.

Riss zmusiła się do uśmiechu. Tymczasem w ogródku pojawiła się kelnerka z tacą uginającą się pod ciężarem jedzenia. Zauważyła Baldura, podeszła do niego i postawiła tacę na blacie.

Mężczyzna zajął się płaceniem, M'chel zaś starała się nie patrzeć na tacę. Kątem oka dojrzała jednak dzbanek kawowy, parujące tosty z masełkiem, omlet, kiełbaski i sery.

Baldur zauważył jej grymas, ale zinterpretował go po swojemu.

– Wiem, że nazbyt folguję podniebieniu – powiedział. – Z trudem przybieram na wadze, powinienem jednak jadać raczej tak jak ty.

M'chel spróbowała przybrać obojętny wyraz twarzy, ale niezbyt jej się to udało.

Baldur w końcu zrozumiał.

– Aha – mruknął. – Słyszałem, że była pani Fal'at

niechętnie wywiązuje się ze swoich zobowiązań. Wyraży współczucia. W sumie jesteśmy w podobnej sytuacji, tyle że ja nie wyleciałem z roboty bez odprawy. Całkiem niezłej, biorąc pod uwagę okoliczności – dodał i skinął na jedną z kelnerek.

– Możemy zobaczyć menu? Moja przyjaciółka jest głodna.

– Nie – zaprotestowała M'chel, chociaż ślina napływała jej do ust. – Nie mogę...

– Możesz – stwierdził zdecydowanie Baldur. – W zamian poproszę cię tylko o to, żebyś sama kiedyś poratowała innego żołnierza w potrzebie.

M'chel wiedziała, że powinna się sprzeciwić, ale nie miała siły. Zamówiła sadzone jajka, sok, tost z ziarenkami zbóż, ale bez masła, i owoce.

– Dobrze – pochwalił ją Baldur. – Śmierć głodowa jest paskudna.

– Skąd wiesz, że jestem żołnierzem? – zapytała.

– Nie jest tajemnicą, szanowna panno Riss, że mało kto w naszym fachu nie ma za sobą wojskowego przygotowania. Poza tym żaden amator nie zaryzykowałby takiego zejścia z dachu.

– Chyba powinnam podziękować.

– Jeśli można, zajmę się śniadaniem – zauważył Baldur.

– Tosty mi ostygną.

Skinęła głową i Baldur wziął się do roboty. Chwilę później zjawilo się także jej zamówienie i M'chel zapomniała o całym świecie. Najchętniej rzuciłaby się na jedzenie gołymi rękami, zdołała się jednak opanować, chociaż oczyszczenie talerzy nie zabrało jej więcej niż kilka minut.

– Mogę spytać o twoje perspektywy zatrudnienia? – odezwał się Baldur z lekkim uśmiechem, gdy także skończył jeść.

W pierwszej chwili Riss chciała skłamać, ale właściwie dlaczego miałyby to robić?

– Jeśli ta dziwka nie zapłaci mi za wyciągnięcie jej bachora, będzie ciężko. Miałam spotkać tu kogoś w sprawie pracy, ale drań się nie zjawia.

– Może i lepiej – powiedział Baldur. – Kontrakty kurierskie sprowadzają się zwykle do przewożenia cudzych łupów albo narkotyków. Nie, żebym miał coś przeciw temu, ale głupio wpaść z czymś takim, nie mogąc nawet nikogo wydać, żeby sobie kupić łagodniejszy wymiar kary. Mamy niewdzięczne zajęcie.

– Może – odparła Riss. – Ale bywa jeszcze gorzej.

– Zawsze może być gorzej. Czy mogę spytać, jakie masz przygotowanie?

M'chel streściła w paru zdaniach przebieg swojej kariery.

– Nieźle – mruknął Baldur. – Zwłaszcza z tym przydziałem do rozpoznania i trzema desantami bojowymi. Nawąchałaś się prochu.

– Może teraz ty uchylisz rąbka tajemnicy? – spytała wyczekująco M'chel.

– Nie mam wiele do powiedzenia. Pięć lat temu odszedłem z Floty Sojuszu w stopniu pułkownika, bo moja kariera nie przebiegała tak, jak bym sobie życzył. Mam uprawnienia na większość statków kosmicznych, zaliczyłem standardowy zestaw szkoleń i staży na różnych stanowiskach. Wprawdzie po naszym poprzednim spotkaniu możesz powątpiewać w moje słowa, jednak znam się też trochę na sztukach walki.

– Rozumiem – powiedziała Riss, wstając z wolna. – Wielkie dzięki za poczęstunek, ale powinnam się zbierać. – Uśmiechnęła się krzywo. – Muszę zdobyć pieniądze na hotel.

– Po prawdzie przyszedłem właśnie w tej sprawie – stwierdził Baldur. – Jak już wiesz, szybkie decyzje to moja specjalność. Co powiedziałaś na posadę?

– Jaką?

– Partnera w pewnym przedsięwzięciu... oczywiście na okres próbny. Chodzi o moją firmę. Nazywa się Star Risk. To spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Potrzeba mi doświadczonych agentów terenowych.

Riss aż otworzyła usta. Nie zamykając ich, wpatrzyła się zdumiona w Baldura.

– Lepiej porozmawiajmy o tym w moim biurze – dodał. – Tam wyjaśnię, o co mi chodzi.

Budynek był wybitnie nowoczesny, w stylu zwanym nieważką wolną formą. Błyszczące stalowe dźwigary wyrastały ku niebu zygzakowatą konstrukcją, która nie stanowiła żadnego wsparcia dla lekkich, rozmieszczonych chaotycznie modułów poszczególnych kondygnacji. Riss czytała kiedyś artykuł o tej nowince architektonicznej i wiedziała, że tak naprawdę cały, liczący pięćdziesiąt pięter gmach stoi jedynie dzięki generatorom antygravitacyjnym, które na wszelki wypadek wyposażono w awaryjne źródła zasilania.

Windy były zwykłymi platformami wiszącymi na pajęczych linach, stanowiących w rzeczywistości tylko dekorację. I tutaj wszystko opierało się na antygravitacji.

Baldur i Riss wysiedli na czterdziestym trzecim piętrze, na wprost wysokich dwuskrzydłowych drzwi, które były

chyba z prawdziwego drewna. Widniał na nich niewielki napis: STAR RISK, LTD.

– Kodeks handlowy nie przewiduje już czegoś takiego jak spółka z ograniczoną odpowiedzialnością – rzekł Baldur. – Jednak na Trimalchionie wystarczy płacić terminowo podatki, aby nikt nie wnikał, jak nazwałeś swoją firmę i dlaczego właśnie tak. A ja po prostu lubię to określenie.

– A dlaczego Star Risk? – spytała M'chel. – Nazwa jest efektowna i budzi dreszczyk, ale czy naprawdę chodzi tu o jakieś ryzyko?

– Przede wszystkim ma przyciągać uwagę – wyjaśnił Baldur. Przyłożył palec na płytce zamka i drzwi stanęły otworem. – Pod drewnem jest stalowa płyta, która powinna wytrzymać przynajmniej dwa bezpośrednie trafienia z blastera – dodał.

Przekroczył próg i odchrząknął przepaszająco. M'chel weszła za nim i ledwie ujrzała wnętrze, dostała napadu śmiechu.

– Teraz już rozumiem – powiedziała po chwili, opanowawszy wesołość. – Rozumiem, dlaczego proponujesz mi spółkę.

Na podłodze biura leżał kosztowny dywan, w oknach wisiały jeszcze droższe pionowe żaluzje. Poza tym pomieszczenie było całkiem puste. Brakło biurek, kompów, widkomów, o pracownikach nie wspominając.

– Pieniądze od Fal'ata nie starczyły na nic więcej? – spytała.

– To niezupełnie tak – odparł Baldur. – Projektant tego budynku, który jest też jego właścicielem i mieszka tu w penthousie, był mi winien przysługę. Wynajął mi więc

nieodpłatnie biuro na rok. Inna sprawa, że ma problemy ze znalezieniem najemców gotowych mieszkać czy pracować w tej chwiejnej etażerze. Mam ją trochę ożywić.

– I uważasz, że Star Risk tego dokona? Jak, jeśli można spytać?

– Cóż, konto firmy nie pęka w szwach – westchnął Baldur. – Star Risk ma jednak przyszłość. Sojusz nie przykładają wielkiej wagi do egzekwowania prawa, toteż wielu ludzi sądzi, że liczy się tylko wola silniejszego. Wola tego, kto ma broń w ręku albo lepszych prawników. W sumie zwykła sprawa. Słaby nadzór państwa powoduje, że ludzie zaczynają szukać sprawiedliwości na własną rękę.

– Na przykład w Star Risk? – spytała Riss.

– W zasadzie tak. Z tą poprawką, że nam nie chodzi o sprawiedliwość. Prawdziwy najemnik pracuje dla tych, którzy mu porządnie zapłacą.

– Nie wiem, czy mam ochotę pracować dla złych chłopców – mruknęła Riss.

– Na wszelki wypadek opracowałem elastyczną skalę stawek – dodał Baldur. – Zależną od tego, kto i z czym się do nas zwróci.

– Pieniądz ważniejszy od moralności? – spytała M'chel.

– Aż tak bym tego nie ujął – skrzywił się Baldur. – Ale z drugiej strony zbilansowany rachunek bankowy sprawia, że człowiek śpi spokojniej.

– Dlaczego więc przed drzwiami nie widzę kolejki?

– Zapewne nie wszystko dość dobrze przemyślałem – przyznał Baldur. – Słyszałaś o takiej firmie jak Cerberus Systems?

– Nie. Chociaż... – Zastanowiła się. – Tak. Kilka miesięcy temu widziałam jakiś program na jej temat. To

prywatna firma ochroniarska?

– Nie tylko – stwierdził kwaśno Baldur. – Zajmuje się też wywiadem, doradztwem militarnym, wzniecaniem zamieszek, atakami giełdowymi i czym tam jeszcze. Chodzą słuchy, że potrafi posunąć się jeszcze dalej.

– Jak daleko?

– Mówi się, że tym dalej, im więcej klient gotów jest zapłacić. Morderstwo na zlecenie nazywają podobno aktem końcowym i dla mnie to już przesada. Nie lubię takiej roboty, bo jeśli coś idzie nie tak, to obrywa bezpośredni wykonawca, a nie ten, kto złożył czy przyjął zlecenie. Poza tym Cerberus ostro zwalcza konkurencję. Nie tylko rozpowszechnia deprecjonujące pogłoski, czasem nawet wysyła swoich ludzi, żeby spieprzyli cudzą operację. Nawet gdy sam nic na tym nie zyska. To jeden problem. Drugi jest taki, że nie ja jeden wpadłem na taki pomysł. Obecnie każdy troglodyta, którego stać na broń i licencję, mieni się specjalistą od rozwiązywania sytuacji kryzysowych.

M'chel wbiła spojrzenie w dywan.

– Przepraszam, nie myślałem o tobie – powiedział Baldur.

– Nie musisz przeproszać. I tak wiem, że potrafię więcej niż przeciętny jaskiniowiec. Chcę jednak jeszcze o coś cię spytać. W wojsku specjalizowałam się w analizie celowej i interesuje mnie nie tyle moralność tych z Cerberusa, ile to, czy są dobrzy w tym, co robią.

– Są – niechętnie przyznał Baldur. – Cerberus to duża firma, stać ich więc na wielu agentów operacyjnych, dobre wyposażenie i porządne przygotowanie każdej roboty. Dobrze płacą i chętnie przyjmują nowych pracowników. Po prawdzie jestem zdumiony, że dotąd cię nie skaptowali. U

podstaw ich działalności leży przekonanie, że każdy człowiek ma swoją cenę i że nic więcej się nie liczy. W tych czasach to całkiem praktyczne podejście.

– Jasne – odparła Riss. – A jakie mają słabe strony?

Baldur zastanowił się.

– Jak każda duża firma są nieruchawi – odrzekł po chwili – i gdy już się wezmą do roboty, trudno im cokolwiek zmienić w przyjętym planie. No i nie potrafią się wtedy przyznać, że ich pierwotna ocena sytuacji była błędna. Rzecz jasna panuje u nich biurokracja. Im dłużej ktoś dla nich pracuje, tym większym szacunkiem się cieszy i nie grozi mu zwolnienie, chyba że popełni całą serię rażących błędów. Ich radzie dyrektorów brakuje elastyczności. Po prostu chcą spokojnie robić swoje i stosują wciąż tę samą taktykę, bo sprawdziła się już w sytuacjach, które wydają im się podobne do bieżącej. Tak to wygląda. Myślisz, że uda ci się coś z tego wyciągnąć?

– Nie wiem – mruknęła Riss. – Ale cokolwiek wymyślę, raczej nie pogorszę sytuacji.

– Dobrze. A nawet lepiej. Samotne walenie głową w mur bardzo deprymuje. – Baldur podszedł do bocznych drzwi i otworzył je szeroko. – Wspomniałaś, że niezbyt masz gdzie mieszkać. Tu będzie twoje biuro. – Przeszedł kilka kroków i uchylił inne drzwi. – To mój pokój – powiedział, wskazując nieduże pomieszczenie ze składaną pryczą, wieszakiem na ubrania, małą lodówką i zgrabną kuchenką. – Jak widzisz, rozumiem twój problem.

Riss zawahała się, co musiało się odmalować na jej twarzy.

– Wszystkie drzwi mają zamki – dodał pośpiesznie Baldur. – Myć możesz się w jednej z dwóch łazienek, które

tu mamy. Dwie przecznice dalej jest sklep z używanymi rzeczami, gdzie na pewno dostaniesz jakieś legowisko i wszystko, co niezbędne. Nie musisz się mnie obawiać. Nigdy nie wydymałem nikogo, z kim pracowałem. W każdym razie nie dosłownie – dodał po chwili zastanowienia.

M'chel rozważyła za i przeciw. Na razie nie darzyła Friedricha von Baldura nawet cieniem zaufania. Z drugiej strony nie uśmiechał się jej powrót do zapchlonego hotelu. Wolałaby też uniknąć spotkania z jego zarządcą. I podejrzanego żarcia z darmowej kuchni z rzadka przeplatane słodkim pieczywem.

– Nie mam nic do stracenia – powiedziała w końcu, wyciągając rękę. – Niech będzie.

– Na pół roku – stwierdził Baldur.

– Na pół roku – powtórzyła i nowy pracodawca uściskał jej dłoń.

3

Dmitri Herndon był szczęśliwy. Spocony i zmęczony, ale szczęśliwy.

Popychał wózek z rudą ku swemu rozświetlonemu statkowi. Wózek był dość ciężki, żeby starczyło na opłacenie rachunku w Transkootenay i wynajęcie sprzętu na kolejne sześć samotnych tygodni w pasie asteroid. I pewnie uda się jeszcze coś wysłać siostrze na Lorraine VII. Na dodatek ładownia jego przebudowanej z jachtu krypy była w połowie pełna jeszcze innych cennych metali.

Co więcej, miał wrażenie, że trafił na tej zmurszałej asteroidzie na ślad zasobnego w diamenty komina wulkanicznego. Jeśli się nie mylił, mógł się stać nieco bogatszy niż wielebny Joseph Smith.

Podobno ten pas asteroid był pozostałością po rozpadłej planecie. Jeśli tak, dobry Bóg zbytnio się nie postarał, pomyślał gorzko Herndon, patrząc na czarne niebo usiane tysiącami jasnych punktów, które wcale nie były gwiazdami. Niemniej, gdyby dobry Bóg w ogóle nic nie zrobił, Herndon nie miałby tu czego szukać i wciąż tkwiłby na Lorraine, ucząc dzieciarnię chemii.

Wyobrażał sobie wówczas, że górnicy pracujący w odległych układach są krzepcy, skorzy do bitki i z reguły brodaci. Obecnie mógł się pochwalić ledwie brodą, którą wyhodował, aby trochę mniej przypominać nauczyciela, mimo to wciąż pasował do stereotypowego wizerunku belfra.

Porzucił poprzedni zawód, marząc o bogactwach, i gdy rozgorzała kolejna gorączka poszukiwań, skierował się do

tego układu. Przepracował tu już sześć miesięcy. Nie oczekiwał, że będzie to aż tak niebezpieczna robota. Polegała głównie na rozmieszczaniu i odpalaniu ładunków wybuchowych, co nieostrożnemu groziło rozsmarowaniem po całej okolicy. Gdy nie bawił się w małą baryłkę prochu, rozbijał duże kamienie na mniejsze i sprawdzał ich skład podręcznym analizatorem. Poza tym musiał coś jeść i pilnować, aby statek nie zmienił się przedwcześnie w kupę dymiącego złomu.

Zastanowił się, co by zrobił, gdyby trafił na diamenty.

Byłby naprawdę bogaty.

Najpierw dałby statek do stoczni, aby zrobili tam porządek z jego cierpiącym na czkawkę napędem pomocniczym...

Chociaż nie. Poszukałby jakiegoś żóltodzioba, co świeżo przyleciał do układu Foley, i przekonał go, że ta łajba jak nic przyda mu się do poszukiwań. Ciągłe przybywało tu takich wiecznych górników, na zawsze uwieczonych między asteroidami.

Potem kupiłby nowy statek i...

Nie. Wykupiłby swój kontrakt i jeśli starczyłoby mu pieniędzy, przeszedłby na emeryturę. Skończyłby z całą tą szarpaniną i osiadł w jakimś cichym zakątku. Kupiłby tam porządnego kompa i spędził resztę życia na badaniu powiązań między alchemią i prawdziwą chemią.

Dobrze, aby to była planeta z zasobną biblioteką i jakimś życiem nocnym. Nauczyciele nie muszą być samotni. Zwłaszcza bogaci nauczyciele.

Pomyślał o Trimalchionie IV. Widział go w wiadomościach, słyszał wiele o panującej tam dekadencji, sam jednak nigdy tam nie był.

Zbliżając się pewnymi, dziesięciometrowymi skokami do statku, pozwolił sobie na chwilę marzeń. Dziewczyny. Wysokie dziewczyny z tamtejszych kabaretów i salonów. Wysokie blondyny. No, może też brunetki. Uśmiechnięte, skąpo odziane, gotowe dać się skusić rozpalającym żądze diamentom.

Szczęściem starczyło mu rozumu, aby zarejestrować swoje prawa do tego kawałka skały, ledwie przywiózł z niego pierwszy ładunek rudy. Miał więc mnóstwo czasu, aby przebadać go do głębi i sprawdzić, jak jest z tymi diamentami.

Odsunął osłonę zewnętrznego panelu kontrolnego i otworzył właz. Potem wepchnął wózek do środka i przesypał rudę do ładowni.

Zamknął właz od wewnątrz i wszedł do śluzy. Gdy tylko wypełniła się powietrzem, uchylił wewnętrzne drzwi, podniósł przesłonę hełmu i skrzywił się, jak zawsze po powrocie z próżni. Kilka godzin oddychania suchym i przetwarzanym na bieżąco powietrzem ze skafandra sprawiło, że zapomniał o panującym w kabinie smrodzie. Jego głównymi składnikami były wonie po niewprawnym kucharzu i zwykły zastarzały odór ludzkiego ciała.

Uznał, że może sobie pozwolić na łyczek śliwownicy. Tylko jeden i dopiero gdy sprawdzi, czy statek nie zgotował mu kolejnych mechanicznych niespodzianek.

W jednym z dwóch foteli antyprzeciążeniowych siedział jakiś mężczyzna. Był rosły, miał starannie przystrzyżoną brodę i wyglądał na odprężonego. W rękę trzymał Master. Uniósł go i wycelował w Herndona.

– Mogłem po prostu zabrać ci łajbę i zostawić, żebyś pooddychał próżnią – powiedział. – Ale nie jestem taki.

Herndon słyszał o tutejszych rabusiach, zwanych rajderami, miał przyjaciół, którzy padli ich ofiarą. Postanowił, że jego nigdy to nie spotka. Gdy ostatnio uzupełniał wyposażenie, kupił pistolet, który przymocował taśmą pod stołem nakresowym.

Uśmiechnął się lekko i uniósł ręce, po czym rzucił się szczupakiem pod odległy o dwa metry stół.

Nie dotarł do niego żywy.

Brodaty mężczyzna zaklął głośno i wypalił dwa razy. Trafił Herndona w bok. Ciało uderzyło głową w blat.

– Jasna cholera, musiałeś mnie do tego zmusić? – mruknął, marszcząc nos. W kabinie śmierdziało palonym mięsem.

Dmitri Herndon nie odpowiedział.

4

– Może to? – spytał Friedrich von Baldur, spoglądając na ekran wygrzebanego gdzieś archaicznego kompa. Udało mu się także zdobyć dwa składane krzesła i stół, które zdołały obecnie główne pomieszczenie biura. Zdołał ponadto wskrobać trochę grosza na widkom, który zainstalował w swoim sypialnianym gabinecie. – „Potrzebni doradcy ds. tajnych działań. Rozwijający się prężnie układ trapiony przez wewnętrznych i zewnętrznych wrogów pilnie poszukuje fachowców zdolnych zaplanować i przeprowadzić szereg operacji specjalnych. Lehigh jest”...

– Zapomnij o tym – przerwała mu Riss. – Lehigh zamieszcza to ogłoszenie od lat. Marzą im się szwadrony śmierci.

– Jeśli nie chodzi o mordowanie wdów i sierot, co może wywołać koszmary senne, nie miałbym wielu zastrzeżeń.

– A ja owszem – odrzekła Riss. – Ale nie o to chodzi. Gdy byłam jeszcze w Marines, zgłosili się do nas za zgodą Sojuszu. Też szukali doradców i obiecywali, że gdy tylko ich rząd okrzepnie, zgłoszą akces do Sojuszu. Wysłaliśmy tam pododdział zwiadowczy. Miałam w nim przyjaciółkę. Po powrocie tylko kręciła głową. Powiedziała, że w układzie kotłuje się co najmniej sześć frakcji i nikt tak naprawdę nie wie, kto jest po czyjej stronie. Każda z nich próbowała przekabacić naszych dowódców, a gdy się nie udało, wpisała ich na swoją listę do likwidacji.

– Rozumiem, skreślamy – powiedział Baldur. – Szkoda. Piszą tu, że w grę wchodzi nawet fundusz zdrowotny, a mam kilka żyłaków do zoperowania.

– Szukaj dalej – poradziła mu Riss. – Ktoś w końcu zamieści uczciwą ofertę. Albo chociaż półuczciwą – dodała, wspomniawszy kiepską kondycję finansową Star Risk.

W tejże chwili otworzyły się drzwi i stanęła w nich kobieta, której widok oszołomił zarówno Baldura, jak i Riss, chociaż ją niełatwo było zadziwić. Wprawdzie jak większość urodziwych kobiet zaprzeczała, jakoby była piękną, w młodości jej uroda była wręcz uderzająca.

Kobieta, która weszła do biura, niższa ze cztery centymetry od Riss, z łagodnie kręcącymi się ciemnymi włosami, w których migotały złotawe błyski, z twarzą, która mogłaby wynieść na orbitę tysiąc statków kosmicznych, błękitnymi oczami i idealną figurą, była więcej niż piękna.

Riss zaczęła już ją nienawidzić.

– Witamy w Star Risk – powiedział Baldur i przedstawił siebie oraz partnerkę. – Przepraszam za brak wygód, ale obecnie...

– Nazywam się Jasmine King – odezwała się kobieta i Riss musiała przyznać z żalem, że głos też ma piękny. – Wiem o waszych kłopotach finansowych.

– O... – mruknął Baldur.

– Chciałabym u was pracować – dodała King.

– Chyba nie nadążam – powiedziała M'chel. – Skoro wie pani, że nie opływamy w gotówkę, zapewne się pani domyśla, że nie możemy zapewnić wysokiej gaży. Zakładam, że nie pracuje pani za najniższe stawki.

– Owszem – przyznała Jasmine King. – Mam jednak osobiste powody, aby i tak szukać u was zatrudnienia.

– Jaka jest pani specjalność, jeśli można spytać? –

zainteresował się Baldur.

– Jestem kierownikiem biura oraz analitykiem.

– Po prawdzie nie mamy biura, którym można by pokierować – zauważyła Riss. – Ale mam nadzieję, że to się zmieni. A jakie są te osobiste powody, jeśli wolno spytać?

– Do wczoraj kierowałam działem badań i analiz Cerberus Systems.

Baldur i Riss nie zdołali ukryć zaskoczenia i niedowierzania.

– Proszę wybaczyć – odezwał się w końcu Baldur – ale Cerberus znany jest z tego, że lubi mieszać szyki konkurencji.

– Zgadza się – odparła King. – Z wnoszeniem fałszywych oskarżeń i nadziewaniem tortu materiałami wybuchowymi włącznie.

– Freddie sugeruje raczej, że trudno nam o pewność, czy nie jest pani szpiegiem – sprecyzowała Riss. – Albo koniem trojańskim.

– Rozumiem. Ale może mnie sprawdzą? W tej branży nikomu nie należy wierzyć na słowo. Proszę. – King wyjęła z małej torebki standardową fiszkę. – To kopia moich akt osobowych. Wykrałam je przed opuszczeniem firmy. Sami się przekonajcie, co szef kadr Cerberusa miał do powiedzenia na mój temat. Ich adres widkomowy na Trimalchionie to...

– Sam znajdę – przerwał jej Baldur.

– Jasne. Mogłabym podsunąć fałszywy adres i podstawić kogoś po drugiej stronie łączy.

Baldur badawczo spojrzął na kobietę.

– Rzeczywiście, musiała pani pracować w Cerberusie –

stwierdził.

King uśmiechnęła się lekko, a zaintrygowany Baldur wziął fiszkę i skierował się do swojego gabinetu.

– Chwilę – powstrzymała go M'chel. – Jednego pani nie wyjaśniła. Skoro przywykła pani do wysokiego wynagrodzenia, dlaczego gotowa jest pani zaakceptować nasze warunki?

– Mogę ograniczyć swoje oczekiwania do czasu, gdy firma wyjdzie na prostą – odparła King. – Mam dość oszczędności na rok albo i dłużej. Ale nie myślcie, że jestem altruistką. Gdy przyjdzie czas, moja obecność na liście płac na pewno odcisnie się na koncie firmy.

M'chel chrząknęła znacząco.

– Dobra, sprawdź ją – powiedziała. – Też zaczynam być ciekawa.

Baldur wszedł do swego gabinetu i zamknął drzwi.

M'chel i Jasmine spojrzały na siebie. Z jakiegoś powodu panująca w biurze cisza wcale nie wydała się Riss kłopotliwa.

– Badanie i analizy? Czego? – spytała jednak po dłuższej chwili.

– Wszystkiego, co interesowało mojego pracodawcę.

– Była pani w tym dobra?

– Dość, aby się dowiedzieć, kim są M'chel Riss i Friedrich von Baldur – odparła King i wyrecytowała z pamięci najważniejsze informacje na temat przebiegu służby Riss.

– Wielki Boże! – westchnęła M'chel. – Nie wiem, czy mogę polubić kogoś, kto wie to wszystko. Nawet nie pytam, jak pani dotarła do tych danych. Z tego, co wiem, wojskowe zapisy nie są dostępne publicznie. A może

Cerberus jest aż tak blisko ze strukturami Sojuszu?

– Nie jest – stwierdziła King. – Sama to wszystko znalazłam, gdy zdecydowałam się poszukać u was pracy.

– Jest pani aż tak dobra?

– Aż tak – przyznała Jasmine. – I działałam szybko. Ponadto mam wielu przyjaciół na różnych ciekawych stanowiskach. Gotowych powiedzieć mi to i owo.

Trwało chwilę, zanim Riss przetrawiła te nowiny.

– Ale są też inne firmy o podobnym profilu – podjęła indagację. – Dlaczego my?

– Chcę być z wami od początku – powiedziała King z uśmiechem. – To ciekawsze niż włączenie się w coś, co już działa.

– Racja – mruknęła Riss. – A co pani wie o moim wspólniku?

– Utrzymuje, że jest admirałem w stanie spoczynku i służył we flocie Sojuszu dwadzieścia pięć lat. W rzeczywistości był chorążym czwartego stopnia i odsłużył czternaście lat. Zgodzono się na jego odejście, cytuję: „dla dobra służby”. Według nie sprawdzonych informacji groził mu sąd polowy za sprzeniewierzenie własności rządowej, nie autoryzowaną zmianę oficjalnych zapisów i nakłanianie urzędników państwowych do przestępstwa.

– To by pasowało – powiedziała Riss. – A umiejętności?

– Twierdzi, że potrafi pilotować większość cywilnych statków kosmicznych Sojuszu, i to jest prawda. Utrzymuje też, że zna sztuki walki, co...

– ... też jest prawdą – dokończyła Riss. Zdążyła już odbyć kilka sparingów z Baldurem, który mimo swego wieku kilka razy zdołał ją pokonać.

– Nie był żonaty – dodała King – brak informacji o

dzieciach oraz stałego adresu. Coś jeszcze?

– Chyba nie trzeba – stwierdziła Riss.

Chwilę później Baldur wyszedł ze swojego gabinetu.

– Sprawa się komplikuje – oznajmił. – Owszem, pracowała pani w Cerberusie, panno King, ale usłyszałem, że tylko dwa lata, a nie osiem, jak podaje pani fiszka, i że była tam pani tylko pomniejszą siłą biurową, którą zwolniono za lenistwo i brak osiągnięć. Zastanawiam się, skąd w tej sytuacji wzięły się te wszystkie rekomendacje i pochwały, które znalazłem na fiszce.

– Kłamią, aby mi utrudnić znalezienie pracy – odparła Jasmine, starając się zapanować nad głosem. – Chcą, żebym wróciła do nich na kolanach.

– Teraz rozumiem, dlaczego nie chce pani mieć z nimi nic wspólnego – powiedziała M'chel. – Ale od czego to się zaczęło? Co się stało, że teraz tak pod panią kopią?

– Zostałam poinformowana, że nie będą mi więcej wypłacać wynagrodzenia, ponieważ jestem własnością Cerberus Systems.

– Własnością?! – wykrzyknęła Riss. – Przyjęli system niewolniczy?

– Nie – zaprzeczyła King. – Uznali, że jestem robotem.

M'chel ledwie mogła usiedzieć na krześle.

– Nikt nie potrafi zbudować robota, który byłby tak ludzki jak pani! – stwierdziła stanowczo.

– Też im to powiedziałam, ale nie uwierzyli. Jeden z wiceprezesów zasugerował nawet, że musieli mnie zrobić obcy, żeby zinfiltrować ludzkie społeczeństwo. Rozpłakałam się, chociaż powinnam powiedzieć mu coś do słuchu, uderzyć albo coś... – Mrugając powiekami, spojrzała w okno i westchnęła przeciągle. W końcu

zapanowała nad sobą.

– A wyniki badań okresowych? – spytała Riss. – Nie mogli po prostu do nich zajrzeć?

– Badania przeprowadzam na własną rękę – powiedziała King zasadniczym tonem. – Zwykłam chronić moją prywatność, przynajmniej przed pracodawcami. To dla mnie bardzo ważne.

– Mogliby przecież po cichu zrobić pani rentgen czy coś takiego – mruknęła Riss. – To by do nich pasowało.

– Z jakiegoś powodu promieniowanie X jest w moim wypadku bezsilne – wyjaśniła King. – Przypuszczam, że wiąże się to z właściwościami planety, z której pochodzę.

– I to by było na tyle, jeśli chodzi o nasz plan opieki zdrowotnej – mruknęła M'chel. – Zakładając, że będzie nas na to stać.

– Dla mnie to kompletny absurd – powiedział Baldur. – Ale... nie chciałbym być nieuprzejmy, jednak spytam... Czy jest pani robotem?

King spojrzała na niego ewidentnie urażona.

– Gdybym nim była i kłamała na ten temat w Cerberusie, dlaczego miałabym kłamać także wam?

– Trafiony – powiedział Baldur. – M'chel, mogę cię na chwilę prosić do gabinetu?

Riss wyszła wraz z nim.

– I co? – spytał, zamknąwszy drzwi.

– Dla mnie może być nawet złowrogim androidem z Octopusa i nosić w torebce atomówkę – odparła M'chel. – Zna się na swojej robocie.

– A nam przyda się dobry szpicel – mruknął Baldur. – Nieprawda?

– Prawda. Nie każmy jej więc czekać. – Riss wyszła z

gabinetu. – Witamy w Star Risk, panno King – powiedziała.

Jasmine uśmiechnęła się szeroko i przez chwilę wyglądała, jakby znowu miała się rozpłakać. Dla Riss był to ostateczny argument.

Roboty przecież nie potrafią płakać.

Nieprawda?

M'chel układała listę dawnych towarzyszy z Marines, aby wypytać ich po kolei, czy nie mieliby ochoty przenieść się do sektora prywatnego, gdy coś weszło do biura.

Było tak wielkie, że musiało skorzystać z obu skrzydeł wysokich drzwi. Mierzyło pewnie ze dwa i pół metra, ważyło chyba ponad czterysta kilo. Pokryte było długą jedwabistą sierścią i miało smukłe palce, po sześć u każdej dłoni, kciuka nie licząc. Proporcjami przypominało bardziej człowieka niż małpę i ogólnie było humanoidalne, również pod względem liczby kończyn.

Z oblicza stwór przypominał lemura, tyle że było to oblicze znacznie większe. Nosił jedynie sandały, pas z torbą i co było nieco zaskakujące, biało-czarny beret.

– Dzień dobry panu – wykrztusiła Riss.

– Dobry – powiedział stwór miłym, melodyjnym basem.

– Jestem Amanandrała Grookonomonslf. Szukam Jasmine King.

– Sprawdzę, czy jest u siebie – odparła M'chel, nie pojmując, co ten zawodnik wagi ciężkiej może mieć wspólnego z ich pracownicą.

Jasmine wybiegła ze swojego pokoju i rzuciła się stworowi na szyję.

– Grok!

– Jesteś piękna i młoda jak zawsze – stwierdził z powagą przybysz.

– A ty niezmiennie uprzejmy – odparła Jasmine, uwalniając się z jego objęć. – M'chel, to jest Grok. Nie musisz zwracać się do niego pełnym imieniem.

– Zwłaszcza że nie sposób go oddać poprawnie w basicu – dodało monstrum.

– Bardzo mi miło – powiedziała Riss, wdzięczna losowi, że służąc w Marines, była na kilku obcych światach i przywykła do osobliwych istot.

– Dostałem wiadomość – powiedział Grok do Jasmine. – Chętnie pomogę.

– Nie jesteś klientem – zgadła M'chel.

– Wyczuwam rozczarowanie. Nie. Jestem jedynie byłym żołnierzem, który szuka okazji, aby trochę się rozerwać.

– Grok służył w armii Sojuszu ponad osiem lat – wyjaśniła Jasmine. – Jest specjalistą od łączności i rozpoznania elektronicznego. Odszedł ze służby, bo... sam wam powie.

– Być może powinienem się tego wstydzić, ale lubię walkę – zahuczał obcy. – Moja rasa zasadniczo jest spokojna i skłonna do filozofowania, ja jednak uważam, że refleksja bez działania jest jak – wybaczenie – masturbacja bez orgazmu.

– Wybaczymy – powiedziała z uśmiechem M'chel. – Gdybym była wykształcona, zapewne zgodziłabym się z tobą.

– Spotkałam go, gdy był kontraktowym agentem Cerberusa – powiedziała Jasmine. – To nie było dla niego miłe doświadczenie.

– Łagodnie to wyraziłaś. Cerberus nie tylko płaci z

opóźnieniem, ale w razie kłopotów, a nam właśnie się one przytrafiły, czym prędzej zegna się ze współpracownikami. Jestem zawodowcem i sam bym odszedł, ale nie mam zwyczaju kłamać swoim agentom, że mogą liczyć na moje stuprocentowe wsparcie.

– Cerberus zawsze stoi za swoimi agentami – dodała Jasmine. – Tyle że bardzo daleko. W razie czego jednak mogą liczyć na cios nożem w plecy.

– Ale mniejsza o dawne żale, Jasmine – powiedział Grok. – Zemsta jest najlepsza na zimno.

– Przepraszam.

– Niestety, w tej chwili nie mamy żadnych otwartych spraw – powiedziała Riss.

– Tak też słyszałem. Ale Jasmine wspomniała, że możecie być zainteresowani inwestorem.

– Tak? – spokojnie zapytała M'chel, zastanawiając się, ile były wojak mógł zaoszczędzić. – Szef naszej firmy, pan Baldur, jest akurat nieobecny, a on byłby najwłaściwszą osobą do rozmowy o pieniądzach. Niemniej jestem jego współnikiem. Czy mogę spytać, jaką kwotę byłbyś skłonny zainwestować?

– Zapewne... pół miliona kredytów.

M'chel ponownie przeklęła się w duchu za brak opanowania.

– To znaczna suma – powiedziała po chwili.

– Zdaję sobie sprawę – odparł Grok. – Chyba więc powinienem wyjaśnić, jakie są pobudki mojego działania. Poza umiejętnościami, o których była już mowa, mam spore, naprawdę spore szczęście w tym, co nazywacie grami losowymi.

– Pół miliona – powtórzyła z niedowierzaniem Riss.

– Dokładnie – potwierdził Grok.

– Sądzę, że pan Baldur chętnie włączy cię do naszego zespołu – powiedziała M'chel.

Grok wydał odgłos, który Riss uznała za objaw zadowolenia. Albo coś w tym guście.

– Zatem nasze największe finansowe kłopoty odchodzą w przeszłość? – spytała King.

– Zapewne tak.

– No, to teraz potrzeba nam już tylko jakiejś roboty.

5

Mężczyzna odsunął drzwi opatrzone napisem: „TRANSKOOTENAY MINING – wstęp tylko dla upoważnionego personelu”. Zablokował je, aby się nie zamknęły, i wtoczył do środka wózek z ładunkiem rudy.

Zakłady przetwarzania kopalin były niemal całkowicie zautomatyzowane, na dodatek w związku ze skąpymi dostawami surowca pracowały tylko na jedną zmianę. Pas transmisyjny stał pusty, jednak maszyna szumiała cicho, pozostając w gotowości.

Mężczyzna zatrzymał unoszący się na modułach antygrawitacyjnych wózek przy leju ładowarki i wrzucił do środka jeden duży odłam skalny. W wózku nie było nic więcej.

Przeklął pod nosem niezadowolony, że przypadła mu w udziale dodatkowa robota. Musiał zamaskować ładunek w kamieniu i zorganizować prawdziwy statek górniczy, który podleciałby do zakładów, nie wzbudzając podejrzeń. Sam włożył cudzy skafander, postarał się nawet o fałszywy identyfikator.

Nic z tego nie było naprawdę konieczne. Kompania górnicza nie troszczyła się o ochronę swoich obiektów. Zdaniem mężczyzny ktoś tak głupi aż prosił się o jakiś wypadek.

Przybysz uśmiechnął się na myśl, że obecny porządek nie potrwa już długo.

Odpiął od pada małe pudełko i przeszedł do sterowni. Tam umieścił je nad wielkim czerwonym przyciskiem i włączył mechanizm zegarowy.

Z natury zapobiegliwy, wyjął arkusz tworzywa z listą czynności koniecznych do uruchomienia zakładów. Punkt po punkcie wykonał wszystko, co należało zrobić.

Gdy skończył, wyszedł szybko ze sterowni i oddalił się od zabudowań.

Strażnik w budce przy wejściu chrapał smacznie, co zresztą nie miało znaczenia, bo teren nie był ogrodzony. Nic nie chroniło również odległych o sto metrów dwóch baraków.

Mężczyzna wrócił do kradzionego statku i wystartował na modułach antygravitacyjnych. Sto metrów nad lądowiskiem włączył napęd pomocniczy i po chwili planetoida zaczęła maleć na ekranie.

Czterdzieści pięć minut później mechanizm zegarowy zakończył odliczanie i linia przetwarzania rudy ruszyła z hurgotem.

Wibracje gruntu obudziły strażnika, który uszczelnił skafander, wszedł do śluzy i z widocznym brakiem wprawy sięgnął po blaster. Tymczasem taśma w głównym budynku przeniosła już kamień do kruszarki, która miała go zmienić w drobny żwir.

Pierwsze uderzenie pancernych zębów dotarło do ładunku wybuchowego i uruchomiło zapalnik.

Eksplozję, która nastąpiła zaraz potem, było widać z pięćdziesięciu kilometrów. Zakład przetwarzania rudy po prostu zniknął, w części stopiony, w części rozdarty na strzępy.

Co ciekawe, strażnik ocalał. Miał na tyle dobry refleks, że zdążył paść płasko na ziemię i nic mu się nie stało. Gdy jednak następnego dnia zjawiała się na miejscu ekipa zarządców kompanii z Sheolu, nie potrafił udzielić im

żadnych wyjaśnień.

6

Chas Goodnight, były kapitan armii Sojuszu, wyszedł z ukrycia, rozprostował kości i rozejrzał się po muzeum.

Lepszą ochronę bym wykiwał, pomyślał.

Goodnight był wysoki. Miał prawie dwa metry wzrostu, piaskowe włosy, kwadratową szczękę, uczciwy wyraz twarzy i łagodny uśmiech. Jeden z jego prawników stwierdził kiedyś, całkiem zresztą słusznie, że kapitan jest podręcznikowym przykładem socjopaty.

Nosił kosztowne cywilne ubranie, całkowitym przypadkiem utrzymane w ciemnych barwach. Zbiegiem okoliczności włożył również buty na miękkiej podeszwie.

Nikt go nie widział, gdy tuż przed zamknięciem wśliznął się do makiety śluzy statku kosmicznego. Musiał przepchnąć się w tym celu między tuzinem nieco ogłupiałych mężczyzn, kobiet i dzieci w bardzo zużytych skafandrach. Wystawa nosiła tytuł: „Pierwsze lądowanie człowieka na Tormalu”.

Żaden kolonista nie sięgnął po broń ani nawet palcem nie kiwnął. U manekinów to całkiem naturalne zachowanie.

Ktoś tak naiwny... albo niewinny... nie zasługuje na skarby opatrzone tabliczką „Nasze pierwsze klejnoty rodowe”. Zwłaszcza że kamienie wyglądały na bardzo prawdziwe.

W obecnych czasach była to karygodna beztroška.

Gdyby mieli choć trochę oleju w głowie, wysłaliby klejnoty na Ziemię albo inny rozwinięty świat, podkładając w ich miejsce falsyfikaty. Albo w ogóle sprzedaliby je po cichu Tiffany'emu i podzielili się zyskami.

Wkoło było cicho, ciemno i pusto.

Goodnight przycisnął lekkie wybrzuszenie z prawego boku zuchwy i wszedł w tryb szybki. Jego czas reakcji poprawił się o trzysta procent, oczy zaczęły odbierać promieniowanie podczerwone, słuch stał się czulszy niż u szanującego się kota. Wszczepiona w czoło antena omiotła otoczenie.

Nikogo nie było, nic się nie ruszało.

Dobrze. Wyłączył obwody. Bateria mogła mu jeszcze wystarczyć na dziewiętnaście minut pracy.

Goodnight zarzucił mały plecak na ramię i ruszył przed siebie. Stopy stawiał tak, jak go nauczono, najpierw dotykając podłóża palcami, a dopiero później opierając na nim piętę. Ćwiczył to z powodzeniem podczas wielu tajnych misji, w które Sojusz posyłał go przed „przebudzeniem”, jak zwykł nazywać tę chwilę, gdy zaczął ciągnąć osobiste profity ze skomplikowanej i bolesnej operacji, której został poddany, tak zwanej besteryzacji.

Po tamtym przełomowym dniu nastąpiły dwa wspaniałe i pełne przygód lata, aż w końcu został złapany. Zasadził się wtedy na biżuterię pani ambasadorowej, która była akurat z mężem na wielkim balu maskowym. Chociaż wszyscy mieli przebywać na dolnej kondygnacji posiadłości, w pewnej chwili obok pojawiło się dwóch ochroniarzy, którzy wyłonili się jakby znikąd.

Podczas rozprawy jego obrońca, słodka, ale niezbyt rozgarnięta pani mecenas, która i tak nie poszłaby z nim do łóżka, spytała: „Jak pan mógł?”

– To był najlepszy towar w okolicy – odpowiedział kapitan.

– Ale okradać żonę ambasadora Sojuszu?

– Stać ich na nowe – zaznaczył. – Poza tym pewnie były ubezpieczone.

Kobieta spojrzała na niego ze smutkiem. Uważała, że jest równie przystojny jak gwiazda mediów, ale niemoralny. Beznadziejny przypadek.

Wypomniała mu to podczas rozprawy, on zaś odpowiedział z godnością, że odkąd zajął się rabunkiem, nikogo jeszcze nie zabił, chociaż wcześniej, gdy wykonywał rozkazy Sojuszu, zdarzało mu się to często.

Nie zyskał tym jej względów i nie wzmocnił swojej obrony.

Pani mecenas odwołała się do jego doskonałego przebiegu służby, której szczegółów nie mogła jednak przytoczyć podczas otwartego procesu przed zwykłym składem sędziowskim.

W sumie jednak i tak nie miało to większego znaczenia. Po uznaniu winnym Goodnight został postawiony przed prostym wyborem: dziesięć lat na planecie karnej, gdzie mało kto przeżywał (a baterii do wszczepionych obwodów na pewno nie pozwolono by mu wziąć), albo... Albo współpraca.

Niczym ziemski słowik, Goodnight wyśpiewał wszystko na temat miejsc ukrycia łupów, które miały być jego zabezpieczeniem na starość. Nie ujawnił współników, ale tylko dlatego, że nigdy ich nie miał. Od czasu, gdy on i brat wojowali z całym wszechświatem, wiedział dobrze, że najszybciej podróżuje się w pojedynkę.

Poza tym nie był pewien, co dla innych znaczy przyjaźń. On rozumiał, o co w niej chodzi, jego młodszy brat Reg także. Podobnie było chyba z członkami jego zespołu operacyjnego, przez co nigdy niczego im nie ukradł. Ale

reszta ludzkości?

Postanowił nie sprawdzać na własnej skórze, jak to właściwie z nią jest.

Ostatecznie dostał dwa lata w zwykłym więzieniu, z którego zniknął po miesiącu. Starczyły dwa duże skoki, aby miał sobie za co kupić nową tożsamość, i jeszcze dwa, aby odlecieć z planety.

Potem cieszył się życiem, wędrując z jednego świata na drugi, z jednego układu do następnego. Rzadko uderzał w jednym miejscu częściej niż raz i zwykle zniknął, zanim podnosił się rwetes.

Był ostrożny i zawczasu zapoznawał się z prawem obowiązującym na planetach, które zamierzał nawiedzić. Wolał te, które wyszły z epoki barbarzyńskiego traktowania zwykłych, w sumie niegroźnych złodziei, prostych ludzi szukających swojej drogi w generalnie wrogim uniwersum.

Ostatecznie znalazł się na Tormalu, gdzie zamarzyła mu się porządna robota. Może nawet bardzo porządna, porządniejsza niż wszystkie poprzednie, jeśli jego ręczny analizator nie mylił się co do wartości przechowywanych w muzeum klejnotów.

Tyle że musiał działać szybko. Usłyszał o tym skarbie, będąc na innej planecie, i tam też zebrał potrzebne informacje. Na Tormal przybył jako turysta. Muzeum odwiedził drugiego dnia, teraz upływał dzień trzeci. Jutro miał stąd zniknąć. Na rzadko zaludnionych światach, gdzie obcy rzucali się w oczy, tak było najbezpieczniej.

Gdy już sprzeda łup, wybierze się pewnie na jakąś miłą tropikalną planetę. Na przykład na Trimalchiona IV, którego widział wiele razy w wiadomościach, ale nigdy jeszcze na nim nie był. Odpocznie sobie trochę, rozerwie

się. Jak ktoś z ponad milionem ukrytym na koncie w bezpiecznym banku na planecie, której nazwy nie ważył się nawet pomyśleć.

Może.

Może po jeszcze jednym skoku. Albo dwóch.

Na razie... przemieszczał się bezszelestnie, ani razu nie myląc kroku.

Dwukrotnie włączył po drodze obwody, aby zlustrować teren.

Czysto.

Podszedł do wielkich drzwi prowadzących do Skarbca Planetarnego, minął je i skierował kroki do mniejszego przejścia opatrzonego niepozorną tabliczką „Dla personelu”.

Jedne i drugie drzwi były podpięte do systemu alarmowego. Neutralizacja czujników w przejściu służbowym zajęła mu ledwie kilka sekund. Już miał zająć się zamkiem, gdy coś go tknęło, aby sprawdzić raz jeszcze.

Na dodatek poczuł się nieswojo, jakby ktoś go obserwował. To było jego własne wrażenie, które nie miało nic wspólnego z interwencją neurochirurgów, sporo zaś z doświadczeniem zyskanym podczas akcji w terenie.

Rozejrzał się, ale niczego nie dostrzegł. Wyjął miniaturową sondę i ponownie pochylił się nad zamkiem.

Sprytne, pomyślał. Nawet bardzo.

Zamek miał wbudowany alarm, który nie reagował, tylko gdy używano oryginalnego klucza.

Goodnight sięgnął do pasa i wyjął urządzenie w kształcie pióra, tyle że trochę większe. Włączył je i przysunął jeden koniec do dziurki od klucza. Dioda zamigotała na zielono, potem rozblęśta czerwienią. W końcu znowu pojawiło się

zielone, co było znakiem, że „pióro” ustaliło częstotliwość pracy alarmu i zdołało go oślepić.

Pokonanie samego zamka było już dziecinnie proste.

Goodnight otworzył drzwi, ale nie wszedł do pomieszczenia, które oświetlały dwie lampy znajdujące się w przeciwnych jego końcach.

Jeszcze za dnia obejrzał sobie podłogowe czujniki alarmowe, ale nie zrobiły na nim wrażenia. I tak nie miał zamiaru dostać się do klejnotów zwykłą drogą.

Przeszedł w tryb szybki i sprawdził salę. Spokojnie.

Zebrał się w sobie i skoczył na odległą o trzy metry gablotę. Przeszedł po jej krawędzi, czując, że metal lekko się pod nim ugina, i skoczył na kolejną gablotę.

Cel jego wyprawy znajdował się pięć metrów od ściany, Goodnight jednak nie patrzył na niego, tylko na wiszący powyżej masywny żyrandol. Wyjął zwój bardzo lekkiej liny wspinaczkowej, której ostatnie trzy metry pokrył wcześniej klejem i trochę obciążył.

Zakręcił liną, z początku powoli, potem coraz szybciej, i cisnął ją w górę. Owinęła się wkoło świecznika i omal nie spadła, w końcu jednak zacisnęła się na tyle pewnie, że szarpnięta nie puściła.

Sięgnął jak mógł wysoko. Starał się działać szybko, zanim baterie zaczną słabnąć. Odepchnął się i poleciał w pustkę. Gdy przy kolejnym wychyleniu główna gablota znalazła się niemal dokładnie pod nim, puścił linę i wylądował na górnej pokrywie. Uderzył w nią silniej, niż zamierzał, ale grube tworzywo wytrzymało. Przykucnął i wyciągnąwszy małą latarkę, poświecił w dół.

Najbardziej niepokoił się, że klejnoty są chowane na noc do skarbca. Ale nie, leżały w tym samym miejscu co za

dnia.

Iskrzyły się zachęcająco, jakby zapraszały go do siebie, pragnęły stać się jego własnością.

Chas Goodnight uśmiechnął się zadowolony, schował latarkę i sięgnął po ręczny laser, aby przeciąć tworzywo tuż przy przeciwległej krawędzi.

Nie usłyszał nawet, że nagle odsunął się panel sufitowy i jeden z czterech zwykłych ludzkich strażników, którzy zmieniali się co godzina, strzelił do niego strzałką ze środkiem usypiającym.

Bezwładny Goodnight spadł na podłogę, uruchamiając alarmy i włączając wszystkie światła.

M'chel Riss miała już serdecznie dość pasjansa, gdy nagle usłyszała brzęczenie interkomu.

– Tak? – spytała oficjalnym tonem, choć to najpewniej Jasmine chciała powiedzieć, że dzwoni po lunch w barze kanapkowym w piwnicy.

– Jest robota – szepnęła z przejęciem King.

Nie czekając na ciąg dalszy, M'chel wypadła z pokoju. Pozostali zrobili to samo.

Biuro zostało już urządzone w modnym ostatnio eklektycznym stylu. Na ścianach wisiały stare grafiki, między nimi ruchome rzeźby, meble były ze stali, drewna i prawdziwej skóry.

Niemniej wciąż nie mieli zleceń.

Chyba że...

– Masz coś? – spytała Riss, podchodząc do Jasmine, która siedziała przed trzema jaśniejącymi ekranami i włączała właśnie czwarty.

– Mam nadzieję – mruknął Baldur. – Oby to usprawiedliwiło wreszcie naszą wiarę w siebie.

– Może – odparła Jasmine.

– Dla kogoś, kto zainwestował w ten interes pół miliona kredytów, nawet „może” brzmi obiecująco – powiedział Grok. – Dawaj, kobieto.

– Zapewne nikt z was nie słyszał o Transkootenay Mining? – spytała Jasmine. – To drugorzędna kompania wydobywcza, która nie dopuszcza do rozproszenia swoich akcji. Nie jest tak wielka jak, powiedzmy, Treyem Mining, ale bankructwo z pewnością jej nie grozi. Szybko działa,

chętnie zatrudnia energicznych młodych ludzi, dobrze im płaci i pozwala awansować. Z drugiej strony niechętnie przyznaje się do błędów, przez co różne jej oddziały przypominają czasem udzielne księstwa toczące wojny na własną rękę. Specjalizuje się w odkrywaniu dziewiczych terenów i jest w tym całkiem dobra. Ostatnio, to jest jakieś trzy ziemskie lata temu, zaczęła eksploatację układu Foley.

– Gdzie to jest? – spytała M'chel.

Jasmine obróciła ekran w jej stronę i Riss przyjrzała mu się uważnie.

– Chyba już wiem – stwierdziła w końcu. – Nigdzie w pobliżu.

– Nigdzie w pobliżu – zgodziła się Jasmine. – To sześć planet, z czego trzy są zamieszkane. Pierwsza, najbliższa słońca, nazywa się Welf i nie jest zbyt atrakcyjna. Druga, Glace, przypomina Ziemię. Jej populacja liczy około stu milionów, co stanowi zdecydowaną większość mieszkańców układu. Ostatnia to pustynny Mfir, gdzie w pięknym mieście Sheol Transkootenay ma swoje przedstawicielstwo. Surowców jest tam w bród, brakło jednak kapitału i siły roboczej, aby podjąć ich wydobycie. Największe zasoby znajdują się w pasie asteroid pozostałych po dwóch planetach, które się rozpadły. Transkootenay wykupiło prawa do jego eksploatacji i radziło sobie całkiem dobrze, gdy rok temu...

– Chwilę – przerwał jej Grok. – Aż dwie planety się rozpadły? To niezwykle.

– Jest mnóstwo teorii, jak do tego doszło. Od wielkiego deszczu meteorytów po sprawkę Starożytnych.

– Też coś – prychnął Baldur. – Nie ma... nie było żadnych Starożytnych.

– Legendy mojej rasy mówią co innego – powiedział spokojnie Grok. – Na długo przed tym, jak człowiek zaczął zasiedlać wszechświat i zanim jeszcze moja rasa nauczyła się podróżować między gwiazdami, był ktoś jeszcze. Niektórzy uważają, że stary mit o Dawcach Ognia opowiada właśnie o spotkaniu z tymi istotami. Podobne legendy można usłyszeć na bardzo wielu światach.

– Ale w żadnej nie opisano Starożytnych – stwierdził Baldur. – Na wielu planetach wierzy się też w jednego boga, ale czego miałyby to dowodzić?

– To nie temat na teraz, panowie – powiedziała M'chel i Jasmine podziękowała jej skinieniem głowy.

– Jak wspomniałam, Transkootenay prowadzi tam działalność górniczą – podjęła wątek. – Wydobywa złoto, platynę i rudy metali rozszczepialnych. Z tych ostatnich ma największe zyski. Niedawno odkryto tam również diamenty, co wywołało napływ siły roboczej. Kompania organizuje prace wedle stałego systemu. Kontraktują górników, za słoną opłatą dostarczają im sprzęt, budują bazy rekreacyjne i zakłady przetwórcze, cztery razy do roku przekazują rządowi układu procent od zysków. Jakiś ziemski rok temu zaczęli mieć kłopoty. Najpierw pojawili się tak zwani rajderzy napadający na samotne statki i rabujący wszystko, co ma jakąś wartość. Zabili około dwudziestu górników, którzy próbowali stawiać im opór. Ostatnio zrobiło się jeszcze gorzej. Ktoś wysadził jeden z zakładów przetwórczych i wciągnął w zasadzkę trzy zespoły ochrony. Nikt nie ocalał.

– Piraci – rzucił sarkastycznie Friedrich. – Z drewnianą nogą, papugą na ramieniu i hakiem zamiast ręki, którym wymachują w próżni, śpiewając pirackie piosenki.

– We współczesnym systemie ekonomicznym piraci nie mają racji bytu – zauważył Grok.

– O tym porozmawiamy później – mruknął Baldur. – I co dalej, Jasmine? Kto jest za to odpowiedzialny?

– Dochodzimy do najdziwniejszej części tej historii – powiedziała King. – Nie ma żadnych śladów. Żaden łup nie pojawił się na rynku wtórnym. Nie ma nawet plotek, nikt w pijanym widzie nie przechwalał się tym w barze. Ochrona kompanii też na nic nie trafiła, choć to akurat nie dziwi, bo w tamtejszym pasie asteroid bez trudu mogłaby się ukryć cała flota.

– To gdzie jest dla nas szansa? – spytał Baldur.

– Transkootenay zwykle załatwiać wszystko własnymi siłami, ale ta sytuacja przerosła firmę – stwierdziła Jasmine. – Szefom jej przedstawicielstwa w układzie Foley grunt zaczyna się palić pod nogami. Wiedzą, że albo rozwiążą problem, albo rząd układowy wypowie im koncesję. To oczywiście oznaczałoby ich koniec. Zaczęli więc rozglądać się za kimś, kto namierzyłby rabusiów, sprawdził ich siły i zrobił z nimi porządek.

– Nie prosili o pomoc wojskową? – spytał Grok.

– Prosili. Sojusz przysłał eskadrę niszczycieli, które pokrażyły tydzień po okolicy i niczego nie znalazły.

– Typowe – mruknęła Riss.

– Teraz więc Transkootenay szuka innego zbawcy – powiedział, zacierając dłonie i uśmiechając się niczym rekin finansjery.

– Istotnie – przyznała Jasmine. – Po prawdzie zwrócili się już do Cerberusa, który powołał zespół mający wstępnie ocenić sytuację, nim przygotowuje kompleksową propozycję usługi.

– Cholera – syknęła Riss. – No, to nas załatwią.

– Niekoniecznie – sprzeciwiła się King. – Wystarczy, jeśli zadziałamy, zanim ich młyny wszystko przemiela.

– Co? – spytała M'chel. – Mamy przygotować coś szybciej i sprawniej niż oni?

– Och, nie – zaprzeczyła Jasmine. – Nie przebijemy ich widowiskowymi prezentacjami. A gdyby ktoś z nas wybrał się tam na rozmowy, szybko by się o tym dowiedzieli i pewnie wynikłyby z tego kłopoty.

– Ale masz jakiś pomysł? – spytała Riss.

– Niezupełnie. Trafiłam na pewne informacje, z których możemy zrobić użytek. Dyrektorem oddziału Transkootenay w układzie Foley jest niejaki Reg Goodnight. Szanowany i wysoko ceniony fachowiec. Jest młody i zdolny, do tego groźny, bo niezgorzej radzi sobie w wewnętrznych wojenkach podjazdowych. Jeśli nie polegnie, zrobi karierę.

– I co? – spytał Baldur.

– Pan Goodnight ma starszego brata – ciągnęła Jasmine – niejakiego Chasa, niegdyś kapitana Sił Zbrojnych Sojuszu przydzielonego do operacji specjalnych.

– Bester? – odgadł Baldur.

– Tak – odparła King.

Grok spojrzał na nich zdumiony i Baldur opowiedział mu z grubsza o chirurgicznie zmodyfikowanych komandosach.

– Ciekawe – mruknął włochaty stwór. – Muszą być bardzo skuteczni.

– Owszem, choć z pewnymi ograniczeniami – odparł Baldur.

– Chyba zawsze są jakieś ograniczenia? – zauważył Grok.

– Besterowi nie wystarcza jego własna, biologiczna energia. Do zasilania układów wykorzystuje się miniaturowe akumulatory podłączane do gniazda u podstawy kręgosłupa. Starczą na dwadzieścia do trzydziestu minut. Nie da się ich jednak szybko wymienić na nowe – powiedział Baldur. – Wcześniej bester sam musi się zregenerować. Działając w trybie szybkim, błyskawicznie spala zasoby organizmu. Dopiero gdy odpocznie i porządnie podje, może podłączyć nowe akumulatory. W ten sposób funkcjonuje trzy do czterech dni, potem konieczna jest dłuższa przerwa. Ale przepraszam, Jasmine, przerwałem ci. Słuchamy.

– Jak wyczytałam, wcześniej stracili rodziców i wychowali się w sierocińcu. Starszy brat, który stał się idolem Rega, zaciągnął się do wojska i opłacał z żołdu edukację młodszego. Kosztową edukację, bo posyłał go do najlepszych szkół. Może dlatego kapitan Goodnight nie dorobił się w armii i zaczął wykorzystywać swoje możliwości w nowym fachu. Zaczął kraść kosztowności, głównie kamienie szlachetne, i trzeba przyznać, że całkiem dobrze mu szło. W końcu jednak wpadł, został postawiony przed sądem, wyrzucony z armii i posłany do więzienia. Uciekł z niego i ponownie zajął się rabunkiem. Nabierał wprawy i nie dawał się złapać. Szczęście opuściło go dopiero jakieś trzy tygodnie temu. Zasadził się na bajeczne klejnoty przechowywane na pewnej prowincjonalnej planecie zwanej Tormal. Nie dość, że został złapany, to jeszcze nie odrobił tym razem lekcji. Zwykle atakował łatwe cele i tylko tam, gdzie mógł liczyć na łagodny wymiar kary. Na Tormalu jest jednak inaczej. Sąd bez ceregieli skazał go na śmierć, którą wykonuje się tam przez

powolne zaduszenie. Jego apelacja została odrzucona i siedzi obecnie w celi śmierci. Pobędzie tam jeszcze niecały miesiąc.

– Chyba domyślam się, do czego zmierzasz – powiedziała Riss.

– Ja też – dodał Grok.

Jasmine uśmiechnęła się.

– Lubię inteligentnych współpracowników. Tak więc musicie tylko wyciągnąć Chesa z więzienia. Zapewnicie sobie tym dozgonną wdzięczność Rega, a więc i daleko idącą przychylność całego oddziału kompanii.

– Pięknie – mruknął Baldur.

– Tylko dlaczego „wy”, a nie „my”? – pytała Riss.

8

Jakkolwiek przebiegała w swoim czasie kolonizacja Tormala, ktoś tutaj musiał mieć naprawdę sporo wrogów. Inaczej nie zbudowałyby zapewne na szczycie góry wielkiej fortecy, która rozsiadła się na nim jak monstrualny pająk. Obecnie było to najpilniej strzeżone więzienie planety.

Friedrich von Baldur spojrział sceptycznie na widoczną w dole budowlę.

– Domyślam się, że ucieczka tunelem odpada – mruknął.

– Cicho – rzuciła King, gdy zaszumiał komunikator ślizgacza.

– Do nie zidentyfikowanej jednostki powietrznej. Mówi kontrola przestrzeni cytadeli Tormal – rozległ się syntetyczny głos. – Przekraczacie granice obszaru zamkniętego. Podajcie swój numer rejestracyjny. Odbiór.

Baldur poszukał archaicznego mikrofonu i włączył urządzenie.

– Do cytadeli Tormal, tutaj... – Rozejrzał się po kabinie, aż znalazł odpowiednie oznaczenia na tablicy rozdzielczej i podał je kontroli. – Dwóch pasażerów na pokładzie. Jesteśmy z organizacji Sojusz dla Więźniów, mamy zezwolenie konsulatu Sojuszu i Tormalskiej Służby Penitencjarnej.

Na chwilę zapadła cisza i Baldur zajął się kamerą.

– Mówi cytadela Tormal – odezwał się komunikator. – Macie zgodę na lądowanie. Przejmujemy prowadzenie maszyny. Próba zmiany kursu może spowodować reakcję automatycznych baterii przeciwlotniczych śledzących wasz ślizgacz. Koniec.

– I bardzo dobrze – powiedział Baldur z satysfakcją. – Zauważyłaś, że na razie nie zainteresował się nami nikt żywy? – Uśmiechnął się szeroko jak rekin.

Jasmine spojrzała na niego zdziwiona.

– Więzień Goodnight Chas – ożył nagle głośnik w celi. – Macie odwiedziny. Otwieram drzwi.

I drzwi rzeczywiście się otworzyły, a korytarzem nadjechał mały robot, który stanął przed celą i zamrugał umieszczonym na szczycie korpusu zielonym światłem.

– Kto mnie odwiedza? – spytał Goodnight, ale robot nic, tylko mrugał. – Niech mnie – mruknął więzień i wyszedł z celi.

Reszta osadzonych na oddziale podeszła do drzwi, które były szklane, bez krat, ze szczeliną na samej górze.

– Pewnie prawda zatriumfowała i wyszło, że jestem niewinny – powiedział Goodnight, mijając robota.

– Albo chcą cię wcześniej skasować – rzucił któryś z więźniów.

Rozległo się trochę pohukiwań, nieco śmiechów. Wszyscy wydawali się życzliwie nastawieni do Chasa, który zadbał o to, by go polubili. Nikt, kto choć raz znalazł się w więzieniu, nie szuka bez ważnego powodu zatargów z towarzystwem zza krat.

Robot zaprowadził go do windy, która gwałtownie ruszyła w dół. Administracja więzienia nie przejmowała się takimi drobiazgami jak kondycja żołądków osadzonych.

Oddział z celami śmierci mieścił się na najwyższej kondygnacji fortecy, wyjście zaś na poziomie ziemi.

Maszynka zawiodła Chasa do pokoju przedzielonego pośrodku przezroczystą ścianą z tworzywa. Po drugiej

stronie znajdował się stół i krzesła, w przegrodę wbudowane były mikrofony i głośniki, a poniżej śluza służąca do przekazywania niewielkich przedmiotów.

Wysoko na ścianach zawieszono dwie kamery.

Na jednym z krzeseł siedział siwowłosy mężczyzna, który wyglądał na dyplomatę, na drugim najpiękniejsza kobieta, jaką zdarzyło się Goodnightowi widzieć.

Chas spojrział na nich i ukrył rozczarowanie, chociaż sam nie wiedział, kogo wolałby tu ujrzeć. Brata? Lepiej nie. Co mógłby mu powiedzieć? Zawiódł go przecież. To byłaby nazbyt trudna rozmowa, zwłaszcza że Reg wpatrywał się zawsze w niego jak w obrazek. Nawet gdy zaczęli w pewnym sensie rywalizować ze sobą.

– Nie znam was – powiedział, siadając na krześle po swojej stronie przegrody.

– Hasford Klinger – przedstawił się mężczyzna. – Jesteśmy z organizacji Sojusz dla Więźniów. To moja asystentka, Choly Wells.

– Nigdy nie słyszałem o waszej organizacji, drogi panie – odparł Goodnight. – Zwłaszcza gdy najbardziej potrzebowałem pomocy.

– Sojusz dla Więźniów nieustannie się rozwija i doskonali, aby jak najlepiej reagować na potrzeby obywateli – powiedział Baldur. – Naszym zadaniem jest wspieranie tej części naszego dziedzictwa kulturowego, które reprezentuje najcenniejsze humanistyczne wartości naszej wielkiej galaktycznej cywilizacji.

Goodnight doszedł do wniosku, że Klinger rzeczywiście musi być tym, za kogo się podaje. Tylko ktoś z obrzydliwie milusiej organizacji charytatywnej może powiedzieć coś takiego, nie narażając się na mdłości.

– Tak czy owak jestem zaskoczony waszą wizytą. Przynieśliście mi owoce i słodycze? A może kwiaty? – Spojrzał na Choly Wells i pomyślał o przywilejach więźnia z celi śmierci, zaraz jednak porzucił te marzenia. Panna Wells, nawet jeśli była wolna, na pewno nie zainteresowałaby się brodatym i brudnym skazańcem, który miał niebawem wyzionąć ducha.

– Nie zajmujemy się zapewnianiem drobnych udogodnień, proszę pana – odpowiedział Baldur.

– Właśnie – wtrąciła King. – Nasze obowiązki polegają na kontroli, czy więzień, który nie należy do społeczności planetarnej, cieszy się tymi samymi prawami co miejscowi i czy nie stał się ofiarą dyskryminacji. – Otworzyła teczkę i wyjęła gruby plik papierów. – To jest pierwszy dokument, który chcemy panu przedstawić. Proszę uważnie go przeczytać i jeśli zgodzi się pan z zawartymi w nim stwierdzeniami, złożyć podpis u dołu każdej strony. Na wszystkich trzech kopiach.

Przekazała papiery Baldurovi, który przejrzał je pobieżnie.

– Tak, to nasz standardowy formularz – powiedział. – Byłbym wdzięczny za złożenie pełnego podpisu we wskazanym miejscu i parafowanie każdej strony.

Goodnight czuł, że jeszcze chwila, a straci cierpliwość dla tych samarytan.

– To znaczy, że przerwaliście mi bardzo miły, erotyczny sen – odezwał się rozeźlony – aby sprawdzić, czy ukatrupią mnie zgodnie z etyką?

– Rozumiem, panie Goodnight, że obecnie znajduje się pan pod wpływem silnego stresu – powiedział Baldur. – Zapewniam jednak pana, że te dokumenty otworzą nam

nowe możliwości. Będziemy mogli złożyć wniosek o zastosowanie prawa łaski, domagać się rewizji procesu albo chociaż odroczenia egzekucji.

Goodnight spojrział na nich niedowierzająco i nagle dostrzegł, że Klinger bardzo lekko poruszył głową, jakby chciał czemuś zaprzeczyć.

– Dobrze – powiedział. W końcu nie miał nic do stracenia, zawsze było to też coś ciekawego do opowiedzenia kumplom z oddziału.

Baldur otworzył szufelkę i wsunął papiery. Dodał jeszcze kosztowne metalowe pióro, które wyjął z kieszeni. King dostała tymczasem ataku kaszlu.

Obaj spojrzeli na nią z troską.

– Wszystko w porządku? – spytał Goodnight.

– To tylko... uczulenie – wykrztusiła. – Powietrze Tormala nie działa na mnie najlepiej.

Baldur poklepał ją po plecach. Goodnight najchętniej przytuliłby dziewczynę.

Baldur spojrział na szufelkę, czekając, aż zadziała, ale nic się nie stało. Obrócił się i spojrział w jedną z kamer.

– Coś nie tak? – zapytał.

Urządzenie szczyknęło i przeniosło dokumenty na stronę Goodnighta.

Chas wziął papiery, jednak gdy wsunął dłoń pod plik, wyczuł tam coś niewielkiego, ale bardzo znajomego. Coś, co bez wątpienia nie powinno było się tam znaleźć, zwłaszcza podrzucone przez przedstawicieli organizacji pomocy skazańcom. Chyba że zaczęli oni traktować swoje zadania dosłownie.

Dwoma palcami przesunął baterię do wnętrza dłoni, po czym uniósł pióro i papiery. Zrobił to niedbale, tak że

wysunęły mu się z ręki. Zanim je pozbiierał, bateria była już bezpieczna w podwiniętym mankencie więziennej kurtki.

– Cóż – mruknął, przeglądając pierwsze strony. – Przykro mi, że z początku potraktowałem was nieuprzejmie. Mam nadzieję, że to nie jest wasza ostatnia wizyta – dodał przyjaznym tonem.

– Też na to liczymy – powiedziała King, wyjmując z teczki kolejny formularz. – Mamy jeszcze kilka pytań i bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechciał pan na nie odpowiedzieć. Pierwsze, czy pańska cela jest dogodnie zlokalizowana?

Położyła szczególny nacisk na ostatnie słowo i Goodnight pojął aluzję.

– Tak, owszem. Znajduje się na najwyższej kondygnacji, po wschodniej stronie, tak że jest dobrze nasłoneczniona. Nad sobą mam tylko dach.

– Czy bezpośrednia bliskość dachu nie wiąże się z hałasami czynionymi przez wartowników?

– Nie, z tym nie ma problemu. Wszystko tu jest zautomatyzowane, tak że słychać tylko cichy szum maszynerii. Na tyle cichy, że w niczym nie przeszkadza.

– Czy na pańskim oddziale znajdują się jeszcze inni osadzeni?

Nagle u góry rozległ się brzęczyk.

– To niedozwolone pytanie – powiedział syntetyczny głos.

– Och, przepraszam – pokajała się Jasmine. – Przejdźmy zatem do następnego. Czy posiłki otrzymuje pan w celi, czy może je pan spożywać wraz z innymi?

– Jadamy razem, całą dziesiątką – odpowiedział Goodnight. – Mamy świetlicę, w której możemy przebywać

za dnia, tam też spożywamy posiłki, które dostarczają nam z kuchni znajdującej się na...

– To niedozwolona odpowiedź – odezwała się znowu maszyna, przerwawszy mu brzęczykiem. – Powtórna niesubordynacja będzie skutkować przerwaniem widzenia.

– Z całą pewnością tego nie chcemy – powiedział Baldur. – Chcielibyśmy zachować nieskrępowaną możliwość odwiedzania osadzonych. Leży to w najlepiej pojętym interesie Sojuszu dla Więźniów i tej placówki penitencjarnej.

King odwróciła kolejną kartkę.

– Co pan może powiedzieć o tutejszej diecie i czy jest pan z niej zadowolony?

Wszyscy czworo uważnie słuchali odpowiedzi Goodnighta nagranych przez schowany w piórze rejestrator.

– Nie jest najgorsza – płynęło z głośniczka. – Karmią nas obficie i kalorycznie, przez co przybrałem trochę na wadze. Ćwiczę jednak, kiedy tylko mogę, i...

– Świetnie – powiedziała Riss. – Sądzicie, że wiemy już dość?

– Z tym, co ma Jasmine, chyba tak – rzekł Baldur.

King obróciła monitor w ich stronę.

– Znalazłam to w materiałach Państwowego Wydawnictwa Historycznego. To plan kondygnacji więzienia z czasów, gdy było jeszcze twierdzą.

Riss przyjrzała się rysunkom i pokiwała głową.

– Coś z tego będzie – oceniła. – Zakładając, że nasz pieszczoszek nie włączy się przedwcześnie i nie wpadnie w amok, zanim zdążymy się po niego zjawić.

– Bardzo mi się podoba, że cały system, a zwłaszcza

cztery wieżyczki strzelnicze na dachu, jest całkowicie zautomatyzowany – dodał Baldur.

– Nie rozumiem – powiedział Grok. – Maszyna nigdy nie zafunduje sobie drzemki i nie ma kaca nawet po najhuczniejszych świętach.

– Owszem, ale potrafi robić tylko to, do czego została stworzona – odrzekł Baldur. – Gdy ją czymś zaskoczyć, potrzebuje chwili na wyszukanie i uruchomienie nowego programu. Albo na zaalarmowanie ludzkiego nadzorcy. Tak jak ich przygłupi system kontroli ruchu powietrznego.

– A, rozumiem.

– I dobrze, bo bardzo się teraz przydasz jako spec od elektroniki – powiedział Baldur. – Chcę, żebyś przygotował parę niespodzianek. Jestem pewien, że znasz sporo sztuczek. Będą potrzebne raczej szybko, bo w końcu ktoś w konsulacie sprawdzi nasze listy uwierzytelniające i dowie się, że nie ma żadnego Sojuszu dla Więźniów.

– Ja już coś mam – stwierdziła Riss. – Gdy robiliście za bardzo ważne osoby, pochodziłam trochę po knajpach. Prawo bardzo tu ogranicza dostęp do broni, ale zawsze można coś znaleźć na boku. To tylko kwestia pieniędzy. Inna sprawa, że wolałabym własny sprzęt.

– Dobry pomysł, zakładając że sprzedawca nie donosi czynnikom – zauważył Baldur.

– I na to są sposoby – rzuciła Riss. – Wystarczy trochę ostrożności.

– Nie wiedziałem, że marines są szkoleni w nabywaniu nielegalnej broni – powiedziała Jasmine.

– Nie są – odparła Riss. – Ale w Korpusie można się nauczyć wielu rzeczy, jeśli się chce. Ja chciałam. I znalazłam kogoś, kto za kochane pieniądze załatwi,

cokolwiek sobie zażyczymy. Chyba już wiem, czego nam trzeba. Jutro o tej porze będziemy mogli wziąć się do roboty.

– Skąd wiesz, że ten twój kontakt nas nie wyda? – spytał Baldur. – Tacy lubią podwójny zarobek. Najpierw sprzedają klientowi, czego mu trzeba, a zaraz potem sprzedają klienta. Na dodatek odzyskują towar i punktują u glin. I tylko klient siedzi w szambie.

– Zgadza się – odparła Riss. – Dlatego ani trochę draniowi nie ufam i zaraz po odebraniu towaru ugadam z nim jeszcze większą transakcję. Połowę dam mu z góry. Przepraszam, Grok, że tak swobodnie rozporządzam twoimi pieniędzmi. Wiem, że nie jesteś bankiem, ale to konieczne. Tak więc dostanie jakieś dwa i pół tysiąca za coś, co jest tu absolutnie nielegalne i niemile widziane. Przedstawiciele prawa będą chcieli nas z tym zwinąć i poczekają z akcją. Termin odbioru umowy na dwa dni po naszym odlocie z tego układu.

– Co to będzie? – spytała zaciekawiona Jasmine.

– Jeszcze nie wiem. Może kieszonkowa atomówka i plan parlamentu czy co tu mają – rzuciła bez troski M'chel.

– Niech to diabli – sapnął Baldur z udawanym przestraczem. – Wyhodowałem żmiję na własnym łonie!

9

– Wreszcie coś, co potrafię pilotować – powiedziała Jasmine, sprawdzając kontrolki wynajętej właśnie luksusowej limuzyny. Riss zauważyła jednak, że lekko zadrżał jej głos.

– Chcemy, żebyś była szczęśliwa – powiedziała M'chel, starając się zachować spokój.

Jasmine uśmiechnęła się słabo.

– Przepraszam... ale jeszcze nie brałam udziału w żadnej akcji.

– Widzisz, ile korzyści daje praca w małym zespole? – powiedziała Riss, szczerząc zęby. – Wkrótce nauczysz się obalać rządy uśmiechem i niewinnym spojrzeniem.

Mówiąc to, M'chel wkładała w kieszenie pasów amunicyjnych zapasowe magazynki z ładunkami do blasterów. Skończywszy, ułożyła je obok wcześniej zgromadzonej broni.

Każdy dostał ręczny blaster z ponad tysiącem ładunków, uprząż bojową, zestaw różnych granatów z miotaczem, kamizelkę kuloodporną, maskę i komunikator.

W nieodległym kącie pospiesznie wynajętego magazynu smacznie chrapał potraktowany gazem kierowca limuzyny.

– Nie powinniśmy go zabić? – spytał Grok. – Gaz czasem nie działa tak, jak powinien.

– Aż tak źle na pewno nie będzie – odparł Baldur. – Poza tym im mniej ciał zostawimy za sobą, tym lepiej nas potraktują, gdybyśmy wpadli.

– Nie zamierzam wpadać – oznajmił zdecydowanie Grok, spoglądając na kilka elektronicznych gadżetów, które

kupił i zmodyfikował specjalnie na tę akcję. – Jestem gotów – stwierdził, rozmieszczając ostatnie elementy uzbrojenia na opinającej jego wielkie ciało uprzęży.

– No, to możemy ruszać – rzucił Baldur, sprawdzając broń.

King włączyła silnik i reszta wsiadła do limuzyny. Rozsunęły się drzwi magazynu i Jasmine opuściła go, szybując tuż na ziemię, po czym wzniosła pojazd w mroczniejsze niebo.

Opuścili stolicę, lecąc wytyczonymi korytarzami powietrznymi i przestrzegając lokalnych ograniczeń szybkości i pułapu.

Wszyscy siedzieli cicho, zatopieni w myślach. Riss zaschło w ustach, jak zwykle przed akcją.

– Dziesięć minut do więzienia – oznajmiła Jasmine.

– Moje urządzenia gotowe – powiedział Grok.

Minuty wlokły się niemiłosiernie.

– Pora na twoją część, Jasmine – oznajmił Baldur.

King włączyła mikrofon.

– Czy ktoś mnie słyszy...? Pomocy! – zapiszczała przekonująco. – Mój szofer stracił przytomność, a ja nie umiem tym latać! Pomocy! Niech mi ktoś pomoże!

W eterze zakotłowało się od głosów różnych życzliwych gotowych jej pomóc. Jaśminie nie zwróciła na nie uwagi.

– Pomocy! Widzę przed sobą jakiś budynek... Spróbuję na nim wylądować.

– Do nie zidentyfikowanej jednostki powietrznej – dobiegł nagle z głośnika beznamienny głos. – Mówi kontrola przestrzeni cytadeli Tormal. Przekraczacie granicę obszaru zamkniętego. Podajcie swój numer rejestracyjny. Odbiór.

– Pomocy, kontrolo! Nie wiem, jaki jest numer mojej limuzyny... Nie umiem jej prowadzić i boję się, że się rozbiję.

– Mówi kontrola przestrzeni cytadeli Tormal. Powtarzam, przekraczacie granicę obszaru zamkniętego. Zmieńcie kurs albo zostaniecie zestrzeleni.

– Nie wiem, jak to zrobić! – krzyknęła Jasmine, jakby właśnie wpadła w panikę. – Proszę, nie strzelajcie do mnie! Nie chcę umierać!

– Namierzają nas – powiedział Grok. – Dystans pięć kilometrów.

Cytadela milczała.

– Jak mówiłem, takie maszynki zawieszają się przy byle okazji – mruknął Baldur. – Dodasz jej jeszcze trochę kłopotów, Grok?

– Pomocy, błagam! – jęknęła Jasmine, wprawnie przebierając palcami po kontrolkach. Limuzyna posłusznie zakołysała się na boki, jakby rzeczywiście była w rękach niewprawnego pilota.

Grok włączył coś w jednym ze swoich pudełek i standardowe częstotliwości alarmowe zalał nagle elektroniczny szum, jeszcze bardziej komplikując sytuację.

Drugie urządzenie, pierwotnie mające wzmacniać odbicie radarowe, zostało tak podrasowane, że systemy obronne ujrzały na niebie aż trzy limuzyny.

Trzecie pudełko kryło dopplerowski radiolokator przeznaczony do zbijania z kursu pocisków samonaprowadzających. Po drobnych zmianach samoczynnie otwierało przed limuzyną bezpieczną trasę przelotu.

– Jakieś dwie minuty – powiedziała Jasmine.

Cytadela znowu czegoś chciała, ale głos kontroli obszaru niemal całkiem ginął w szumach. Nie próbowali nawet sprawdzać, co do nich mówiono. Limuzyna zanurkowała i wylądowała twardo pośrodku dachu.

Riss, Grok i Baldur wyskoczyli na zewnątrz i pobiegli w kierunku wieżyczek strzeleckich. Tak jak oczekiwali, wszystkie baterie sprzężonych działek miały mechaniczne ograniczniki nie pozwalające na przypadkowe ostrzelanie sąsiedniej wieżyczki.

Baldur i Grok, przyozdobieni naszyjnikami z ładunków wybuchowych, przypadli płasko każdy do swojej wieżyczki, zamocowali ładunki i wcisnęli zapalniki. Grok zaraz wrócił do limuzyny, Baldur pobiegł jeszcze do sąsiedniej baterii, nim poszedł w jego ślady. Riss, której przypadł największy ładunek, przymocowała go u podstawy czwartej wieżyczki. Szybko wcisnęła zapalnik w plastyczny materiał wybuchowy i kilkoma susami dopadła limuzyny.

– Startujemy, ale trzymaj się blisko – powiedziała, wskakując na fotel, i zamknęła drzwi.

Jasmine skinęła głową. Gładko uniosła limuzynę i skierowała ją ku skrajowi dachu. Ledwie go minęła, nad ich głowami przemknęły smugi ognia. Działka z dwóch wieżyczek wystrzeliły, ale ich lufy nie mogły się opuścić na tyle, żeby trafić intruza.

M'chel wpatrywała się w zegar, licząc upływające sekundy.

– Osiem... sześć... cztery... trzy... dwie... Bum.

Bumy były w sumie cztery. Trzy takie sobie i jeden naprawdę imponujący.

King nie potrzebowała kolejnego polecenia, aby

skierować limuzynę z powrotem na dach.

Zniszczenia rzucały się w oczy. Trzy wieżyczki straciły działka, czwarta została wyrwana ze stalowo-betonowej podstawy i impet eksplozji cisnął ją gdzieś za okap. Widać było tylko kawałki porozbijanych mechanizmów działka oraz prowadzące gdzieś w dół schody.

– Całkiem jak w Eben-Emael – powiedziała Riss. – Umiem otworzyć puszkę, prawda?

Nikt nie zaprzeczył. King wysiadła z limuzyny i z bronią w ręku przykucnęła za wywietrznikiem. Reszta podpięła słuchawki i mikrofony krtaniowe, nałożyła maski przeciwgazowe i zeszła na dół przez otwór po wieżyczce. Wszyscy nieśli na szyjach pęta materiałów wybuchowych, broń trzymali w gotowości.

– To tutaj – powiedziała Riss, przymocowując ładunek do drzwi.

Zeszli pół kondygnacji niżej i poczekali, aż wybuch utoruje im drogę. Gdy cisnął drzwi daleko w głąb, ignorując tabliczkę „Wstęp wzbroniony”, pognali korytarzem. Trochę dalej trafili na kilka wejść. Na jednych drzwiach widniał napis: „Oddział skazanych na śmierć. Bezwarunkowy zakaz wstępu”. Riss wysadziła je i wbiegli w następny korytarz.

Na jego końcu znajdowała się obudowana stalą dyżurka, w której siedział jakiś człowiek. Właśnie mówił coś gorączkowo do mikrofonu.

Riss i Baldur przyklękli, wycelowali miotacze granatów i wystrzelili. Granaty zatoczyły łagodny łuk i uderzyły w szybkę, która okazała się mało pancerna. Pękła i po chwili granaty eksplodowały w dyżurce. Strażnik złapał się za gardło i upadł na podłogę.

Napastnicy weszli do środka i wyciągnęli bezwładne ciało z dyżurki.

– Przypomina systemy, które... hm, znam z lektury – powiedział Baldur, przebiegając palcami po pulpicie.

Przycisnął maskę do mikrofonu i wybrał na konsoli pozycję „Blokada drzwi cel”.

– Wyłączyć, ptaszki – powiedział. – Goodnight, ruszaj się.

Wyskoczył z dyżurki, gdy wejście na oddział stanęło otworem. Za nimi ciągnęły się rzędy cel, których drzwi właśnie się rozsuwały.

Zdumieni ludzie, kobiety i mężczyźni, wychodzili z wolna na korytarz. Niektórzy nie całkiem ubrani.

Riss dostrzegła wśród nich Chasa Goodnighta.

– Szybko! – rzuciła w jego stronę.

– Jasne – zawołał – ale co z...?!

Jeszcze jedne drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich uzbrojony strażnik.

– Cholera – mruknęła Riss. Błyskawicznie przyklękła, oburącz ujęła blaster i strzeliła strażnikowi w pierś. Upadł, a Riss z Goodnightem pobiegli czym prędzej do wyjścia, gdzie czekali na nich Grok i Baldur.

– A co z nimi? – spytał Goodnight, wskazując kciukiem na pozostałych więźniów.

– Przyda się trochę zamieszania – odparła Riss.

Wyszli na korytarz i minęli dyżurkę. Byli już prawie przy drzwiach, gdy od strony schodów pojawili się czterej strażnicy.

Chas nagle zmienił się w ledwie widoczne rozmazane coś. Riss zdążyła unieść broń, gdy burawa smuga wpadła na strażników. Błyskawicznie powaliła dwóch, trzeciego odrzuciła na bok, a czwartemu złamała kark. Odgłos

pękających kości wydał się Riss nadspodziewanie głośny.

Zaraz potem smuga śmignęła do nich i po ułamku sekundy przybrała postać Goodnighta.

Riss odpięła od pasa granat gazowy, uzbroiła go i rzuciła między rozciągnięte na podłodze ciała.

Pobiegli schodami na dach i dopadli oczekującej limuzyny. King siedziała już za sterami, trzymając pojazd w niskim zawisie.

Ledwie wsiedli, wystartowała i zaraz zanurkowała w dolinę pod fortecą. Łamiąc wszelkie ograniczenia szybkości, pędziła ku pobliskiemu miasteczku, gdzie czekał na nich niewielki frachtowiec z kapitanem poinstruowanym, że ma utrzymywać dziesięciominutową gotowość startową. Oficjalnie miał czekać na ostatnie dyspozycje od armatora.

Riss wciągała powietrze tak łapczywie, jakby oddychanie było dla niej całkiem nowym i nadspodziewanie przyjemnym doświadczeniem.

Rozpięła uprząż, rozsiadła się wygodnie i spojrzała na zdobycz.

Chas Goodnight również był odprężony. Mimo bujnego zarostu i ogólnego zaniedbania wydał się Riss nader przystojny. Musiał zauważyć jej spojrzenie, bo uśmiechnął się lekko.

– Teraz przydałby się porządny stek – powiedział. – A najlepiej trzy.

Słyszając to, Riss z miejsca zapomniała o romantycznych nastrojach. Baldur chyba dostrzegł zmianę wyrazu jej twarzy, bo zachichotał.

– Dzięki – powiedział Goodnight. – Jestem waszym dłużnikiem.

- Zgadza się – stwierdził Grok.
- Jak mogę się wam odwdzińczyć?
- Wystarczy nam list referencyjny – odparła Riss.

10

– Trudno gorzej trafić – powiedział Friedrich von Baldur.
– Chyba że do piekła.

– To żart? – spytał Grok. – Czytałem gdzieś, że słowo *Szeol* oznacza właśnie piekło.

– Jeśli żart, to mało śmieszny – zauważyła M'chel.

Chas Goodnight rozejrzał się po okolicy, którą miejscowi nazywali przedmieściem.

Oficjalnie populacja Sheolu liczyła pięć tysięcy dusz, lecz trudno było w mieście o kogoś na tyle trzeźwego albo normalnego, żeby mógł to zweryfikować.

Jeśli ktokolwiek praktykował tu kiedyś urbanistykę, musiał być nad wyraz pokrecony. Sheol rozrastał się bez umiaru i nikogo to nie obchodziło do czasu, aż wyczerpały się złoża i górnicy się wynieśli. Zostały w nim głównie niedobitki, w tym pięć leciwych prostytutek, czterech barmanów z zaawansowanym delirium tremens, trzech sklerociałych górników na emeryturze, dwóch historyków i jeden samotny burmistrz.

Wkoło ciągnęły się rudery z wielkimi szyldami: „Ocena próbek – daj nam szansę”; „Zaliczki za dobre próbki”; „Wypożyczalnia sprzętu Wesoły Świder”. Oczywiście był tu także przybytek nęcący napisem: „Lombard – jeśli zostało ci coś cennego, pomożemy ci dojść do siebie”.

Widać było również wiele poobijanych statków, z których część zapewne nadawała się jeszcze do użytku. W pobliżu kosmoportu tłoczyły się sklepy z używanym wyposażeniem górniczym (dla tych, którzy nie zrozumieli, gdzie trafili) oraz całkiem nowym (dla nielicznych, którzy

w ogóle się jeszcze nad tym nie zastanawiali).

Tu i ówdzie, jak rodziniki w cieście, wznosiły się nieco bardziej zadbane domy tych, którzy znaleźli pracę w sektorze usług.

Gdy ślizgacz z wypożyczalni zbliżył się do tego, co uchodziło za centrum miasta, wkoło zaczęło przybywać rozmaitych siedlisk grzechu. Pomiędzy salonami masażu i burdelami oferującymi wszelkie bezceństwa, również takie, których jeszcze nie wynaleziono, stał jak zbłąkana dziewczica w bieli budynek Górniczego Stowarzyszenia Samopomocy. Wyglądał na całkiem pusty.

– Piękna okolica – powiedział uradowany Baldur i oblizał wargi. – Czuję woń kredytów gotowych wskoczyć nam do kieszeni.

Reg Goodnight spojrział z niedowierzaniem na brata.

– Myślałem, że już... – Nie dokończył.

– Pogłoski o mojej egzekucji na szczęście okazały się nie do końca prawdziwe – powiedział Chas. Spojrział na Rega przez biurko tak wielkie, że mógłby na nim wylądować porządny kuter. – Nie przywitasz brata? Wrócił jak ta owieczka marnotrawna czy co to było.

Reg obszedł biurko i uścisnął Chasa.

M'chel musiała się im dobrze przyjrzeć, aby dostrzec cechy świadczące o pokrewieństwie. Byli podobnej, smukłej budowy, jednak młodszy z braci wyraźnie nie przebywał wiele na powietrzu i zaczął już trochę tyć, Chas natomiast był opalony, a jego szczupłą, zasadniczo pogodną twarz pokrywała siateczka zmarszczek. Reg ponadto trochę łyślał i miał bardzo zadbane paznokcie.

Starszy ubierał się, mając głównie na względzie wygodę,

młodszy zaś musiał się kierować opinią drogich krawców. Wyglądał dokładnie tak, jak winien się prezentować młody i rzutki prezes oddziału dużego przedsiębiorstwa. Tyle że obecnie był wyraźnie poruszony.

Odsunął się od brata i otarł oczy grzbietem dłoni.

– Powiedział pan – zwrócił się do Baldura – że ma dla mnie niespodziankę osobistej natury, ale nawet nie marzyłem, że...

– Taka niespodzianka jest chyba najlepsza? – spytała Riss.

– Tak... oczywiście – powiedział Reg, nieco się zacinając. Znow spojrzął na Chasa. – Jak ci się udało?

– Ci ludzie byli uprzejmi mnie uratować.

– Bardzo... bardzo wam dziękuję – wykrztusił Reg. – Z całego serca. Zakładam, że nie jesteście organizacją dobroczynną, i chętnie wypłacę wam wynagrodzenie, jakiego zażądacie. Oczywiście w granicach moich możliwości.

– Nie chcemy pańskich kredytów – powiedział Baldur. – Chodzi o Transkootenay.

Goodnight spojrzął na nich chłodno i zaraz upodobnił się do brata.

– Słucham – stwierdził beznamiętnym, oficjalnym tonem.

– Czy nie powinniśmy być mniej bezpośredni? – spytał Grok.

– Dlaczego? – zdziwił się Baldur. – Nie było żadnych świadków, a ja mam zagłuszcacz podsłuchów.

– Nie o tym myślałem – stwierdził Grok.

– Myślę – odezwała się Riss – że nasz futrzasty

przyjaciel mówi o tym, jak postawiliśmy sprawę: „Uratowaliśmy panu brata, żeby dostać ten kontrakt”.

– Dlaczego? – nie mógł zrozumieć Baldur. – Owijanie w bawełnę byłoby stratą czasu. Tak z naszej, jak i z jego strony.

M'chel spojrzała na Groka i wzruszyła ramionami.

– Może Freddie ma rację. Nie wiem – powiedziała. – Nigdy wcześniej nie załatwiałam niczego podobnego.

– Może powinniśmy poprosić jego brata, żeby negocjował w naszym imieniu? – zasugerował Grok.

– W żadnym razie – odparła M'chel. – Nie wiemy, czy w ogóle to umie. Poza tym niebawem pewnie znowu gdzieś się rozplynie i zajmie swoim ulubionym hobby. Tak naprawdę nic go nie obchodzimy.

– Trochę szkoda – powiedział Baldur. – Przydałby się w naszym zespole.

– A skoro o nim mowa – spytała M'chel – gdzie go poniosło?

– Wyszedł z Jasmine – wyjaśnił Baldur. – Poprosił ją, żeby pomogła mu znaleźć restaurację, w której nie podają jadu kiełbasianego i czerwonki.

– Proszę proszę, jaki samotny chłopiec – prychnęła Riss. – I jak potrafi zadbać o samotną dziewczynę.

M'chel wpadła Goodnightowi w oko i jasno dał jej do zrozumienia, że chętnie spędziłby z nią noc. Riss, dobrze wychowana, nie powiedziała mu wprost, że zaliczyła już dość ładnych chłopców i teraz szuka czegoś poważniejszego. Odprawiła go argumentem, że nie bawi się w takie rzeczy w miejscu pracy.

Prawdziwy powód był jednak inny. Goodnight powiedział dość, by M'chel szybko straciła co do niego

złudzenia. Obecnie kojarzył się jej z zastawiającym sieci pajakiem.

– Z Jasmine? – spytał Grok. – Może więc wreszcie poznam odpowiedź na dręczące mnie pytanie.

– Jakie pytanie?

– Czy King jest czy nie jest robotem. Może źle zrobiłem, ale kiedy Goodnight spytał mnie, skąd ona jest, powiedziałem mu, że pracowała dla Cerberusa, skąd ją zwolnili, bo podejrzewali, że jest robotem.

– Ale co ma do tego seks? – spytała M'chel. – Nie uważam, że jest robotem, ale kto powiedział, że nie można tak zaprogramować androida, żeby pieprzył się jak królik?

Siedzieli blisko siebie w boksie staromodnej restauracji. Jedzenie było w niej horrendalnie drogie, ale ani trochę nie lepsze niż gdzie indziej. Wina okazały się nawet gorsze.

Chas pochylił się i musnął ustami ucho Jasmine.

– To miłe, ale nigdzie nas nie zaprowadzi – powiedziała dziewczyna melodyjnym głosem.

– Dlaczego nie? – spytał uwodzicielsko Chas. – Nie pomożesz biedakowi, który właśnie urwał się ze stryczka? Miłość to jeden z lepszych sposobów na odzyskanie człowieczeństwa.

– Z tym się zgodzę.

– Poza tym mógłbym ci się w ten sposób odwdziżyć za ratunek.

– To też prawda, ale nie.

– Dlaczego nie? – spytał ponownie Chas i zaczerwienił się, zrozumiałwszy, że zaczyna kaprysić jak zawiedziony uczeń.

– Po prostu nie. Tak trudno to pojąć?

– Zapewne masz rację – mruknął Goodnight, po czym upił trochę wina i spróbował z innej beczki: – Wiesz, jakiś czas temu studiowałem robotykę.

– To musi być ciekawe – odparła obojętnie Jasmine.

– Owszem. Zwłaszcza gdy chodzi o pierwsze prawo.

– Co masz na myśli?

– Pierwsze prawo robotyki – sprecyzował Chas. – Zaraz, jak to szło? „Robot nie może skrzywdzić człowieka ani przez zaniechanie działania dopuścić, aby człowiekowi stała się krzywda” – zacytował.

– I co?

– Pogorszenie stanu psychicznego to spory uszczerbek na zdrowiu.

– I? – spytała Jasmine.

– Cóż, założmy, że mamy robota, któremu nadano postać niewiarygodnie pięknej kobiety. Jeśli taka kobieta nie pójdzie do łóżka z kimś, komu bardzo na tym zależy, sprawi mu w ten sposób przykrość, wpędzając w gorszy stan psychiczny. Można powiedzieć, że wyrządzi krzywdę. Czy to nie byłoby sprzeczne z pierwszym prawem robotyki?

– Hm – mruknęła Jasmine. Opróżniła kieliszek i naląła sobie kolejny. – Kto by chciał chodzić do łóżka z robotem?

– Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

– A co, jeśli ten robot nie będzie zależny od pierwszego prawa robotyki? – spytała. – Albo i wszystkich trzech?

– Ależ... to niemożliwe – zachnął się Chas. – Prawa robotyki są stosowane powszechnie. Zawsze i wszędzie. Nikt nie buduje robotów z innym oprogramowaniem.

– Wszędzie? – spytała Jasmine.

– Na wszystkich światach, o których słyszałem.

– I nie przyszło ci do głowy, że mogłeś o jakimś nie słyszeć?

Goodnight spojrzał jej głęboko w oczy, ale nie znalazł w nich nawet cienia nieszczerości. Mimo to dreszcz przebiegł mu po grzbiecie.

Jasmine znów się uśmiechnęła.

– Nie chcę ranić twoich uczuć, ale nie pójdę do łóżka z mężczyzną, który jest głupszy ode mnie – powiedziała i poklepała go po dłoni.

Goodnight nie krył zdumienia.

– Ale mój iloraz inteligencji jest bliski geniuszu – zaprotestował.

– Jednak nie potrafisz z niej korzystać – stwierdziła Jasmine.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Jeden przykład. Dałeś się złapać na kradzieży i wyrzucili cię z wojska. Potem znowu wpadłeś i mogło cię to kosztować życie. Mimo jasnych dowodów, że to fatalny sposób na życie, zamierzasz się go trzymać.

Goodnight spojrzał na nią ze złością. Romantyczna atmosfera rozwiała się bez śladu.

– Widzisz? – rzekła Jasmine. – Nie tylko nie kierujesz się logiką, ale nawet nie chcesz słuchać, gdy ktoś ci to sugeruje. W tej chwili skupiasz się tylko na sobie i swoim poczuciu krzywdy, przez co jeszcze pogarszasz sytuację.

– A co miałbym zrobić? – spytał. – Chcesz, żebym się do was przyłączył?

Poklepała go po policzku.

– Nie byłby to najgorszy wybór – stwierdziła.

– Postanowiłem zrewidować pierwotną decyzję

dotyczącą wyboru firmy mającej chronić interesy Transkootenay Mining – mówił Reg Goodnight. – Jesteśmy w wąskim gronie, więc przyznam otwarcie, że na moją decyzję w pewnej mierze miało wpływ to, iż mój brat postanowił zatrudnić się w Star Risk. Innym powodem rezygnacji z usług Cer... drugiej firmy poproszonej o przedstawienie oferty... jest to, że zwleka ona z przedstawianiem kompletu materiałów. W tej sytuacji wasza propozycja okazała się konkurencyjna. Proponuję wam, to znaczy Transkootenay Mining proponuje firmie Star Risk, Ltd., próbny kontrakt na sześć miesięcy. Gdy tylko przygotujemy umowę, przedstawimy ją waszym prawnikom, jednak streszczając sprawę, chciałbym ją oprzeć na tradycyjnej zasadzie, zgodnie z którą wynagrodzenie wypłacane jest pod warunkiem rozwiązania problemu. Zdaję sobie sprawę, że będzie to kosztowna operacja, jednak przez te napady ponosimy straty sięgające pięciu milionów kredytów dziennie. Nawet tak duża kompania jak Transkootenay nie może sobie na to pozwolić.

Z tych też powodów będziecie otrzymywać pół miliona kredytów *per diem* oraz zwrot kosztów do wysokości dwóch milionów kredytów *per diem*. Wydatki będzie rozliczał sekretariat Transkootenay Mining przez sześć ziemskich miesięcy, podczas których spróbujecie zidentyfikować przestępców, którzy zaatakowali Transkootenay Mining, stając się zagrożeniem dla życia i zdrowia pracowników oraz przedstawicieli firmy, niszcząc jej własność oraz rabując zasoby naturalne, do których eksploatacji Transkootenay Mining ma prawa na mocy kontraktu zawartego między Transkootenay Mining a

rzędem układu Foley.

Pod koniec tego okresu umowa między Transkootenay Mining a Star Risk, Ltd. może zostać przedłużona na kolejne sześć miesięcy. Jeśli Star Risk, Ltd. satysfakcjonująco wywiąże się z określonych w umowie zadań, otrzyma wynagrodzenie w wysokości co najmniej dziesięciu milionów kredytów oraz ewentualne premie związane z wcześniejszym albo sprawnym rozwiązaniem problemu. Kwoty te wypłaci rząd układu Foley za pośrednictwem Transkootenay Mining.

Witajcie zatem na pokładzie – zakończył Reg Goodnight, zmieniając ton na bardziej osobisty. – Oby udało wam się pomóc naszej kompanii, tak jak pomogliście mojemu bratu.

Wiadomość nadprzestrzenna zaszyfrowana kodem jednorazowym:

JEDNO ZAGROŻENIE ODPADŁO. Z NIEZNANYCH PRZYCZYN TRANSKOOT ODRZUCIŁ OFERTE CERBERUSA I PODPISAŁ UMOWĘ Z NIEZNANĄ MAŁĄ FIRMA. NOWYM BRAKUJE STATKÓW, AGENTÓW I ROZPOZNANIA TERENU. SZYBKO ICH USADZIMY. MACIE CO NAJMNIEJ SZEŚĆ MIESIĘCY NA NIEZAKŁÓCONĄ REALIZACJĘ PLANU.

Na ekranie statek wyglądał jak spłaszczona piramida z dwoma płatami ustateczniającymi wystającymi przed mieszczącą kokpit część centralną, na których zamontowano elektronikę. Potrzebne do działań w atmosferze skrzydła typu delta ciągnęły się od rufy przez jedną trzecią kadłuba. Całości dopełniały cztery wielkie walcowate zespoły napędowe.

– Osiemnaście patrolowców typu *Pyrrhus* plus części zapasowe do nich i tak dalej – mówiła młoda specjalistka do spraw sprzedaży, starając się zachować spokój. Była jednak zbyt podniecona nagłym ożywieniem interesów. Przed wizytą Friedricha von Baldura panował w nich dający się we znaki zastój. – Chamkami Starship Systems chętnie dostarczy wam to wszystko. Promocyjnie dorzucimy jednostkę pomocniczą wedle waszego wyboru.

– Słyszałem, że wasza firma dba o klienta i nie jest pazerna – powiedział z uśmiechem. – Dlatego do was przyszedłem. Chyba zdecyduję się na ten przebudowany transportowiec, który stoi na tyłach stoczni. Nazywa się *Corsair*?

Kobieta wywołała obraz statku na ekranie. Zasadniczo przypominał okarynę wyrzeźbioną przez obłąkanego mizantropa, co sugerował samotny mostek na szczycie bulwiastego kadłuba zwężającego się ku zdumiewająco małemu przedziałowi napędowemu.

– Tak, proszę pana... To raczej niezwykły statek – powiedziała kobieta. – Rejestr Sojuszu wymienia go jako frachtowiec, w rzeczywistości jednak gruntownie i bez

zezwoleńia przerobił go pewien admirał, którego odesłano do cywila, ledwie sprawa się wydała. Jest komfortowo urządzony i całkowicie zrobotyzowany.

– I mimo to stoi zapomniany? Dlaczego, panno Winlund? – spytał Baldur.

– W opisie katalogowym widnieje uwaga, że ciężko się go pilotuje w atmosferze. Ponadto moc napędu nie jest adekwatna do deklarowanego tonażu.

– Nie zamierzam się nim ścigać – stwierdził Baldur. – Chcę go wykorzystać jako naszą siedzibę.

– Jest jeszcze jedno... – Kobieta zawiesiła głos. – Może nie powinnam o tym wspominać, ale cenię sobie pana jako klienta i mam nadzieję na kolejne pańskie zamówienia. Chodzi o to, że ten statek jest uważany za pechowy.

– Pod jakim względem?

– Po tym, jak przejął go Sojusz, miał kolejno trzech właścicieli. Wszyscy pozbywali się go przytłoczeni kłopotami, które na nich spadły.

– Ufam swojemu szczęściu – rzekł Baldur. – Ale dla odwrócenia pecha zmienię mu nazwę. Jest pewne arabskie określenie, które bardzo mi się podoba. Dźwięczne i wyraża życzenie powodzenia dla wszystkich. Od dziś statek będzie się nazywał *Boop-Boop-A-Doop*.

Panna Winlund spojrzała na niego zdumiona, ale zaraz się opanowała.

– Może być *Boop-Boop-A-Doop*, panie Baldur. Dopilnuję, aby nasze warsztaty wymieniły tabliczkę na kadłubie, i wpiszę nową nazwę do rejestru.

– Świetnie – powiedział Baldur. – Czy możemy zatem przejść do szczegółów finansowych? Rachunek należy wystawić na Transkootenay Mining, oddział w układzie

Foley, z centralą na planecie Mfir. Ich adres elektroniczny to...

– Dziękuję, ale mam już ich w kompie – przerwała mu panna Winlund. – Jako największa firma handlująca w tej okolicy używanymi statkami wiele razy robiliśmy już interesy z tą kompanią. Czy będzie pan potrzebował pomocy w rekrutowaniu załóg?

– Nie – odparł Baldur. – Przy obecnej pladze pokoju nie powinienem mieć z tym żadnych kłopotów.

– Przyjrzyjmy się temu – mruknęła Riss. – Będziemy potrzebowali dwóch tysięcy pocisków przeciwokrętowych. Czy może pan dostarczyć je ze standardowymi pylonami i systemem naprowadzania?

– Przy takim zamówieniu sam je zaprojektuję i zbuduję. Co jeszcze?

– Tyle samo kompletów podstawowego uzbrojenia piechoty wraz z oporządzeniem. Do tego pięć jednostek ognia i granatów na komplet. Dalej sto działek piechoty z dziesięcioma jednostkami ognia na każde.

– Mundury?

– Wątpię, żebyśmy namówili tych ludzi do ich włożenia – powiedziała Riss. – Jeszcze dwieście przenośnych komunikatorów dalekiego zasięgu. – Zastanowiła się chwilę. – To chyba będzie wszystko. Proszę dostarczyć całe zamówienie jak najszybciej do Star Risk, Ltd., miasto Sheol na planecie Mfir, układ Foley.

– Zaraz przygotuję fakturę – powiedział sprzedawca i pobiegnął robić swoje.

– Będzie tego kilka ton śmierci i kalectwa – mruknął Chas Goodnight, który milcząco przysłuchiwał się

rozmowie.

– Na początek powinno wystarczyć – odparła Riss.

– Rozumiem, że zamierzamy odsprzedać to górnikom. Z jakim narzutem?

– Wystarczy piętnaście procent plus koszty transportu.

– Jeśli poczekamy na kolejne trupy, przełkną i pięćdziesiąt procent.

– Piętnaście wystarczy – powiedziała zdecydowanie M'chel.

Goodnight pokręcił głową.

– Nie wiem, czy mi się podoba taka uczciwość.

Przesłona iluminatora rozsunęła się jak tęczęwka, ukazując trudne do zdefiniowania barwy nadprzestrzeni. Po chwili na ich miejscu pojawiły się nieco bardziej swojskie punkciki gwiazd normalnej próżni.

Oprócz Groka i King w głównym salonie liniowca było jeszcze tylko kilku pasażerów. Wnętrze urządzone w staroświeckim stylu, z masą czerwonej skóry i panelami ze sztucznego drewna.

Większość pasażerów przebywała w kabinach, pakując bagaże i wypełniając deklaracje celne. Inni jeszcze krążyli niecierpliwie po korytarzach w pobliżu śluz.

Liniowiec był wielki i uchodził za luksusowy, jednak skoro zawijał do układu Foley, musiał być jednostką żeglugi lokalnej, dowożącą pasażerów do głównych portów kosmicznych sektora. Poza tym nosił widoczne ślady zużycia.

Do Jasmine podszedł steward z tacą i podał jej tulipanową szklankę z pianistym błękitnym napitkiem. Grok sięgnął po ciastko z kremem i wodę.

– Twoje zdrowie – powiedziała King, unosząc szkło.

– Nie wiedziałem, że można wznosić toasty słodocznymi – zdziwił się Grok.

– Jesteś obcy. Cokolwiek zrobisz, będzie na miejscu.

Grok chrząknął i poprawił się na poduszkach kanapy.

– Nieprawda. Ta pokojówka, która sprzątała naszą kabinę, patrzyła na mnie jakoś dziwnie.

– Myślała, że ze sobą sypiamy – powiedziała King.

– Dlaczego mielibyśmy to robić? – zdziwił się Grok. –

Te koje są i tak za małe. Dzięki, że odwiodłaś mnie od zarezerwowania zwykłej kabiny.

– Jej chodziło o inne spanie – wyjaśniła Jasmine.

– Aha... Ale to jeszcze dziwniejszy pomysł. Przypuszczam, że nasze organy płciowe nie pasowałyby do siebie.

– Zapewne nie – stwierdziła Jasmine ze śmiechem.

– Jeszcze jednego nie rozumiem – powiedział Grok. Przełknął ostatni kęs i zlizął krem z palców. – Dlaczego właściwie chciałaś, żebym z tobą poleciał? Niewiele wiem o angażowaniu pilotów statków kosmicznych, zwłaszcza obeznanych z walką w próżni.

– Ja też o tym mało wiem, znam jednak kogoś, kto nas oświeci – powiedziała King. – Poprosiłam o twoje towarzystwo, żebyś pilnował kasy, gdy będę się taplać w tym luksusie. Ale przede wszystkim chodziło mi o ochronę.

– Przed czym?

– Przed kim – sprostowała. – Przed tymi pilotami.

– Chyba się zgubiłem – mruknął Grok. – Dlaczego ktoś, kto daje bezrobotnym pilotom dobrze płatną robotę, i to taką, jaką kochają, miałby się ich obawiać?

– Nie znasz pilotów – powiedziała Jasmine. – Ale podsunę ci coś... nazywa się to koan... co pomoże ci to zrozumieć.

– Wiem, co to jest koan – powiedział Grok. – Moja rasa studiuje różne, także obce systemy filozoficzne. Buddyzm nie jest mi obcy.

– Świetnie. Zatem jak zamknąć usta pilotowi myśliwskiemu?

– Mam teraz oddać się kontemplacji?

– Nie – odparła King. – Sama ci odpowiem: trzeba mu

związać ręce.

Grok zmarszczył i tak już zbrudzone czoło i spojrział przez iluminator na planetę, która była celem ich ostatniego skoku nadprzestrzennego.

– Nie rozumiem.

Zanim Jasmine zdołała cokolwiek wyjaśnić, Grok wskazał na coś w próżni.

Ku liniowcowi mknęła formacja myśliwców. Uszykowana była w klin, bez wątpienia chodziło więc o atak.

– Ale Sojusz nie toczy obecnie z nikim wojny – powiedział zszokowany Grok. – W każdym razie o żadnej nie słyshałem...

– Do wszystkich pasażerów – dobiegło nagle z głośników. – Zbliżamy się do Boyington i przygotowujemy się do lądowania. To, co państwo widzicie, to symulowany atak prowadzony przez miejscowych pasjonatów pilotażu. Zawsze wykorzystują nas do ćwiczeń, niczym nam to jednak nie grozi. – Mówiący te słowa zamierzał chyba wyłączyć mikrofon, spóźnił się jednak i pasażerowie usłyszeli także nie przeznaczone dla nich zdanie: – Chyba że któryś z tych dupków w nas wleci...

Potem głośniki ucichły i Jasmine zaniósła się śmiechem.

– Mimo mojej postury nie obronię cię przed myśliwcami – powiedział Grok.

– Wcale tego nie oczekuję.

– Zatem...?

– Mniejsza o to. Sam niebawem zobaczysz, o co chodzi – odparła Jasmine.

– Byłaś tu już kiedyś?

– Nie. Ale zakładam, że wszyscy piloci są tacy sami.

Planeta Boyington była urządzona na podobieństwo raju dla miłośników latania, choć tak naprawdę nikt tu tego – i niczego innego – nie planował. Młody świat z płaskim centralnym kontynentem, ledwie zaznaczającymi się porami roku i stabilną pogodą został zasiedlony nad wyraz chaotycznie. Między niewielkimi, luźno rozrzuconymi osadami zostało mnóstwo miejsca na lądowiska, poligony i inne tego rodzaju udogodnienia dla awiatorów.

Co ważniejsze, stali mieszkańcy tego świata świetnie rozumieli, że to właśnie dzięki pilotom i personelowi pomocniczemu zarabiają na chlebek z masełkiem.

Do pewnego stopnia dbali nawet o swoje miasta. Ulice były szerokie, jednak to, czy dom sąsiedował z burdelem czy z fabryką silników, było już kwestią przypadku.

King i Grok opuścili statek, wzięli swój bagaż, przeszli całkiem zwyczajną kontrolę celną i zamachali na taksówkę.

Wkoło było bardzo głośno. Na bocznym lądowisku tuzin małych patrolowców w kółko ćwiczył przyziemianie. Zamęczano tym młodych pilotów od zarania lotnictwa i wprowadzenie antygrawów nic w tej materii nie zmieniło.

– Do dobrego hotelu – powiedział Grok do kierowcy taksówki. – Gdy już się zameldujemy, pojedziemy do Bishop Suites.

– Jasne.

– Hotel ma też być cichy – zastrzegł Grok.

Taksówkarz uniósł brew.

– Skoro tak, najlepiej pan zrobi, jeśli od razu wróci na liniowiec – odrzekł.

Grok warknął coś i wsiadł. Wiszący w powietrzu ślizgacz przechylił się mocno na jego stronę i trochę trwało, nim automatyka zdołała to skompensować.

– Trudno – powiedział futrzak. – Zatyczki w uszy i do roboty.

– Czysty nietzscheanizm w platońskiej jaskini – westchnął Grok. – Naprawdę nie żartowałaś.

King pokiwała głową, zeszła z drogi halsującemu pijaczkowi i weszła w głąb hotelowego holu. Grok ruszył za nią. Miał na sobie pas z bronią i granatami, Jasmine występowała nie uzbrojona.

– Być może popełniliśmy błąd! – rzuciła, przekrzykując pół setki imprezowiczów i dwa zespoły muzyczne z dwóch różnych parafii. – Dziś jest dzień wypłaty i wszyscy świętują. Jednak tym bardziej powinniśmy znaleźć tu naszego człowieka.

– Zachowują się tak za każdym razem, gdy ktoś im zapłaci? – spytał Grok, patrząc na półnagą blondynkę ścigającą całkiem nagiego blondyna. Za nimi gnała hałaśliwa banda mężczyzn i kobiet w lotniczych strojach.

Tu i ówdzie widać było też obcych, którzy świetnie się bawili, widząc, jak rodzaj ludzki robi z siebie głupka.

– Z tego, co słyszałam, co miesiąc jest tak samo – odparła King.

– Jak ich wątroby i uszy to wytrzymują?

Jakiś mężczyzna w rozpiętym do pasa kombinezonie rzucił się ku Jasmine.

– Masz szczęście, kociaku! – zawołał. – Właśnie spotkałaś mężczyznę swojego życia!

King odsunęła się i skinęła na Groka. Obcy złapał natręta za kołnierz, zawinął nim dwa razy nad głową i puścił. Mężczyzna z przeciągłym krzykiem poleciał w ciżbę, gubiąc kombinezon.

– A wracając do twojego pytania – powiedziała

podniesionym głosem Jasmine. – Oni nie myślą o przyszłości. Tacy już są. Przypuszczam, że na wstępnych testach do szkół pilotażu bada się też wyobraźnię kandydatów. Jeśli ktoś się przejmuje, że może wlecieć w wieżowiec albo że zabraknie mu paliwa na tysiąc metrów przed progiem pasa, dostaje wilczy bilet. Ale chodź. Przy barze na pewno znajdziemy kogoś, kto zna gościa, którego szukamy.

Przepchnęła się ku długiemu kontuarowi, gdzie uwijało się gorączkowo co najmniej piętnastu oktopoidalnych barmanów.

Jakiś odsunięty przez Jasmine mężczyzna odwrócił się z uniesioną pięścią. Gdy ujrzał dziewczynę, zdębiał, zaraz jednak rozłożył szeroko ramiona. King zanurkowała mu pod pachą i już była przy barze. Spytała o coś jednego z barmanów, który podrapawszy się po brodzie, wskazał jej kogoś.

Jasmine podziękowała, podała mu banknot i przepchnęła się z powrotem do Groka, który nie dosłyszał z tego ani słowa.

– Jest w Cichym Barze – powiedziała. – To po drugiej stronie tego cyrku idiotów.

Na ów cyrk składała się grupa lotników płci obojga, która utworzywszy szpaler, agresywnie witała wszystkich spoza branży. Popychani, szturchani i obrzucani złośliwymi komentarzami goście nie wyglądali na zachwyconych tym traktowaniem.

– Nie podoba mi się to – stwierdziła King. – Czy mógłbyś ich nauczyć dobrych manier?

Grok kiwnął głową, warknął rozgłośnie, zagłuszając na chwilę grajków, i runął na szpaler, rozkładając ramiona jak

skrzydła wiatraka.

Być może nie było to eleganckie wejście, okazało się jednak skuteczne. Lotnicy rozsypali się na boki. Kto nie zdążył, został wdeptany w podłogę. Reszta natychmiast straciła zainteresowanie dotychczasową rozrywką i poszukała sobie bezpieczniejszej okolicy.

King skorzystała z utworzonego na krótko przejścia i szybko przemaszerowała za Grokiem do Cichego Baru.

– Zauważyłaś, że nawet nie sięgnąłem po broń? – zapytał ją futrzak.

– Prawdziwy pacyfista – pochwaliła go Jasmine.

W Cichym Barze nie było na szczęście żadnych muzyków, jednak gwar rozmów robił swoje:

– ... spadłem na nich z trzydziestu tysięcy cicho jak gówno sowy, akurat gdy szykowali się do przechwycenia, odpaliłem dwie salwy, dałem w górę, a potem...

– ... podobno to już pewne, że Sojusz wybierze McG Destructora na swój nowy standardowy lekki myśliwiec, muszą tylko dopracować napęd...

– ... jasne, że możesz podpisać ten kontrakt, tyle że się tam zanudzisz, ganiając drobnych rzezimieszków...

– ... więc gdy skończysz w którymś z tych wielkich gratów, najpierw musisz sprawdzić, czy moduł ewakuacyjny jest przeznaczony dla ludzi. Jeśli nie, może cię wystrzelić prosto w tę cholerną wręgę, co zaszkodziłoby twojej karierze...

– ... to pewne, przyjacielu. Masz tu czarno na białym, jacy dokładnie obcy są potrzebni, co dla ciebie i dla mnie znaczy jedno...

Grok zauważył, że wszyscy wymachują rękami, jakby właśnie zbierali się do lotu. Zupełnie jak w tym koanie

Jasmine.

King pochyliła się nad kontuarem i barman zwrócił ku niej jedną z głów.

– Szukam Redona Spady – zagadnęła go Jasmine.

– Tam jest – powiedział, wskazując macką.

Grok wyciągnął głowę, aby zobaczyć tego legendarnego asa przestworzy.

Oczekiwał, że będzie to ktoś wysoki, jasnowłosy, z wyraźnie zarysowaną szczęką, w kombinezonie upstrzonym naszywkami jednostek i odznakami upamiętniającymi liczne misje. Winien wiadrami wlewać w siebie *ale*, najlepiej z kostkami suchego lodu, i popijać je czystym spirytusem.

Tymczasem ujrzał szczupłego ciemnowłosego mężczyznę w staromodnych okularach i granatowym stroju, na którym nie było żadnych oznaczeń. Przed sobą miał filiżankę herbaty oraz plik jakichś wydruków, najwyraźniej bardzo zajmujących.

– Pan Spada? – spytała King.

Mężczyzna wstał.

– Owszem, to ja – odparł uprzejmie. – Zechcecie spocząć?

Jasmine przedstawiła siebie oraz Groka i usiadła. Futrzak rozejrzał się za masywniejszym meblem i przyniósł sobie stółek barowy, na którym jeszcze bardziej górował nad otoczeniem.

– Zakładam, że to nie moja aparycja panią tu sprowadziła – rzekł Spada.

King uśmiechnęła się i podała mu firmową wizytówkę. Mężczyzna przyjrzał się jej uważnie i pokiwał głową.

– Jak to czasem się układa... – powiedział. – Trzy

miesiące temu niewiele mnie dzieliło od przyjęcia samobójczej posady w szkole pilotażu albo powrotu w kamasze. Najpierw dostałem ofertę od sił policyjnych rozwijających program nadzoru satelitarnego, którego miałbym być szefem. Potem przyszła propozycja od jakichś zdesperowanych rebeliantów. A teraz wy. Czy mogę poznać szczegóły?

– Mamy osiemnaście jednostek patrolowych typu *Pyrrhus* – powiedziała King. – Potrzebni nam piloci, personel pokładowy i naziemny.

– Typ P? Hm. Sam pewnie wybrałbym coś lepszego, ale... latałem już na gorszych gratach. Znacznie gorszych. O jaką robotę chodzi?

King opowiedziała mu o układzie Foley.

– Ciekawe – mruknął Spada. – Naprawdę ciekawe. Ile płacicie?

– Pięć tysięcy miesięcznie. Gotówka, nie opodatkowana, co najmniej przez pół roku. Premia, gdy wygramy. Pełna opieka zdrowotna i ubezpieczenie.

– Gdy wygramy, a nie jeśli. Podoba mi się takie podejście – powiedział Spada. – A co do bandytów... Nie wiecie, czego chcą? Zakładając, że nie są to zwykli rabusie.

– Na razie nic jeszcze o nich nie wiemy. Grok, który jest naszym specjalistą od rozpoznania elektronicznego i tego rodzaju spraw, zajmie się tym na swój sposób. Waszym zadaniem będzie możliwie najlepiej chronić górników i kompanię oraz wytropić bazy złych chłopców. Gdy już to zrobicie, uderzymy na nich całą siłą.

– Możliwie najlepsza ochrona też mi się podoba – stwierdził Spada. – Sugeruje, że znacie realia i wiecie, że osiemnaście patrolowców nie upilnuje całego pasa asteroid.

Skoro zaś nie wiecie nic o bandytach, można założyć, że nie różnią się zbytnio od innych mieszkańców układu.

– Na pewno są ludźmi – odparła King. – Tyle przynajmniej wynika z meldunków.

– Czyli oni też muszą się mieć na baczności przed szpiegami, sabotażystami, podwójnymi agentami i tak dalej.

– To wiąże się z drugą sprawą – powiedziała Jasmine. – Oprócz pilotów, załóg i mechaników będziemy też potrzebowali ludzi od logistyki i ochrony lądowisk. Z drugiej strony nie możemy sobie pozwolić na takie rozdmuchanie etatów jak we flocie Sojuszu. Nasz budżet to siedemset pięćdziesiąt tysięcy kredytów na dzień.

Spada pokiwał głową.

– W tych czasach to niewiele, z drugiej strony te same czasy sprawiły, że wszędzie pełno profesjonalistów bez pracy. Tak więc z tym nie będzie problemu. Ogólnie odnoszę wrażenie, panno King, że wie pani, o czym mówi. Przypuszczam, że niewiele bym zyskał, próbując się targować.

– Spróbować zawsze można – powiedziała Jasmine – ale ja też uważam, że byłaby to strata czasu. Poza tym na Boyingtonie są też inni piloci odznaczeni Krzyżem Galaktycznym.

– Racja, ale żaden nie jest tak przystojny jak ja.

Chciał coś dodać, ale przechodzący obok lotnik zatoczył się i upadł na jego stolik.

Grok nie zauważył, co Spada z nim zrobił, ale skutek był widowiskowy: pijaczek przeleciał parę metrów i gruchnął na podłogę.

– Nie cierpię gliniarzy – spokojnie ciągnął Spada, jakby

nic się nie stało. – A rebelianci rzadko płacą w terminie. Dajcie mi dzień na zastanowienie. Potem tak czy owak się do was odezwę. Zauważyłem, że zapisała pani na wizytówce numer hotelowego komunikatora... Może połączymy interesy z przyjemnością?

Mężczyzna wypadł przez wahadłowe drzwi, potknął się na wybojach, które nosiły tu nazwę ulicy, i usiadł z impetem na ziemi. Miał na sobie mokasyny, dół od skafandra próżniowego i nic więcej.

– Mówiłam ci już, że piję tylko z tymi, których lubię! – dobiegło zza drzwi Dew Drop Inn. – Drugiego ostrzeżenia nie będzie!

Górnik spojrział gniewnie na wejście do knajpy, zamrugał, westchnął i zwinął się do drzemki na środku ulicy. Riss i Baldur spojrzeli po sobie.

– Może powinniśmy byli wziąć Groka – mruknął Baldur. – Nie lubię zajęć z walki wręcz w czasie przeznaczonym na wypoczynek.

– Ja także – powiedziała Riss. – Pamiętaj, żebyś nie stał mi na drodze, gdy będę uciekać.

– Nawzajem – dodał Baldur i weszli do środka.

Knajpa była typowym lokalem w dzielnicy ludzi pracy.

Co trzy metry sterczały z szynkwasu nalewaki z piwem, między nimi umieszczono podajniki mocniejszych alkoholi. Zapasy trunków znajdowały się na zapleczu, poza zasięgiem ewentualnej awantury. Sześciu barmanów zostało starannie dobranych pod względem wzrostu, umiejętności bojowych i negocjacyjnych. Zależnie od potrzeby potrafili wyperswadować gościowi bitkę albo zawczasu ogłuszyć go pałką.

Jedynym niestandardowym elementem wyposażenia był wielki ekran na suficie. Pokazywał pas asteroid oraz mrugające światełka znajdujących się tam kopalń i osiedli.

Nieliczni goście grali w szachy, zwykłe albo trójwymiarowe, i tylko jeden stołek przy barze był zajęty. Siedziała na nim kobieta. Miała trochę ponad półtora metra w każdym kierunku i krótko przycięte włosy, co nie było u górników niczym niezwykłym. Nosiała jednoczęściowy kombinezon pokładowy i ciężkie buty.

Przed nią stała w połowie opróżniona plastikowa butelka czystego alkoholu, zamknięty słoik z małą łyżeczką i szklanka wody. Obok leżało kilka zmiętych tanich cygar.

Riss i Baldur zacumowali przy barze, zamówili brandy oraz wodę do popicia i szybko zostali obsłużeni.

M'chel zerknęła na kobietę.

– Nie jest pani przypadkiem L. C. Doe? – zapytała.

– Jestem, ale nie przypadkiem – padła odpowiedź. – Sama się tak nazwałam.

– Można pani postawić drinka?

– Jasne. A może chcecie spróbować? – Podsunęła im słoik.

Riss zawahała się, ale otworzyła naczynie i powąchała zawartość.

– Czysty towar – powiedziała Doe. – Znam gościa, który to robi.

M'chel zamrugła i odetchnęła głęboko.

– Daje kopa – stwierdziła.

– Daje, i to jak – przyznała kobieta. – Przynajmniej z początku. Potem wszystko zwalnia.

– Może później się skuszę – powiedziała Riss, przekazując słoik Baldurowi.

– Lepiej nie – mruknął Freddie. – Po czymś takim może pójść krew z nosa.

– Dobra, misie – powiedziała Doe i sama wciągnęła

narkotyk przez nos. – Zakładam, że zjawiliście się tu ze względu na mnie.

– Owszem.

– Widzieliście tego dupka, którego wyrzuciłam na ulicę?

– Tak.

– Gdy jestem w ciągu, trudno ze mną dojść do porozumienia. Tak więc jeśli chcecie sensownie pogadać, też powinniście sobie niuchnąć.

– Chodzi o Górnicze Stowarzyszenie Samopomocy, któremu pani przewodniczy.

– Szlag! – rzuciła Doe. – Pieprzony interes. Ale... – Spojrzała na bar. – Bennie, daj otrzeźwiacz.

Barman sięgnął pod szynkwas, wyjął stamtąd jakąś buteleczkę i podał ją Doe.

– Wstyd psuć dobry towar, ale mówi się trudno – mruknęła kobieta, otworzyła buteleczkę i zdrowo z niej pociągnęła. Zaraz potem zadrżała i zatrzęsła się, jakby dym miał jej pójść z uszu. Oczy jej poczerwieniały i dwa razy przełknęła ślinę. – Wszystkie radości kaca w dziesięć sekund – wyjaśniła po chwili. – I błyskawiczny detoks. – Opróżniła butelkę i powiedziała: – Mam nadzieję, że to rzeczywiście jakaś lepsza sprawa.

– Nie wiem, czy lepsza, ale na pewno ważna – odrzekła Riss, po czym przedstawiła siebie i Baldura.

Doe przyjrzała im się uważnie.

– Poszukajmy lepiej jakiegoś cichego kąta – zdecydowała. – Piwo chyba też mi nie zaszkodzi.

Riss dopiła brandy, postukała palcem wskazującym w krawędź szklanki i Bennie znów jej polał. Wyciągnął butelkę ku Baldurowi, który jednak odmownie pokręcił głową.

Znaleźli stolik z dala od graczy.

– Zauważyliście, jaka jestem uprzejma? – powiedziała Doe. – Siedzę z wami, szychami z Transkootenay, rozmawiam i jeszcze nie wyrzuciłam was za drzwi.

– Ale zawsze możesz spróbować – stwierdziła Riss.

– Prowokujesz mnie, dziewczę? – spytała kobieta, unosząc brwi.

– Nie. Zwracam tylko uwagę, że trudno mnie skądś wyrzucić.

Doe przemyślała sprawę.

– Jeszcze parę minut temu pewnie odesłałabym was na ulicę – odezwała się – ale teraz... Zwłaszcza że macie konkretną sprawę. Poza tym, jak tak na was patrzę, to mam wrażenie, że też mogłabym oberwać. A więc pokój. Muszę was tylko ostrzec, że jeśli waszym zdaniem Samopomoc Górnicza macza palce w tym, co się dzieje, albo jest powiązana z tymi szumowinami, to na pewno się nie dogadamy.

– Nie lubimy marnować czasu – odparł Baldur. – Swojego ani cudzego.

– No, to pogadajmy – zachęciła ich Doe. Usiadła prosto i przepłukała gardło piwem. – Jestem nieufna... ale mam powody. Jakiś czas temu zajrzało tu dwóch mięśniaków pracujących dla Transkootenay. Mówili, że są z Cerberusa czy czegoś takiego. Zastanawiali się głośno, czy aby my, górnicy, nie chcemy wyślizgać Transa i zawiązać jakiejś spółdzielni. Bez sensu. Transkootenay nie jest najgorsze i można z nim żyć. Poza tym mało który górnik miałby ochotę brać sobie na głowę zarządzanie czymś takim. Zwłaszcza ja. Spróbowałam już, jak to jest, przejechałam się i dziękuję.

– Nawet nam to przez głowę nie przeszło – skłamał Baldur. – Mamy z Transkootenay kontrakt na ochronę kompanii i jej górników. To po pierwsze. Po drugie, mamy ustalić, co to za szumowiny, jak ich nazwałaś, się tu rządzą, i przekazać im to i owo w zrozumiałym dla nich języku.

– Wygadany jesteś – mruknęła Doe, zapalając nieziemsko śmierdzące cygaro. – I nawet przystojny jak na starego pierdziela.

Riss zacisnęła usta, żeby się nie uśmiechnąć, Baldur zaś jakby się zmieszał.

– Dobra – rzuciła Doe. – Wiem już, co zamierzacie, i rozumiem, że będzie to operacja na poły wojskowa. Czego chcecie od nas?

– Nie chcę nikogo oskarżać – powiedziała Riss – ale te typy, kimkolwiek są, muszą mieć wśród was jakieś wtyczki.

– Mowa – rzuciła Doe. – Tyle że pojęcia nie mam, gdzie ich szukać. Górnicy pracują samotnie. Z drugiej strony, gdy wracają do cywilizacji, kłapią dziobem na lewo i prawo.

– Właśnie. Gdyby usłyszała pani cokolwiek albo wpadła na coś, będziemy wdzięczni za kontakt – powiedział Baldur.

– Nie znam się na kontrwywiadzie, ale nastawię ucha – zgodziła się kobieta. – Jeśli to nie będzie jakiś mój przyjaciel, pewnie dam wam znać. Jeszcze coś?

– Owszem – powiedziała Riss. – Jak wspomniał pan Baldur, mamy też chronić górników. Niebawem zaczniemy loty patrolowe, ale nie możemy objąć nimi całego pasa. Dlatego chcemy sprzedawać zainteresowanym górnikom pokładowe systemy uzbrojenia. Mam na myśli raketowe pociski przeciwokrętowe.

– Na smoczą dupę! – zdumiała się Doe. – Transkootenay ani rząd układu nie zatańczą z radości, gdy się dowiedzą, że chcecie uzbrajać takich nieokrzeszańców jak my.

– Nie zamierzamy nikogo pytać o zdanie – wyjaśnił Baldur.

– Ponadto zaoferujemy uzbrojenie osobiste i dalekodystansowy sprzęt łączności do powiadamiania naszego centrum operacyjnego – powiedziała Riss. – Wszystko prawie po kosztach. A gdy już będziemy mieli porządną bazę, zorganizujemy baterie działek do obrony terenu.

– Nieźle – mruknęła z szacunkiem Doe. – Widzę, że się nie opieprzacie.

– Nie mamy na to czasu – stwierdziła Riss. – A teraz chcielibyśmy usłyszeć, jak zwykliście działać. Chodzi o to, jak najlepiej utrzymać te szumowiny z dala od was. Wspomniała pani, że zwykle pracujecie samotnie. A gdybyście pracowali parami albo w małych grupach, które łatwiej chronić?

– Nie ma szans – powiedziała z przekonaniem Doe. – Wszyscy patrzyliby na siebie wilkiem, podejrzewając, że reszta chce im ukraść działkę, albo kombinowałiby, jak podprowadzić cudzą.

– Może mam rozwiązanie – odezwał się Baldur. – Moglibyśmy konwojować górników do ich działek i zbierać ich, gdy zechcą wracać.

– Też nie – westchnęła Doe. – Z tego samego powodu.

– Rozumiem – rzekła M'chel. – Ale mam jeszcze jeden pomysł. Przejrzałam raporty o dotychczasowych rabunkach. Nie znalazłam tam jednej informacji. Ile czasu miało zwykle od chwili, gdy poszkodowani zgłosili

pretensje do działki, do momentu, gdy zostali zaatakowani? Z tego, co wyczytałam, wynika, że przeprowadza się to zwykle, przekazując dane przez radio do biura Transkootenay na Sheolu.

– Cholera – zaklęła Doe. – Chyba nikt tego nie sprawdzał.

– Monitorowanie określonych częstotliwości, żeby przechwycić informacje o górniku, który znalazł coś ciekawego, to nie problem...

– Jasne, że nie.

– Proponowałabym zatem pewną zmianę procedury – powiedziała Riss. – Czy można by przekonać górników, panno Doe, aby zamiast przez radio, zgłaszali swe odkrycia osobiście?

– L. C, a nie panno – warknęła Doe. – Mogę spróbować. Mnie posłuchają prędzej niż kogoś obcego. Zwłaszcza gdy powiem, że w ten sposób można uniknąć spotkania z grabarzem. Co dalej?

– Duża sprawa – powiedziała Riss. – Te dranie muszą mieć gdzieś swoją bazę. Na razie nie wiadomo gdzie. Czy moglibyście zacząć się trochę rozglądać?

– *Górnicy zawsze się rozglądają* – płynął z rejestratora głos Doe. – *Tyle że jeśli z tym przesadzą, ktoś może im zrobić kuku. Ale przekażę im to.*

Na chwilę zapadła cisza.

– *Wciąż nie wierzę, że naprawdę chcecie sprzedać nam te rakiety. Prawdziwe, wredne jak diabli rakiety...*

Riss wyłączyła rejestrator i rozejrzała się po wysłanym pluszami salonie *Boopa*. Dokoła siedziała reszta ekipy *Star Risk*.

– To zasadniczo całe nagranie – powiedziała. – Wciąż nie wiem, czy górnicy staną po naszej stronie.

– Wątpię – stwierdziła Jasmine. – Zapewne trzeba będzie czegoś spektakularnego, żeby się do nas przekonali.

– Też tak uważam – odezwał się Baldur. – Na przykład pojmania któregoś z tych drani. Tak go naszprycujemy, że wszystko wyśpiewa.

– A gdyby nie wyśpiewał, przy wiążemy go do stołu i wyrwiemy mu paznokcie – dodał Goodnight, wstając z fotela. – Przepraszam, ale na mnie już pora. Umówiłem się z bratem na obiad. Muszę mu zadać kilka pytań.

– Czekamy potem na relację – rzuciła Riss.

– Jasne, jasne.

– Ja też mam robotę – powiedział Grok. – Grzebanie w obwodach i pisanie instrukcji operacyjnych.

Chas Goodnight zaniósł się śmiechem. Reg mu zawtórował, chociaż nie było mu wesoło.

– Też bym się dobrze bawił, gdyby ci gliniarze nie przyszli po mnie zamiast po ciebie – powiedział.

– Wiedziałem, że masz solidne alibi – rzekł Chas.

– Tak. Namawiałem tę rudą... jak jej tam... żeby poszła ze mną na tańce.

– Ale nie poszła – powiedział Chas. – Jeśli ja nie mogłem się wyrwać, dlaczego tobie miałyby się udać?

– Tak – mruknął Reg i spoważniał na chwilę. – Ale widać taki już los młodszego brata – dodał z uśmiechem.

Chas zauważył jego zmianę nastroju.

– Wciąż jesteś na mnie za to wściekły? Jeśli tak, to przepraszam. Biję czołem w podłogę.

– Nie. Nie jestem zły. Wtedy też tak naprawdę nie

byłem. Chyba szybko zrozumiałem, że starsi bracia po prostu tacy są. – Nalał sobie wina. – Prawdę mówiąc, tylko raz naprawdę się na ciebie wkurzyłem. Na drugim roku w Harvardzie, kiedy urwały się przelewy.

– To nie była moja wina – odparł Chas. – Złapali mnie i miałem masę kłopotów.

– Wiem. Jednak niełatwo było mi opuścić Alfa Tau i szukać pracy. Dopiero wtedy się przekonałem, między jakich snobów trafiłem. Zresztą sam też pewnie byłem taki. Znalazłem pracę w pralni, do której zaglądali czasem koledzy z roku. Rzucali mi ciuchy i rechotali ze mnie, że skończyłem jako robot. Ale się zemściłem. Wiesz, że jeśli dodać pewnych chemikaliów do sików i zanurzyć w tym ubranie, to gdy ktoś w czymś takim się spoci, zaczyna nieziemsko śmierdzieć?

Tym razem obaj szczerze się roześmiali.

– To cud, że obu nam się udało wyrwać – powiedział Chas. – Tobie nawet dość wysoko.

Reg spoważniał.

– Radzę sobie, to prawda – przyznał. – Jednak ciężko pracuję na każdy kredyt, zwłaszcza teraz, gdy ktoś zabija mi górników. Na dodatek Transkootenay nie jest łatwym pracodawcą. Dobrze płaci, ale nie toleruje porażek. Raz powinie ci się noga i już topór w robocie. Daję z siebie wszystko. Popatrz tylko na mnie. Dwadzieścia dziewięć standardowych lat, nie mam żony, dzieci ani nawet własnego domu. A w Sheolu to i dziewczyny nie udało mi się dotąd przygruchać.

– Naprawdę chciałbyś tu szukać dziewczyny? – zdumiał się Chas.

Reg uśmiechnął się.

– Masz rację – przyznał. – Powiniennem przestać narzekać. Może lepiej powiedz, dlaczego zaprosiłeś mnie na obiad.

– Chciałem się przekonać, czy taki ważniak jak ty wymusi tu sprawniejszą obsługę i lepsze żarcie niż to, co podali mi wcześniej. – Spojrzał z niechęcią na kręcącego się między stolikami szefa sali. – Udało ci się i teraz już wiem, że to możliwe. Odtąd będę dla nich bratem Rega Goodnighta i niech mi spróbują podskoczyć. A poważnie, to chciałbym cię spytać o kilka rzeczy. Nie tylko prywatnie.

– Mów – rzucił Reg. – Poproszę cię tylko o jedną, drobną przysługę.

– Tylko powiedz.

– Rozumiem, że potrzebujecie różnego sprzętu, którego nie zamawia się na co dzień...

– Myślisz o broni? – zapytał Chas.

– Też, ale najgorzej wyszło ze statkami, które kupiliście – powiedział Reg. – Dostałem już porządny opeer z centrali i muszę im to jak najszybciej wyjaśnić.

– Chcesz powiedzieć, że skończyły się dobre czasy i częściowo zakręcicie kurek? – spytał Chas. – Baldurowi na pewno się to nie spodoba. Zresztą ja też nie będę zachwycony.

– Nie, nie w tym rzecz – odparł szybko Reg. – Nadal będziecie mogli kupować takie... wyposażenie, jakie będzie potrzebne. Proszę tylko, żebyście uzgadniali ze mną od kogo. Ta firma, która dostarczyła wam statki, nie należy do naszych współpracowników. Od dawna już nie korzystamy z jej usług. Owszem, w tym sektorze nie ma wielu podobnych, ale cóż... mamy swoje preferencje.

– I jedna z tych preferowanych poleciała na skargę –

domyślił się Chas.

– Nie wiem, co się działo w centrali – powiedział Reg. – Staram się im tylko nie narażać. To tyle. A teraz pytaj.

– Chodzi o tych bandytów. Nie domyślcie się, skąd mogą operować? – spytał Chas.

– Ni w ząb. Tak jak powiedziałem Baldurowi.

– Dobra. Teraz druga kwestia, trochę śliska. Czy to możliwe, aby ich nasłał rząd układu?

– A po co miałyby to robić?

– Nie wiem – mruknął Chas. – Ale dajmy na to, może ktoś sobie zamarzył, że Transkootenay rozwinie dla nich przemysł wydobywczy, a oni w pewnej chwili zerwą kontrakt i zgarną całą pulę.

Reg już otworzył usta, ale zawahał się i zastanowił.

– Chciałem powiedzieć, że to niemożliwe – odezwał się po chwili – i że tutejszy rząd nie miałby ochoty bezpośrednio układać się z górnikiem, ale... – Znowu się zamyślił. – Nie. Nie sądzę, aby ci goście byli tacy przebiegli.

– W meldunkach nie ma nic o tym, czy ci bandyci używają takich samych statków kosmicznych, kombinezonów czy broni? – spytał Chas. – Na pewno nic nie wskazuje na jakąś operację specjalną? Pytam, bo sam brałem udział w kilku podobnych akcjach Sojuszu, a tutejsze władze mają pewnie jakiś zespół od takich spraw.

– Nie przypuszczam – odparł Reg. – Ale jeśli chcesz, wyślę wam wszystkie dane źródłowe, żebyście mogli sami je opracować. Macie pewnie lepsze oko do takich szczegółów niż ja.

– Ostatnie pytanie: kto z tutejszego rządu odpowiada za kontakty z Transkootenay?

– Dlaczego pytasz? – zdziwił się Reg.

– Szukam jakiegokolwiek tropu – wyjaśnił Chas.

– To kobieta. Dobry fachowiec, około pięćdziesiątki. Nie tyle dyplomata, ile administrator. Nazywa się Tan Whitley i jest szefem Departamentu Rozwoju Pozaplanetarnego na Glace.

– Dzięki.

Reg spojrział niepewnie na brata.

– Zamierzasz zostać w Star Risk? – zapytał.

Teraz to Chas się zamyślił.

– Na razie chyba tak – odparł. – Przynajmniej dopóty, dopóki chodzi o twoje sprawy. Potem... – Wzruszył ramionami. – Pewnie wrócę do dawnego trybu życia: klejnoty, kobiety i tak dalej. Jeśli trafi się okazja.

– Zrobiłem listę tego, czego przede wszystkim powinniśmy się dowiedzieć – powiedział Baldur do Riss i King. – Posłuchajcie mnie i powiedzcie, czy waszym zdaniem to wszystko. Po pierwsze: jak działa wywiad naszych złych chłopców. Wiemy, że muszą go mieć, skoro uderzają tak precyzyjnie. Po drugie: czy mają agentów w Sheolu albo na jakiejś podstacji. Po trzecie: jak działa ich rozpoznanie elektroniczne. Czwarta sprawa, która być może powinna być pierwsza, to jaki mają cel. Pomińmy coś?

Obie kobiety zastanowiły się.

– Na razie to chyba wszystko – uznała Riss.

– Dobrze, zatem gdy obejmiemy ochroną naszych górników... Hola, zaczynam gadać jak Reg Goodnight. Naszych, dobre sobie... Niemniej musimy zacząć ich chronić i mam nadzieję, że da to nam sposobność do przeciwuderzenia. No i dotarło do mnie jeszcze jedno. Gdy

Chas wróci na statek, będę musiał z nim porozmawiać. Oprócz Rega i paru osób z biura mało kto zna tutaj jego twarz i lepiej, żeby to się nie zmieniło. Nie wiem kiedy, ale możemy potrzebować kreta i byłoby dobrze, gdyby nikt go wówczas nie podejrzewał.

– Niezły pomysł – mruknęła Riss.

– Wątpię, aby Chasowi się to spodobało – zauważyła King.

M'chel uznała, że powinna strzelić sobie malucha, wzięła więc butelkę z barku i wyciągnęła syntetyczny korek.

Trunek nie pachniał najlepiej i pewnie nie był też smaczny, niemniej Riss nie mogła zasnąć i musiała coś z tym zrobić.

Postanowiwszy zająć myśli czymś, co w końcu ją uśpi, zapadła się w jeden z pluszowych foteli kapitańskich i rozejrzała się wokół.

Admirał, który przerobił *Boopa*, miał raczej konserwatywny gust i chyba nie zasłużył na odprawienie do cywila. Należało mu się raczej przeciągnięcie pod kilem. Przynajmniej z perspektywy przeciętnego podatnika, który zapłacił za tę imprezę, pomyślała, ziewając.

W sumie trudno było doszukać się na statku znaczących ekstrawagancji. Królował tradycyjny przepych: syntetyczne tapety, złota armatura i wanna z zabezpieczeniem przeciwrozlewowym, na wypadek gdyby nagle zanikła grawitacja.

Nawet obie centrale, dziobowa i rufowa, opływały w luksusy. Owszem, łajba z czterema działkami skrytymi w kopułach na kadłubie i samotną wyrzutnią rakiet była trochę niedozbrojona, ale co z tego? Nie na armatach świat zbudowano.

Doprawdy? A który to? – odezwał się zaczepnie wewnętrzny głos M'chel.

Riss odprawiła natręta i zaczęła się zastanawiać, z kim miałyby ochotę dzielić ten pokład, gdyby stała się tak bogata, żeby go sobie kupić.

Lista potencjalnych kandydatów okazała się nader krótka. Westchnęła, bo z jakiegoś powodu nie chciała szwendać się po galaktyce w pojedynkę.

Nie okłamuj się, pomyślała. Czujesz się coraz bardziej samotna.

Pięknie. Skoro tak, to kto by się nadawał?

Przebiegła myślami ostatni rok i nie znalazła nikogo, kto spełniałby jej oczekiwania.

Do diabła, kobieto, powiedziała sobie, za długo zadawałaś się z niewłaściwymi facetami. Może powinnaś...

W jej myśli wdarł się huk wybuchu, tak silnego, że statek zakołysał się na amortyzatorach. Natychmiast zerwała się na nogi i włączyła ekran. Omiotła teren kamerą, szukając miejsca eksplozji.

Nie było wcale dalekie od stoczni. Łuna wskazywała mniej więcej na centralę Transkootenay.

Riss pobiegła do swojej kabiny, wskoczyła w kombinezon, sięgnęła po wiszącą zawsze na ścianie uprzęż bojową, wyciągnęła blaster spod łóżka i pognęła do służby. W biegu odruchowo odbezpieczyła broń.

Zjawiała się pierwsza, o sekundy wyprzedzając Goodnighta i Groka. King przyszła chwilę później.

Wszyscy oprócz Jasmine byli uzbrojeni. Razem zeszli po rampie i pomaszerowali w kierunku huczących płomieni i coraz głośniejszego jęku syren.

Rzeczywiście chodziło o jeden z budynków kompanii, który leżał w gruzach spowity ogniem.

Baldur zauważył stojącego na tle płomieni Rega Goodnighta. Szybko złapał go za ramię.

– Co się stało? – zapytał.

– Nie wiem... – wydukał Reg. – Nie mam pojęcia. To

było nasze centrum zgłoszeniowe. Kompletnie zniszczone...
– Chciał coś dodać, ale dostrzegł policjanta niosącego jakąś rurę. – Co to jest?! – zawołał.

Gliniarz zignorował pytanie i dopiero po chwili się zreflektował, spostrzegłszy, kto je zadał.

– Jakaś wyrzutnia raketowa, proszę pana – odrzekł.

– Niech się jej przyjrzę – powiedział Baldur.

– Proszę mu ją dać – polecił Reg policjantowi, gdy gliniarz się zawahał.

– Poznajecie? – spytał Baldur swoich ludzi.

– Jasne – odparła Riss. – Sama takich używałam. Standardowa wyrzutnia pocisków do niszczenia bunkrów. Kaliber dziewięćdziesiąt milimetrów, ładunek kierunkowy. Przechodzi przez wszystko. W wersji z białym fosforem wznieca porządny ogień. Taki jak tutaj.

– Czy ktoś jest ranny? – spytała Jasmine.

– Nie możemy znaleźć strażnika – odpowiedział policjant. – Poza tym nie ma poszkodowanych.

– Czysty strzał – mruknął Chas Goodnight.

– Istotnie – zgodził się Baldur. – Zniszczyli wszystkie zapisy na temat praw własności i teraz żaden górnik nie udowodni, że ma w tym układzie jakieś poletko. Dobrze wybrali cel. – Skinął na pozostałych, aby poszli za nim, i zatrzymawszy się parę kroków od Rega oraz policjanta, oznajmił: – Teraz już wiadomo, jaki jest cel naszych przeciwników. Chcą, aby Transkootenay wyniosło się z tego układu razem ze wszystkimi górnkami. Zapewne po to, aby kto inny mógł go przejąć.

– Na razie prowadzą z nami jeden do zera – powiedział Grok. – Musimy jak najszybciej wyrównać.

W weekend życie zwolniło do miłego, rozleniwionego rytmu. Nikt nie był już trzeźwy, ale też nikt jeszcze nie upił się w sztok, gdy na niebie pojawiło się osiemnaście statków kosmicznych, które zanurkowały wprost na Sheol.

Leciały czterema zwartymi grupami w szyku czterech palców, z dwiema jednostkami osłaniającymi formację od góry. Wyrównały tuż nad dachami domów. Kto żyw wrzasnął i pognał szukać schronienia. Kilka osób zaczęło się nawet modlić ze strachu, że oto nadszedł dzień zagłady i nieznani rajderzy uderzyli wprost na centrum tego, co uchodziło w tej okolicy za cywilizację.

Baldur stał przed *Boopem* i uśmiechał się z dumą. Jego komunikator pisnął nagle i Friedrich sięgnął do pasa, żeby odebrać połączenie.

– I jak wyszło? – usłyszał.

– Świetnie, panie Spada – ocenił. – Bardzo efektownie. Dobrze wyszkolił pan załogi. A teraz zapraszam na drinka.

– Dzięki w ich imieniu – odparł Spada. – Mógłby pan zapytać M'chel, czy w tej dziurze parzą gdzieś dobrą herbatę? A właściwie, to czy wybrałaby się na nią w moim towarzystwie. Gdyby chciała, może wziąć alkohol. To tyle, rozłączam się.

Statki nabrały wysokości, zawróciły klasycznym immelmanem, przeszły z napędu pomocniczego na antygravitacyjny i kolejno usiadły na płycie w pobliżu *Boopa*. Sheol odetchnął z ulgą, że ominął go nalot dywanowy.

– Jasny gwint – wymamrotał pewien górnik, który był

już pod dobrą datą, i porwał Baldura w objęcia. – Mamy swoje siły kosmiczne!

Trzyosobowe załogi patrolowców zostały zakwaterowane w hotelu należącym do Transkootenay. Kiedy się rozgościły, pozwolono im wyjść na miasto. Jak dotąd nic im jeszcze nie przekazano, nie mogły więc niczego wygadać.

Gdy w barach dochodziły do siebie po serii skoków potrzebnych, aby dolecieć do układu Foley, Grok wziął swoich elektroników i rażno przystąpił do dzieła.

Każdy patrolowiec otrzymał czarną skrzynkę. Nikt z techników nie miał pojęcia, do czego te pudła służą, bo Grok sam wszystkie wyposażył, zaprogramował i przetestował.

Zeszły one z linii produkcyjnej jako lokatory ratunkowe, mające podnosić raban, gdyby statek znalazł się w potrzebie. Grok zachował tę funkcję, lecz po jego przeróbkach potrafiły one też wysyłać fałszywe sygnatury niczym się nie różniące od prawdziwych. Dzięki nim patrolowce mogły na większy dystans uchodzić za jachty, frachtowce czy nawet okręty wojenne Sojuszu. Źródłem danych było najnowsze wydanie katalogu „Jane's”.

Riss poszła na herbatę z Redonem Spadą i na lądowisku zapadła głucha cisza.

– Ten tutaj nazywa się Johny Behan – powiedziała z niesmakiem L. C. Doe. Facet był zwalisty, krótko ostrzyżony i miał przyciętą brodę. Za nim stały cztery inne osoby. – Nie pije. A raczej nie pije wiele i gdy już mu się to przydarzy, nie kłapie gębą. Reszta podobnie. Korzystałam

już z ich pomocy, gdy trzeba było zrobić coś po cichu dla Samopomocy. Wszyscy zgłosili się na ochotnika, chociaż nie powiedziałam im, o co chodzi. Tak jak prosiłaś.

– Panie i panowie, dziękuję za zaufanie – odezwała się Riss. – Teraz możecie sobie popić na rachunek Star Risk, a potem czekają was ciche i dyskretne wakacje na Glace. Czysty zarobek za nic.

Górnicy byli trochę zdziwieni, gdy ich miły i zazwyczaj spokojny kolega Behan wypuścił się na rajd po sheolskich barach. Nie pił co prawda, za to często korzystał z inhalatora, którego zawartość wysyłała go na orbitę. Niektórzy prosili go, żeby dał spróbować, ale odmawiał. Nikt się jednak nie obrażał. Uznano, że Behan jest początkującym wdyczaczem i najpewniej nie poznał jeszcze panującej w tym środowisku etykiety.

Malowniczo wyjaśnił, gdzie i jak głęboko ma tych wszystkich drani, którzy odbierają ludziom co lepsze kąski, i zasugerował, że wszyscy oni utrzymują nienaturalne stosunki z matkami.

I co z tego, że rozwalili biuro zgłoszeń? On i tak wie, gdzie jest jego działka, dzięki której będzie bogatszy niż Jezus albo Krezus, jak mawiał zależnie od stopnia upojenia.

Teraz zaś wraca z paroma przyjaciółmi na ten kawałek skały, oświadczył, aby słowo o fortunie stało się ciałem, i jeśli ktokolwiek wejdzie im w drogę, sam sobie będzie winien.

W układowym serwisie informacyjnym podano, że patrolowce Star Risk udały się na Welf, najdalszą i prawie nie zamieszkaną planetę układu, gdzie wezmą udział w

szeroko zakrojonych ćwiczeniach.

Następnie, jak zapowiedziała rzeczniczka firmy M'chel Riss, rozpoczną aktywne patrolowanie pasa asteroid.

Statek Johnny'ego Behana oraz cztery inne wystartowały z Sheolu i ustawivszy się w coś na kształt szyku, zniknęły w nadprzestrzeni.

Nie chodziło jednak o skok do pasa asteroid. Grupa dołączyła do *Boopa* oraz patrolowców Spady czekających „nad” płaszczyzną układu. Statki górników zaparkowały na orbicie wokół martwej planetoidy, a nie posiadający się ze złości Baldur wziął ich załogi na pokład jednostki flagowej, aby zawieźć całą gromadkę na obiecane wakacje w jednym z wyspowych ośrodków wypoczynkowych na Glace. To był pierwszy etap zastawiania pułapki.

– Nie powinienem był się przyznawać, że potrafię pilotować – powiedział do Riss. – Wy z Grokiem będziecie się tu zabawiać, gdy ja mam robić za autobusiarza.

– A ja czym sobie na to zasłużyłem? – jęknął równie nieszczęśliwy Goodnight.

– A tym, że ostatnio nic, tylko próbujesz ściągnąć mi majtki – rzuciła Jasmine i zaśmiała się, widząc, że Chasowi zapłonęły uszy.

Dwaj nieszczęśnicy zasiedli za sterami *Boopa* i nieco zatłoczona jednostka zniknęła w nadprzestrzeni.

M'chel nie mogła zrozumieć, dlaczego właściwie Redon Spada został tak szybko dowódcą całej grupy. Mimo odznaczeń nie robił dobrego wrażenia i ciągle siedział przy komputerze, programując złożone nakresy kursowe, które zaraz potem wymazywał. Przez resztę czasu pisał, a raczej

szkicował jakieś abstrakcyjne figury w swoim notatniku, i robił cielejące oczy do Riss.

Nie był jednak szczególnie nachalny, toteż M'chel się nim nie przejmowała.

Szybko doszła za to do wniosku, że po powrocie na Sheol będzie musiała wysłać niektórych załogantów na chirurgię szczękową. Chodziło o mnóstwo spekulacji na temat poczynañ Spady i Riss, które pojawiały się co rusz w kodowanej komunikacji między jednostkami, zwłaszcza że dotrzymywał im jeszcze towarzystwa nieznany rosły futrzak pełniący obowiązki oficera do spraw uzbrojenia oraz inżyniera pokładowego. Na jego temat z ostrożności nie próbowano jednak dowcipkować.

Spada ignorował całe to gadanie w eterze do czasu, gdy mieli wyjść z nadprzestrzeni w pobliżu pasa asteroid. Nakazał wtedy bezwzględną ciszę radiową aż do nawiązania kontaktu.

Pięć patrolowców w ciasnym szyku skierowało się na orbitę pierwszej planetoidy, która miała być własnością Behana. Czarne skrzynki, nazwane przez Groka „kanciarzami”, zaczęły nadawać fałszywe komunikaty.

– Zalety patrolowców typu *Pyrrhus* wynikają z koncepcji, którą przyjęto, gdy je projektowano. Miały mieć silniejsze uzbrojenie niż wolniejsze od nich jednostki, napęd pozwalający uciec przed pozostałymi i czujniki lepsze niż standardowe – powiedział Spada. – I nawet się to udało, tyle że czasy ich młodości już minęły. Dlatego właśnie Sojusz sprzedaje je układom na obrzeżach cywilizacji po cenie złomu. A teraz dobrze byłoby włożyć skafandry. Na razie bez hełmów, ale trzymajcie je pod ręką. Wszystko może pójść bardzo szybko.

M'chel, a za nią Spada pospieszyli z pomocą Grokowi, który mocował się z obszernym, szytym na miarę kombinezonem, i szybko splątali się w ciasnej centrali patrolowca. Riss przypomniała sobie nagle dawno widzianą scenę zbiorową z jakiegoś pornola i nie zdołała opanować chichotu.

Indagowana przez Groka i Spadę, co ją tak rozśmieszyło, odmówiła wyjaśnień.

– Chyba dobrze będzie włożyć też hełmy – powiedział nagle Spada. – Przechwyciłem właśnie sygnał z tej martwej asteroidy. Z moich danych wynika, że skierowany został prosto w pustkę.

Był spokojny jak zwykle, ale pierwszy włożył i uszczelnił hełm. Zaraz potem uruchomił sygnał alarmu bojowego i włączył mikrofon.

– Osiemdziesiąt trzy – podał do pozostałych jednostek. – Nie, żeby to coś znaczyło – wyjaśnił po chwili przez interkom. – Po prostu przykazałem im, że jeśli usłyszą ode mnie jakikolwiek liczebnik, mają się rozproszyć. O, i właśnie to robią.

Ekran, który pokazywał dotąd głównie czarną próżnię, nagle rozbłysnął i pojawiło się na nim dziesięć obiektów ciągnących za sobą tęczowe ogony informujące o ich wielkości i szybkości.

– Idą prosto na nas, jakby byli niegroźnymi górnikami – powiedział Spada i przełączył na inny kanał. – Przynęty, na moją komendę... Nie daj się zabić, Dinsmore. Teraz!

Pięć patrolowców zakamuflowanych jako statki górników wykonało zwrot i ruszyło z pełną szybkością ku napastnikom. Potencjalnie pechowy Dinsmore leciał

pierwszy. Równocześnie z nadprzestrzeni wyszły w trzech grupach i rzuciły się do ataku pozostałe jednostki Star Risk.

Spada wyglądał na opanowanego, jednak M'chel dostrzegła, że na czoło występuje mu pot. Sama nie potrafiła zachować spokoju. Dotąd rzadko w walce bywała widzem.

Co do wpatzonego w ekrany Groka, trudno było cokolwiek orzec. Riss po prostu nie wiedziała, jak poznać, że jest zdenerwowany czy podniecony.

– Mamy ślady odpaleń – powiedział spokojnie Lopez, który obsługiwał systemy uzbrojenia. – Trzy idą na nas. Wszystkie namierzone.

– Czekać – rozkazał Spada. – Gdy tylko je załatwimy, strzelamy swoje. Jak najszybciej, zanim się zorientują, że ich rakiety nie doszły. Bo mam nadzieję, że nie dojdą. Na mój rozkaz... Ognia!

Patrowiec zadrżał lekko, gdy antyrakiety opuściły wyrzutnie. Pozostałe jednostki też zajęły się salwą rajderów.

Na ekranach mignęło kilkadziesiąt jasnych punktów i znów zrobiło się czarno.

– Główne wyrzutnie... Ognia!

To odpalenie było bardziej odczuwalne. Długie na jedną ósmą patrolowca pociski przeciwokrętowe pomknęły w kierunku przeciwnika. M'chel usłyszała w słuchawkach krótkie bipnięcie, a po chwili jeszcze trzy takie same.

– Wszystkie pociski namierzyły cele – zameldował Lopez.

– Zmiana kursu, zaczynamy uniki – oznajmił Spada i przebiegł palcami po konsoli sterowniczej. Układy antygravitacyjne patrolowca prawie całkowicie

zneutralizowały skutki gwałtownego manewru, ale M'chel i tak poczuła dość, aby przypomnieć sobie dawne czasy. Wpatrzyła się w ekran.

– Dobrze by było, gdyby wszyscy wprowadzili do „kanciarzy” kod X-jeden-jeden – powiedział Grok.

– X-jeden-jeden – powtórzył Spada i przekazał rozkaz podwładnym.

– To im zagra na nerwach – wyjaśnił Grok. – Dowiedzą się, że zamiast małych statków górniczych mają przed sobą kawałki swobodnie orbitujących skał.

– Pociski w drodze – odezwał się Lopez. – Mamy przeciwdziałanie. Jeden z naszych pocisków namierzony... zniszczony. Trafienie!

Mimo że rajderzy gęsto strzelali antyrakiety, mknęła ku nim cała sfera pocisków przeciwokrętowych.

– Trafienie... kolejne trafienie... Mamy ich salwę. Przechwycone... zniszczone... – podawał nieustannie Lopez, a Spada wprowadzał formację na coraz to nowe kursy.

– Znowu kolej na nas – powiedział. – Ognia!

– Zawracają – meldował Lopez. – Uciekają.

M'chel spróbowała zrozumieć coś z chaosu rozbłysków, które widziała na ekranach. W końcu dostrzegła pięć punktów... już tylko cztery.

– Trzy jednostki na kursach ucieczkowych – powiedział Lopez.

– Za nimi – poleciała M'chel. – Trzeba odszukać ich bazę. Spada przekazał rozkazy reszcie patrolowców.

Na ekranach pojawił się kolejny błysk. I jeszcze jeden.

– Chyba jesteśmy za dobrzy – powiedział Spada. – Musimy zostawić jednego, aby go śledzić. Mam nadzieję,

że te pociski, które przed chwilą eksplodowały, zostały wystrzelone, zanim rozkazałem przerwać ogień. Jeśli nie – dodał złowieszczo – to ten, kto radośnie je wypuścił, znajdzie się po uszy w gównie. Ludzie ostatnio są tańsi niż okręty i znacznie o nich łatwiej.

Rozkazał, żeby dwa patrolowce przyłączyły się do prowadzącego, pozostałe miały się trzymać za grupą pościgową.

Ocalały rajder zniknął w nadprzestrzeni.

– Trochę za późno, przyjacielu – mruknął Spada. – Masz już znacznik na tyłku.

Wykonali kolejno dwa skoki i przy każdym wyjściu widzieli na ekranie migoczącą kropkę oznaczającą uciekającą jednostkę. Spada włączył głośnik i pomieszczenie wypełniły trzaski niezrozumiałych sygnałów.

– Zapewne wzywa pomoc – stwierdził Spada. – Nie wpadł jednak w panikę, skoro nadal koduje przekaz. Zostało nam teraz...

Ponownie skoczyli, a gdy wyszli z nadprzestrzeni, coś błysnęło daleko przed nimi.

– Co, u licha? – mruknął Spada, sięgając do kontrolek. – Dziwne. Ten drań chyba eksplodował. Mam obraz w podczerwieni. Sami zobaczcie, cofnę zapis. Tutaj mamy emisję prawie tak silną jak w wypadku napędu, tyle że pojawiła się w okolicy dziobu. Plotter podaje jakiś dziwny, nowy kurs obiektu. Wynika z tego, że nikt nie siedzi za sterami. Zastanawiam się...

– Podejźmy do niego – przerwała mu M'chel. – Wyjdziemy na zewnątrz i obejrzymy go sobie z bliska. Nie lubię takich zagadek.

Wraz z Grokiem podpłynęła do uciekiniera, który okazał się dawną jednostką bojową N'yarów. Była to rasa spacynkowana przez Sojusz około dziesięciu lat wcześniej, której okręty wojenne wciąż były dość nowoczesne, aby mieć wzięcie na wolnym rynku.

Ta jednostka przypominała Riss mątwę, ziemskie stworzenie pokazywane kiedyś w holo. Miała smukły kadłub gładki od rufy do śródokręcia, gdzie wyrastał gąszcz macek.

Zbliżyli się do części dziobowej. Była prawie zupełnie zniszczona.

– Ciekawa sprawa – mruknął Grok.

– Nawet bardzo – przyznała Riss.

– Masz jakąś teorię?

– Więcej, wyjaśnienie. Zobaczmy jeszcze, czy w środku ocalało coś godnego uwagi.

– Nie ulega wątpliwości, że jednostkę napastników zniszczyła eksplozja wewnętrzna – powiedziała M'chel, odwracając się od holograficznego obrazu wraku. – My byliśmy za daleko.

– Jakiś wypadek? – spytała Jasmine, wstała i podeszła do barku, żeby nalać sobie mrożonej herbaty.

– Raczej nie – odparł Baldur.

– Na pewno nie – stwierdził Goodnight.

– Nadawali właśnie do bazy, zapewne prosząc o pomoc – dodał Grok.

– Ich szefowie podłożyli im bombę – powiedziała Riss. – Wątpię, aby o tym wiedzieli. Wybuch został wywołany zdalnie.

– Biedni dranie – mruknął Goodnight. – Pewnie brzydko się wyrażali i mamusia ich ukarała. Zakładam, że przeszukaliście wrak?

– Słuszne założenie – przyznała M'chel. – Z centrali bojowej i załogi nic nie zostało. W pozostałych pomieszczeniach, wyposażonych nieco powyżej standardu Sojuszu, niczego nie znaleźliśmy. Żadnych listów ani map wskazujących, jak do nich trafić. Po prostu pusto.

– Czegoś jednak się dowiedzieliśmy – rzekł Baldur. – Po pierwsze, skoro napastnicy nie próbowali odpędzić ani pojmać górników wracających na swoje, tym bardziej można przyjąć, że zależy im po prostu na wyrzuceniu Transkootenay z układu. Wciąż jednak nie wiemy dlaczego.

– Coś przyszło mi do głowy – powiedziała Riss. – Jasmine, czy Cerberus byłby tak zachłanny, żeby spróbować przejąć odkrycia kompanii? Może to oni stoją za rajderami?

King zastanowiła się.

– To możliwe – odpowiedziała po chwili. – Są zdolni do wszystkiego. Nie sądzę jednak, aby próbowali takiego rabunku. Zawsze jest ryzyko przecieku, a gdyby do niego doszło, mogliby stracić klientów. No i zyski większe niż wszystko, co można wyciągnąć z układu Foley.

– Tego nie możemy być pewni – odezwał się Goodnight. – Mam od brata pełne raporty badawcze, ale i tak się zastanawiam, czy może ci zabici nie trafili na coś, co byłoby warte każdego ryzyka.

– Na przykład co? – spytała Riss.

– Nie wiem, nie jestem geologiem. Na Boga, diamenty, mały z Ofiru... Przeszukam dokładnie dokumentację i może na coś trafię.

– I czego się jeszcze dowiedzieliśmy? – spytała King, patrząc na Baldura.

– Dziękuję. Zboczyliśmy z tematu. Po drugie, wiemy już, że ktokolwiek zaczął tę wojenkę, bardzo mu zależy na ukryciu swej tożsamości. W przeciwnym razie nie podkładałby ładunku wybuchowego na pokładzie własnej jednostki. Musi mieć po temu ważny powód, a my powinniśmy się dowiedzieć jaki.

– Ja na razie dowiem się, czy jest coś do picia – powiedział Goodnight i podszedł do barku.

Baldur go zignorował.

– Kolejne, na co chciałbym zwrócić uwagę – ciągnął – to wynik tej potyczki. Nasze straty wyniosły zero, przeciwnik zaś stracił wszystkie jednostki. „Jane's” podaje, że pełna załoga takiego cacka to dwanaście osób. Nawet jeśli założymy, że na tego rodzaju operacje wystarczy połowa stanu, daje to co najmniej sześćdziesięciu ludzi. Dla floty Sojuszu to niezauważalna strata, ale dla kogoś prowadzącego prywatną działalność – katastrofa. Jeśli więc była to jakaś spółdzielnia złoczyńców, którzy postanowili nieco sobie dorobić, najpewniej nie usłyszymy o nich więcej. Jeśli jednak ponownie zaatakują, będzie to znaczyło, że mamy do czynienia z konkretnym, silnym przeciwnikiem. Oczywiście utrudni nam to robotę i może być dobrą podstawą do renegotjacji kontraktu z Transkootenay.

– Chyba powinniśmy jakoś tego przeciwnika nazwać – zasugerowała Riss.

– Tak byłoby wygodniej – zgodził się Baldur.

– Proponuję... Murgatroyd – powiedziała M'chel, przypominając sobie pewną bardzo starą powieść, którą

czytała, gdy była rekrutem.

– Murgatroyd? – powtórzył sceptycznie Goodnight.

– Murgatroyd – potwierdziła King. – Już to wprowadziłam do naszych zapisów.

– I dobrze – rzucił Grok. – Wypracowaliśmy właśnie remis. Teraz powinniśmy jak najszybciej zdobyć przewagę.

Murgatroyd okazał się nadzwyczaj żywotny. W następnym tygodniu zniszczył dwie stacje górnicze i poważnie uszkodził kolejne zakłady przetwórcze.

Zginęło też dwóch górników, co jednak mogło się zdarzyć przypadkiem. To niebezpieczny zawód.

– Oczywiście, że możemy was ochronić – zapewniła słodkim głosem Jasmine King.

Chas, stojący poza polem widzenia kamery, uśmiechnął się szeroko i zaczął rozprostowywać palce lewej dłoni, jakby liczył napływające kredyty.

– Proponuję – ciągnęła King – żebyście najpierw zadbali o bezpieczeństwo terenu. Możemy zaproponować wam wyrzutnie pocisków rakietowych i system ostrzegawczy w jednym pakiecie. Wszystko znacznie taniej niż na wolnym rynku, a wystarczy na obronę asteroidy i najbliższej okolicy.

Tak myślałam, że was to zainteresuje – powiedziała, notując. – A chcielibyście automatyczne działka do ochrony kopalni?

Rozumiem. Jeśli ciągle pracujecie na powierzchni i nie zaczęliście drążyć sztolni, to rzeczywiście nie są wam potrzebne. Oczywiście możemy wrócić do tematu w późniejszym terminie. Poza tym zapewne ucieszy was informacja, że gdyby obecny teren nie okazał się opłacalny, nasz system można bez trudu zdemontować i przenieść na nowe miejsce. A teraz broń osobista. Zakładam, że może wam się przydać. Nie? A, macie własną... To może sprzęt

łączności? – nie odpuszczała King. – Stwierdzamy coraz częściej, że nasi klienci pilnie go potrzebują, zwłaszcza...

– Dobrze się sprawiliście w pierwszej akcji – powiedział Reg Goodnight. – Co teraz planujecie?

– Nie popuszczać – powiedział Baldur, uśmiechając się do kamery.

Goodnight chyba nie takiej odpowiedzi oczekiwał i szybko zakończył rozmowę.

Baldur wyłączył komunikator.

– Chyba jednak ma rację – zwrócił się do Riss. – Powinniśmy mieć jakiś plan generalny, jakąś strategię postępowania z przeciwnikiem.

– Nie – rzuciła Jasmine. – Najpierw musimy zadbać o siebie.

– Myślałem, że już to zrobiliśmy – powiedział Baldur. – Konta bankowe są pełne.

– To prawda, ale oprócz plajty są jeszcze inne zagrożenia – stwierdziła sucho Jasmine.

– No tak...

– Obecnie mamy trzy słabe punkty – powiedziała King. – Pierwszy i najważniejszy to *Boop*. Musimy go wyposażyć w mnóstwo skomplikowanych czujników...

– Nad którymi już pracuję – wtrącił Grok.

– ... i w naziemne systemy bezpieczeństwa – dokończyła zdanie Jasmine. – Drugi to hotel, w którym mieszkają załogi.

– Kurde – mruknął Goodnight i skrzywił się. – W ogóle o tym nie pomyślałem.

– A ja owszem – odparła King. – Na koniec musimy się zająć statkami. Poczyłałam już przygotowania.

Transkootenay przekaże nam swoje zapasowe lądowisko, ma też firmę budowlaną, która zbuduje osłonięte stanowiska postojowe, ogrodzenia z drutu ostrzowego oraz systemy alarmowe dokoła. I tutaj elektroniką zajmie się Grok.

– Mówiłam ci już, że cię uwielbiam? – spytała M'chel. – O wszystkim pamiętasz.

– Oczywiście – stwierdziła King. – Na tym polega moja praca.

Strażnik siedzący przed monitorami pokazującymi obraz z kamer bezpieczeństwa w hotelu załóg statków Star Risk ziewnął i przeciągnął się.

Co za monotonna robota, pomyślał. Tyle że dobrze płacą. Jeśli uda mi się nie wpaść w kłopoty ani w alkoholizm, za jakiś czas znowu będę miał na wypożyczenie sprzętu i ruszę szukać działki, na której się obrzydliwie wzbogacę.

Była już czwarta nad ranem.

Dotknął sensora i kamery pokazały inne ujęcia hotelu.

Cholernie dużo się dzieje, pomyślał ironicznie. W życiu nie miałem nudniejszej roboty...

Nagle jeden ze wskaźników zamigotał. Gdyby strażnik akurat na niego nie patrzył, nawet by tego nie zauważył. Pewnie zwykłe spięcie, pomyślał, ale na wszelki wypadek, i zgodnie z regulaminem, dał na monitor obrazy z okolicy. Dwa zwykłe, jeden w podczerwieni.

Migotanie powtórzyło się i tym razem trwało dłużej.

Strażnik powiększył fragment obrazu i ujrział dwóch ludzi w jakichś kombinezonach. Pewnie coś chroniącego przed emisją ciepła, pomyślał. To by tłumaczyło, jak ominęli zewnętrzny pierścień czujników.

Dwóch ludzi z wypchanymi plecakami.

Nie odrywając oczu od ekranu, strażnik uruchomił alarm, który obudził wszystkich w wartowni. Usłyszał tupot butów piętro wyżej, szcęknięła podrywana ze stojaków broń.

Jednak tamci dwaj ciągle szli w stronę hotelu, coraz bliżej strażnika oraz wszystkich mężczyzn i kobiet śpiących w pokojach, których miał chronić.

Strażnik złapał pas z bronią i zapiął go, choć podejrzewał, że to daremny gest. Był prawie pewien, że jest już za późno.

Pierwsza postać przystanąła, a druga w kilku miejscach dotknęła jej plecaka i nagle dwa ekrany okryły się śniegiem, a obraz w podczerwieni na trzecim monitorze pociemniał. Cały budynek zadrżał i zakołysał się wstrząśnięty falą uderzeniową.

Strażnik zanurkował pod konsolę. Tynk leciał na podłogę, ściany jakby się przesuwały i wydawało się, że hotel zaraz zamieni się w stertę gruzu.

Nagle jednak zapanował spokój. Zapaliły się światła awaryjne.

Strażnik, zdumiony, że żyje, pokuśtykał do drzwi. Były zablokowane, ale nie przejął się tym. Wsunął dłonie w powstałą przy wybuchu szczelinę i szarpnął, niemal wyrywając drzwi z prowadnic. W tej samej chwili po dziwnie wykrzywionych schodach zeszli pozostali strażnicy.

– Ktoś podłożył bombę – powiedział na ich widok.

– Co ty nie powiesz, Sherlocku? – usłyszał w odpowiedzi. – Jak do tego doszedłeś bez lupy?

– Nie rozumiem – powiedział Baldur. – Jak tych dwóch pokonało zewnętrzne ogrodzenie, nie wzbudzając alarmu? Czyżby pomógł im ktoś ze środka? – Spojrzał na pozostałych pracowników Star Risk. – Potem pobiegli w stronę hotelu, gdzie mieli podłożyć bombę. Nagle jeden zrobił coś z plecakiem drugiego i bomba wybuchła, zabijając ich obu. To nie ma żadnego sensu.

– Skądże – odezwał się Chas. – Ma sens, i to wielki. Przy

okazji upewniliśmy się, że nasz Murgatroyd to naprawdę bezlitosny sukinsyn.

– Mógłbyś to wyjaśnić? – spytał Baldur.

Riss była nie mniej zdziwiona.

– Bierzesz dwóch ludzi, których los nic cię nie obchodzi – powiedział Goodnight. – Jednemu dajesz bombę w plecaku i mówisz, że gdy naciśnie właściwy guzik, będzie miał ileś tam sekund na ucieczkę. Drugiemu też dajesz plecak i mówisz, że to ich zestaw uciezkowy, że po naciśnięciu czy wduszeniu czegoś ukryta w nim machina piekielna ożyje i dokona dywersji. Może wypuści kłęby dymu i wystrzeli fajerwerki, które oślepią noktowizory... Cokolwiek. Do uruchomienia po podłożeniu bomby albo w razie niepowodzenia. Ci dwaj idioci chcieli sobie ułatwić zadanie, postanowili więc zacząć od dywersji... Tymczasem w obu plecakach były ładunki wybuchowe z zapalnikami natychmiastowymi.

– Wredne – powiedział Grok, niemniej w jego głosie zabrzmiała nutka podziwu.

– Powinnam się była domyślić – odezwała się King. – Dawno temu na Ziemi działała organizacja zabójców, która regularnie poświęcała ludzi, żeby osiągnąć swoje cele...

– Tak czy owak wszyscy będą myśleli, że zamach się nie powiódł – powiedział Baldur. – Teraz musimy znaleźć nowe kwatery dla naszych ludzi, bo ten hotel nadaje się już tylko do wyburzenia. Oczywiście nowe lokum musi mieć lepszą ochronę. Jeśli zaś chodzi o ludzi, trzeba ich uspokoić i jak najszybciej posłać w próżnię, gdzie czują się najbezpieczniej.

– Nasz Murgatroyd okazał się godnym przeciwnikiem – stwierdził Grok.

– Owszem – mruknęła Riss. – Tym bardziej się ucieszę,
gdy go dopadniemy.

Dwie jednostki wyszły z nadprzestrzeni i przemknęły „pod” asteroidą na tyle daleko, aby nie spostrzegli ich gołym okiem mieszkańcy dwóch prefabrykowanych kopuł, przy których stały trzy statki górnicze.

Radary na asteroidzie natychmiast jednak wykryły intruzów, którym została tylko chwila na wielkie zdziwienie, że ktoś ich w ogóle namierzył. Zaraz potem wystartowały ku nim dwa pociski raketowe. Naprowadzanie pierwszego zadziało idealnie. Trafił prosto w dziób prowadzącego rajdera.

Okaleczony statek zszedł z kursu, uderzył w skalne występy za obozowiskiem górników i eksplodował.

Następny pocisk musiała uszkodzić bliska detonacja poprzedniego, bo zapalnik głowicy uruchomił się tuż przed drugą jednostką. Jej pilot straciła panowanie nad sterami koziołkującego statku. Niemal jej się udało je odzyskać, nie do końca jednak ustabilizowała maszynę, nim odpaliła silniki hamujące. Statek uderzył burtą w skały asteroidy, odbił się raz i drugi i potoczył, gubiąc części i płyty blach.

Gdy w końcu znieruchomiał, na pokładzie były już tylko trzy żywe, chociaż ranne i poobijane osoby.

Zbierały się właśnie, gdy z za bardzo bliskiego horyzontu wyłonił się szereg ciemnych postaci w skafandrach.

– Poczekaj chwilę, M'chel – powiedziała widoczna na ekranie L. C. – Zaraz cię z nimi połączę. – Dotknęła kilku kontroltek i siedząca na *Boopie* Riss ujrzała w wydzielonym oknie ponurego mężczyznę w skafandrze kosmicznym, ale

bez hełmu. – Dobra, Hank. Masz połączenie ze Star Risk.

– A to po co? – warknął mężczyzna. – Złapaliśmy zbójów i sami się nimi zajmiemy. Będą mieli uczciwy proces, po którym ich powiesimy.

– Mówi Riss ze Star Risk. Co tam się u was dzieje?

– Dwa statki tych drani chciały nam przywalić – wyjaśnił górnik. – Nie wiedzieli, że właśnie uzbroiliśmy nasze łajby. Jednego załatwiliśmy na cacy, z drugiego zostało trzech żywych. Zaraz urządzimy im uroczyste pożegnanie tego padołu.

– Słuchaj, Hank – powiedziała z ożywieniem M'chel. – Potrzebna nam ta trójka. Musimy wyciągnąć od nich pewne informacje, żeby dopaść pozostałych.

Hank spojrzał twardo w obiektyw.

– Załatwili mi najlepszego kumpla – wycedził, odwrócił głowę i splunął. Zaraz potem zniknął z ekranu.

– L. C. – odezwała się Riss – spróbuj powstrzymać Hanka do czasu, gdy tam przylecimy.

– Spróbuję – odparła L. C. – Nie wiem jednak, czy mi się uda.

M'chel widziała wiele zwłok, mężczyzn, kobiet i dzieci, ale nie coś takiego. Trzy trupy leżące bez skafandrów przed jedną z kopuł miały nienaturalnie wyciągnięte szyje.

– Naprawdę ich powiesiliście? – spytała.

– No pewnie – powiedział z dumą górnik imieniem Hank. – Przecież mówiłem.

– Jak wam się to udało przy tak małej sile grawitacji na tej asteroidzie? – warknął Grok. On i Riss wyszli właśnie z patrolowca i przekonali się, że przybyli za późno.

– Łajba Mel ma dużą ładownię – wyjaśnił Hank. –

Akurat żeby spuścić ich z wysoka, jak widziałem kiedyś na holo. Wystarczyło uwiązać linę do wspornika pod stropem i włączyć sztuczne ciężenie.

Grok cisnął na ziemię torbę, którą niósł na ramieniu.

– Niepotrzebnie wszystko targaliśmy – powiedział.

Torba zawierała różne specyfiki na elokwencję. Nie serum prawdy, którego nigdy w rzeczywistości nie stworzono, ale różne mieszanki, dzięki którym spec od przesłuchań mógł kierować rozmowę w wybranym przez siebie kierunku. Riss robiła to już nie raz.

– Trudno – stwierdziła. – Przeszukajmy ciała i sprawdźmy, co zostało ze statku. Może tam nam się poszczęści.

– Marny łup – powiedziała jakiś czas później, patrząc na niewielką sumę w gotówce, medalik z wizerunkiem świętego Michała i kilka innych drobnych przedmiotów. – Mówi ci to coś?

– Nic a nic – odparł Grok. – Od tego jednak mamy Jasmine. To co, wracamy z tym koksem?

– Rzeczywiście niewiele – przyznała King. – Z drugiej strony zawsze to coś. Dwa z tych banknotów i trzy monety pochodzą z Setha V.

– Gdzie to jest...?

– Dość daleko stąd. Jego stolica, Trygve, to znane centrum najemników. Cerberus też często werbował tam ludzi do swoich operacji.

– Ciekawe – mruknął Baldur. – Może pora wysłać kreta?

– Muisz mnie tak nazywać? – spytał urażony Chas Goodnight, który miał się za wilka.

Riss raz jeszcze przyjrzała się drobiazgom.

– Żadnych dokumentów, listów czy kart płatniczych. Nie do wiary, że ktoś potrafi aż tak przypilnować swoich ludzi.

– Wiesz, że najemnicy zazwyczaj w ogóle nie mają bliskich? – spytała Jasmine. – Może dlatego Murgatroyd sięgnął właśnie po nich.

M'chel uśmiechnęła się krzywo i dreszcz przeszedł jej po grzbiecie.

Jedynym ostrzeżeniem była krótka transmisja z pokładu patrolowca.

– Kontrola Star Risk, tu siódemka. Dranie postarali się o krążownik. Mam go na ekranie, przekazuję obraz. Jednym strzałem załatwił jedenastkę. Wynoszę się stąd na pełnej mocy...

I wtedy sygnał się urwał. Długotrwałe wywoływanie siódemki i jedenastki nie dało żadnego efektu.

Jednak to, co udało się odebrać wcześniej, było jasne.

– Naprawdę mają krążownik – powiedział cicho Goodnight, patrząc na ekran.

Okręt był długi na jakieś tysiąc metrów i niewątpliwie wyglądał na krążownik. Wieże artyleryjskie były schowane w kadłubie, jednak otwarte osłony wyrzutni rakiet wyjaśniały, jak skończyły dwa patrolowce Spady.

– To niemożliwe – rzekł słabym głosem Spada. – Nie słyszałem o żadnej prywatnej operacji, do której udałoby się zwerbować dość ludzi, żeby obsadzić coś tak wielkiego.

– Nie bądź taki pewny – powiedział Baldur. – Ty też się czasem mylisz.

– Chyba mam odpowiedź – odezwała się King, która tymczasem otworzyła w kompie katalog flot. – W „Jane's” figuruje jako były krążownik Sojuszu typu *Sensei*. Ma około stu lat, zatem musiał być względnie tani. Te jednostki były wysoce zautomatyzowane i nie potrzebowały tak licznej załogi, jak by się wydawało.

– Działa szybkostrzelne, pięć poczwórnych wyrzutni pocisków dalekiego zasięgu, trzy stanowiska baterii

osłonowych, sześć wyrzutni uniwersalnych, możliwość prowadzenia bombardowań planetarnych – przeczytał Spada nad ramieniem Jasmine i spojrzał na Baldura. – W moim kontrakcie nic o tym nie było.

Baldur zerknął na ekran.

– W naszym też nie – mruknął. – Chyba czas pogadać z szefem Transkootenay.

– Jest niedobrze – powiedział Reg Goodnight. – Niecałe dziesięć minut temu dostałem wiadomość z jednej z peryferyjnych stacji, że jakiś statek... bardzo duży statek... rozwalil tam niemal wszystko. Straciłem dwudziestu inżynierów i techników, a stacja nie nadaje się do remontu. Ocalałym kazałem wracać jak najszybciej do Sheolu. Panie Baldur, czy można zatrzymać ten statek? Powstrzymać go przed atakiem na Mfir?

– Wszystkie moje patrolowce albo tu lecą, albo już są na orbicie – odparł Baldur. – Współdziałając, powinny odeprzeć jego atak. Jeśli tu się pojawi.

– Tyle że wtedy nikt nie obroni górników – powiedział Goodnight.

– Nie.

– Co zrobimy... co wy zrobicie?

– Chciałbym się spotkać z osobą odpowiedzialną za kontakty zewnętrzne. Z Tan Whitley – odparł Baldur. – Doszło do eskalacji konfliktu i sędzę, że pora poprosić Sojusz o ponowną pomoc. To już nie są zwykli bandyci, ale coś w rodzaju zamachu stanu.

Reg Goodnight niechętnie skinął głową.

– Zaraz zorganizuję spotkanie.

Glace była jasno-zielonkawą planetą, chociaż nie w

ziemskim odcieniu. Niemniej, jak to zwykle bywa, pierwsi koloniści, którzy zachwycili się pięknem nowego świata, zrobili wszystko, żeby je zepsuć. Na dodatek spragniony osiedleńców miejscowy rząd nie ustanawiał jakichkolwiek praw mogących godzić w interesy korporacji.

– Dlaczego nikt nas nie wynajmie, żebyśmy zrównali z ziemią ten las kominów? – zastanawiała się głośno Riss, patrząc na unoszącą się w atmosferze planety brunatną mgiełkę.

Gdy Baldur posadził *Boopa* na głównym lądowisku Glace, Chas Goodnight odezwał się błagalnym tonem:

– Rozumiem, że nie chcecie mnie wystawiać na widok publiczny w pasie asteroid, ale tutaj nie ma piratów. A jeśli, to dawno już założyli rodziny i uzyskali prawa obywatelskie.

– Do czego zmierzasz? – spytał Baldur, nie odrywając oczu od panelu sterowniczego.

– Chciałbym zażyć trochę wolności i pooglądać miejscowe atrakcje.

– Co znaczy, że chce się powłóczyć po burdelach – podpowiedziała Jasmine.

– Co za język... – obruszył się Chas. – Jak możesz...? Jestem wstrząśnięty. A już chciałem ci zaproponować wspólne zwiedzanie.

– Dlaczego? – zaciekawiała się King. – Co nie znaczy, że byłabym skłonna się zgodzić.

– W tej kobiecie nie ma ani krzty romantyzmu – stwierdził Chas.

– Unika odpowiedzi – powiedziała Riss. – Podejrzane. Chyba powinniśmy byli zostawić go na Mfirze, żeby pilnował interesu zamiast Groka.

– Myślałem, że jesteś po mojej stronie – jęknął Goodnight.

Riss nawet mu nie odpowiedziała.

– W sumie rzeczywiście nie ma powodu trzymać biedaka pod kluczem – zwróciła się do Baldura. – Pod warunkiem że wie, jak się uchronić przed tryprem, i ma aktualną książeczkę szczepień.

– Wielkie dzięki – powiedział Chas.

Baldur zastanowił się.

– Dobra. Ale to będzie jak pierwsza przepustka rekruta. Nie możesz oddalać się bardziej niż na trzydzieści kilometrów od statku i musisz zameldować się z powrotem najpóźniej o dziewiętnastej miejscowego czasu.

– Nie będzie jeszcze nawet ciemno! – zaprotestował Goodnight.

– A po co ci ciemności? – spytała Jasmine. – Powiedziałaś, że chcesz zwiedzać, a to robi się zwykle za dnia. Poza tym kobiety lubią być całowane również w pełnym słońcu. Możesz mi zaufać, znam się na tym.

– Sam widzisz, Chas, jak o ciebie dbamy – powiedziała Riss. – Naprawdę nie chcemy, żebyś popadł w kłopoty.

– A żeby was! – warknął Goodnight i pospieszył do swojej kabiny po odpowiedni strój na wycieczkę.

Tan Whitley przypomniała Riss cały szereg płatników, których miała nieprzyjemność poznać podczas nisko płatnej służby w Marines i z którymi nigdy nie udało jej się wygrać.

Była spokojna, pozbierana, wszystkie potrzebne dane zawsze miała pod ręką. Można się było założyć, że choćby była najbardziej wściekła, nigdy nie zaklnie z pełnymi

ustami.

– Będę z panem szczerą, panie von Baldur – powiedziała beznamiętnie. – Od czasu, kiedy Transkootenay Mining zjawiało się w układzie i zaczęło prace wydobywcze, pas asteroid sprawia nam same kłopoty.

– Nie rozumiem – odpowiedział Baldur. – Z tego, co wiem, wynika, że Transkootenay w ostatnich kilku latach płaciło wam całkiem pokaźne sumy tytułem opłat.

– Kredyty to nie wszystko – stwierdziła Whitley.

Baldur spojrział na nią z niedowierzaniem i spróbował raz jeszcze.

– Mogę spytać, jak Transkootenay naruszyło umowę? – spytał Baldur.

Whitley zmarszczyła brwi, ale nie skomentowała.

– Cały ten kontrakt od początku był kłopotliwy dla rządu. Obecnie głównie za sprawą bandytów, którzy moim zdaniem wywodzą się z górników sprowadzonych tu przez Transkootenay.

– Nie wywodzą się – powiedziała Riss. – Ale mniejsza z tym.

– Ale mogą. Transkootenay nie potrafiło sobie z nimi poradzić, musieliśmy więc wezwać na pomoc Sojusz. Przylecieli, też nic nie zrobili, za to wystawili nam potem monstrualny rachunek za swoje usługi. Nie mówiąc o tym, że różne tabloidy co rusz oskarżają teraz rząd, że nie potrafi zaprowadzić spokoju. Teraz zaś Transkootenay wynajęło was, co oznacza najpewniej, że znowu będziemy musieli dołożyć się do rachunku. Tymczasem wy też nie jesteście zdolni rozwiązać problemu i zamiast się postarać, chcecie, żebyśmy znowu zwrócili się do Sojuszu. W tej sprawie mogę udzielić wam odpowiedzi, nie zwracając się do

przełożonych, bo wszyscy oni świetnie znają obecną sytuację. Odpowiedź brzmi nie. Nie stać nas na dotowanie Transkootenay Mining i tych wszystkich napływowych robotników.

– Innymi słowy, nie zamierzacie zwracać uwagi na tych piratów, dopóki nie dobiorą się do miejscowych?

– Tego nie powiedziałam, proszę pana. Jeśli rzeczywiście pojawił się w układzie jakiś wrogi okręt wojenny... – Zmierzyła Baldura takim spojrzeniem, jakby chciała prychnąć lekceważąco. – Jeśli tak jest, proponowałabym kompanii najbardziej logiczne w tej sytuacji posunięcie. Powinna zaprzestać wszelkiej działalności do czasu, aż te nieznane osoby, o ile w ogóle istnieją, przeniosą się ze swoją działalnością, na czymkolwiek by ona polegała, do innego układu.

Goodnight siedział w centralnej kabinie *Boopa* i tulił do piersi butelkę brandy. Zauważywszy wyraz twarzy Baldura, Riss i King, uśmiechnął się krzywo i przesunął dłonią po obciętych na jeża piaskowych włosach.

– Wyglądacie, jakbyście też weszli na grabie – zauważył.

– Gorzej – odparła Riss – kazali nam spieprzać w podskokach. Tyle że wyrazili to innymi słowami.

– Żadnej pomocy? – spytał z niedowierzaniem Goodnight.

– Żadnej.

– Nie przypuszczam, aby ktokolwiek z nas mógł się zwrócić bezpośrednio do Sojuszu – powiedział Chas. – Choć z nas wszystkich chyba tylko ja mam na pieńku z władzami.

– Myślisz, że wysłuchają prośby najemników? – spytał

Baldur.

– Skoro tak to widzisz – odrzekł Chas – to może mogłoby do nich zakolatać Transkootenay?

– Myślałem już o tym i spytałem twojego brata. Powiedział, że jego kompania z miejsca wywaliłaby go z roboty. W drugiej kolejności wywaliłaby nas, a w trzeciej – sprowadziła tu Cerberusa.

– Hm – mruknął Goodnight. – Górnikom byłoby wszystko jedno, ale dla naszych kont to wielka różnica. Co więc zrobimy?

– Poszukamy bazy Murgatroyda – odpowiedział Baldur. – Gdy już ją znajdziemy, dowiemy się też, gdzie trzymają ten swój krążownik, i pomyślimy, jak go wyeliminować.

– Niezły pomysł – zgodził się Chas. – Jak sądzicie, gdzie może być ta baza?

– Zapewne nie w pasie – powiedziała King. – Póki nie pojawił się ten krążownik, myślałam inaczej, ale taki okręt potrzebuje solidnego zaplecza logistycznego. Sądzę, że ukryli ją na którejś z trzech zamieszkanych planet albo w sąsiednim układzie.

– Jeśli nie ma jej tutaj, to jesteśmy ugotowani – stwierdziła Riss. – Wnuki nam osiwieją, nim ją znajdziemy.

– Racja – zgodziła się King. – Mam jednak kilka pomysłów...

– Jakich?

– Trzeba zawęzić krąg możliwości. Sądzę, że pomogłyby nam w tym niezaprzeczalnie talenty pana Goodnighta.

– Doprawdy? – mruknął Chas. – Zaczynałem już dochodzić do wniosku, że nie mam żadnych talentów.

– A mogę spytać, co ci się przydarzyło? – spytała King.

– Spotkałem kogoś. Była młoda, piękna, przyjazna i

niemal tak inteligentna, aby zliczyć do dwóch. Idealne towarzystwo na wolne popołudnie. Zaprosiła mnie nawet do siebie... żebym poznał jej mężów. Tak, mężów, w liczbie mnogiej...

Wynośmy się stąd gdzieś, gdzie mogą nas co najwyżej obrabować, pobić albo ukatrupić.

21

– Rzecz jasna, zanim wyślemy Chasa na łowy, musimy mu zmienić nazwisko – powiedziała Riss.

– Oczywiście – zgodził się Grok. – Jeden Goodnight na operację to dość. Nie mówiąc już o tym, że nasz przyjaciel ma dossier, którym raczej nie powinien się chwalić. Zespół Star Risk zebrał się w luksusowym salonie *Boopa*, żeby sporządzić wreszcie coś na kształt planu.

– Istotnie – mruknęła Riss. – Niech się zastanowię.

Czuła szczególne uniesienie, myśląc o tym, że tym razem nie ona będzie ryzykować. Teraz wiedziała, co musiało grać w duszy jej przełożonym, gdy posyłali ją do walki.

– Uwielbiam, gdy ktoś bawi się moją przyszłością – warknął Goodnight.

– Wcale się nie bawimy – odparował Baldur. – Staramy się, żebyś w ogóle miał jakąś przyszłość.

– Jasne – dodała Jasmine. – Chodzi nam o to, żebyś przeżył i mógł się łajdaczyć. Bo przecież prędzej czy później znowu spróbujesz, prawda?

– Bardzo śmieszne – stwierdził Goodnight.

– Mamy coś zaimprovizować? – spytała King.

– Improwizacja nie przejdzie – odparła Riss. – Murgatroyd jest bardzo skuteczny, co zapewne wynika z jego przenikliwości. Chas musi dostać najlepszą przykrywkę. Biorąc pod uwagę, że jesteś besterem – zwróciła się do niego – może by wykorzystać tożsamość kogoś, kto już nie żyje?

Goodnight spoważniał.

– Mam lepszy pomysł – powiedział. – Sięgnijmy po

osobę, która w wykazach Sojuszu figuruje jako zaginiona w akcji.

M'chel chciała rzucić jakąś sarkastyczną uwagę, w porę jednak dostrzegła zmianę wyrazu twarzy Goodnighta.

– To może być to – powiedziała ciszej niż zwykle. – Masz kogoś?

– Tak. Nazywał się Raff Atherton.

– Nie ma żadnego ryzyka, że ten Atherton pojawi się gdzieś nagle i pokrzyżuje ci plany? – spytał Grok.

– Najmniejszego – zapewnił go Chas. – Niosłem go na własnych plecach, gdy oberwał. Do chwili, gdy stracił głowę. Dosłownie.

– Tak... – mruknęła Riss. – A dlaczego nie został zaliczony między poległych?

– Jego świat jest bardzo uprzedzony do Sojuszu, a ojciec Raffa trzyma z miejscowymi politykami. Musi być skończonym draniem, skoro się nie przejął, że syn po prostu zniknął. Nie było żadnego pogrzebu, nawet nie powiadomił Sojuszu, bo musiałby to zrobić drogą oficjalną. Zignorował śmierć syna dla kariery. Pewnie to przez niego Atherton uciekł z domu i się zaciągnął – dodał smętnie Goodnight.

– Dobrze – rażno rzucił Baldur, próbując zmienić nastrój. – Wiesz o nim dość dużo, aby odegrać tę rolę?

– Gdy siedzisz w zasadzce, czekając na cel, masz mnóstwo czasu na wspominki. Poradzę sobie. Tylko... co robiłem przez te pięć lat, odkąd zaginałem?

– Handlowałeś bronią – podpowiedziała Riss. – To bardzo duży rynek i ktoś z twoimi możliwościami na pewno by się tam załapał. A właściwie to się załapiesz. Zacziesz jutro. Po sąsiedzku.

– Aha. Tylko dlaczego mam robić cokolwiek tutaj, skoro i tak przerzucicie mnie najpewniej na Setha?

– Bo nie chcemy cię tam zostawiać bez legendy, która wytrzyma gruntowne sprawdzenie – wyjaśniła Riss. – Jeśli najpierw dasz się poznać w tej robocie, będziesz wiarygodniejszy. Okazja zaś sama pcha się w ręce. Gdy kupowaliśmy naszą broń, czy przedstawiałeś się handlarzowi?

– Nie – odparł po namyśle Goodnight.

– Zrobisz to więc teraz – powiedziała Riss. – Jako Atherton.

– I kogo mam uszczęśliwić tą dostawą?

– Jest pewien mały, uroczy świat zwany Mitidja – odezwała się King. – Działa na nim tak zwana Stara Gwardia, usilnie starająca się uchronić miejscową dyktaturę przed upadkiem. Jej przeciwnicy podzielili się ostatnio na dwie frakcje, mamy więc trzy różne siły walczące o władzę. Każda ma własne szwadrony śmierci i własną partyzantkę, poza tym jest jeszcze armia i policja, które też lubią sobie postrzelać. Sojusz odmówił ingerencji, uznawszy, że to konflikt wewnętrzny.

– Wspaniale – mruknął Goodnight. – Zamierzacie mnie rzucić w sam środek tego bałaganu?

– Gorzej – odpowiedziała radośnie King. – Sojusz nie angażuje się w tę sprawę, ale zakazał sprzedawania broni jakiegokolwiek ze stron, które wychodzą przez to ze skóry, żeby dostać jakąś pukawkę na czarnym rynku. Najbliżej mogą tego próbować na Puchercie. Tamtejszego rządu nie cieszy, że stał się centrum nielegalnego handlu bronią, niemniej mimo w zasadzie demokratycznego porządku jest to świat przeżarty przez korupcję. Tak więc można spotkać

tam przedstawiciele owych trzech frakcji z Mitidji, a także wszelkie szumowiny, które polują na siebie nawzajem i wykańczają sprzedających broń konkurencji. Na dodatek kręcą się po okolicy agencji Sojuszu, którzy też nie stanowią wzoru cnót.

– Dwakroć wspaniale – rzucił sarkastycznie Chas.

– Lepiej – oceniła King. – Poza nimi wojnę toczą też sami handlarze bronią, którzy nie lubią nowych i chętnie testują na nich materiały wybuchowe. Moje źródła twierdzą ponadto, że ostatnio na Puchercie uaktywnił się Cerberus, chociaż nikt nie wie, na czyje zlecenie ani co chce osiągnąć.

– Gdybyś przypadkiem trafił na coś dotyczącego Cerberusa, sprzedaj to temu, kto da najwyższą cenę – poradził Baldur. – Przyda się nam dodatkowy zarobek.

– Boże, dlaczego ja? – jęknął Goodnight. – Dlaczego zawsze ja? – Nagle zmarszczył czoło. – A za co kupimy tę broń, którą mam dostarczyć?

– Spokojna głowa – powiedziała Riss. – Sprawy nie zajdą tak daleko. Nigdy jej nie odbierzesz, o dostawie nie mówiąc.

– To chyba nie w porządku wobec naszego dostawcy – stwierdził Goodnight.

– Pamiętam, ile nam policzył za pierwsze zamówienie – odparł zjadliwie Baldur. – Szybko się pocieszy.

– To mi się w nas podoba – mruknęła Riss. – Etyczni do głębi portfela.

– Ale jak wstrzymam tę transakcję przed finalizacją?

– Niczego nie będziesz musiał wstrzymywać – odparła Riss ze słodkim uśmiechem. – My się tym zajmiemy. Gdy zrobi się ciekawie, włączymy cię w jakąś strzelaninę,

ewakuujemy i jak najszybciej dostarczymy na Seta.

Goodnight spojrzał na nią z niedowierzaniem i pokręcił głową.

– Dobrze. Coś takiego zawsze się może zdarzyć. – Zwrócił głowę w stronę King. – Ty na to wszystko wpadłaś?

– Tak – odparła Jasmine. – I kilka moich źródeł.

– Czy jest coś, czego nie wiesz – zapytał z podziwem Chas – albo nie mogłabyś się dowiedzieć?

– Oczywiście – stwierdziła King. – Nie wiem na przykład, kiedy... i czy w ogóle... zaciągniesz kogoś do łóżka.

Goodnight ponownie jęknął.

King uśmiechnęła się lekko na widok czarnego ekranu.

– Jak zawsze ostrożny – skomentowała.

– Jasne – dobiegł ją bezosobowy, przefiltrowany głos. – Dlaczego przypuszczasz, że wciąż jestem w kursie?

– Bo jesteś najlepszy – połechtala mu ego Jasmine. – Popyt na prawdziwych fachowców nie spada.

– Owszem. Zatem dwa komplety, w tym jeden na nazwisko Raff Atherton?

Chas Goodnight, który targował się przy sąsiednim terminalu z handlarzem broni, poprosił go, żeby chwilę poczekał, przyciszył dźwięk, ściemnił obraz i zapuścił żurawia do widkoma Jasmine.

– Trzy – rzucił. – Na wszelki wypadek.

– Ty jesteś użytkownikiem? – spytał fałszerz dokumentów.

– Tak.

– Jak ukompletowane mają być te zestawy?

- Pełne – odparł Goodnight. – Z kartami bibliotecznymi i nie zapłaconymi rachunkami za widkomy włącznie.
- Zrobi się. Oczywiście to będzie kosztowało.
- Tu chodzi o moją dupę, więc cena nie gra roli.
- Lubię klientów o takim podejściu – oznajmił fałszerz.

Ledwie Chas Goodnight zszedł po rampie liniowca, w terminalu wybuchła bomba. Szczęśliwie był na tyle daleko, że tylko chodnik się pod nim zakołysał.

Szybko się pozbierał i otrzepał kurz z drogiego, ale gustownie skrojonego garnituru. Rozejrzał się wkoło. Nie był jedynym pasażerem, który słysząc huk eksplozji, wykonał szybkie „padnij”. Kilkoro innych też właśnie wstawało z niewyraźnymi minami, unikając cudzych spojrzeń. Jasne, pomyślał. Przecież wszyscy jesteśmy biznesmenami.

Podniósł swoją kosztowną torbę podrózną i pogwizdując wesoło, wszedł do terminalu. Zawyły syreny, kilkaset metrów dalej unosiły się kłęby dymu, słychać było krzyki rannych.

Kierował się już do taksówki, nagle jednak się zatrzymał.

Bomba na dzień dobry... – pomyślał. Może jednak powinienem się zastanowić?

Wrócił do terminalu i poszukał stanowiska innego przewoźnika. Uśmiechnął się szeroko do całkiem atrakcyjnej kobiety, którą tam zastał.

– W czym mogę panu pomóc? – zapytała.

– Chodzi o rezerwację. Załatwiłem już u was wszystko, co musiałem, ale bilet, innych linii, mam dopiero na lot za trzy dni. Powiedzieli mi, że nie mogą zmienić rezerwacji, szukam więc szczęścia gdzie indziej. Niech się moi szefowie martwią, jak odzyskać pieniądze za nie wykorzystany bilet – dodał, wzruszając ramionami.

– Zaraz sprawdzę, co można zrobić. Dokąd się pan

udaje?

Goodnight po drodze przyjrzał się tablicy odlotów.

– Za trzy godziny jest lot na Deneb XII – powiedział. – Stamtąd złapałbym już coś do siebie.

Kobieta wywołała stosowne dane na swój ekran.

– Jest jeszcze kilka wolnych kabin – oznajmiła. – Czy mogę prosić o jakieś dokumenty?

– Oczywiście. – Goodnight sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął trzecią z podrobionych kart identyfikacyjnych i podał ją kobiecie, która z uśmiechem zabrała się do pracy. Goodnight ziewnął, grając zmęczonego pracownika średniego szczebla, który marzy jedynie o drinku i drzemce w cichej kabinie.

Chwilę później uśmiech zniknął z twarzy kobiety. Zerknęła nerwowo na Goodnighta.

– Proszę... chwilę poczekać, panie Hathaway – wyjąkała. – Mój terminal chyba nie jest w pełni sprawny. Zarezerwuję panu miejsce z głównego stanowiska. Zaraz wrócę.

Chas uśmiechnął się uprzejmie i kobieta zniknęła na zapleczu. Zaraz potem Goodnight wziął nogi za pas. Wolał opuścić terminal, nim przybędzie policja.

Czyli te dranie ze Star Risk w ogóle mi nie ufają, pomyślał ze złością. Zabezpieczyli się na wypadek, gdybym chciał uciec z tego szamba. A przecież każdy ma prawo ratować skórę. Nie chcę zostać wysadzony ani zamordowany przez jakichś bandziorów. Za kogo oni mnie mają?

Nagle skrzywił się i zaniósł śmiechem. Po prostu dobrze mnie znają.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o powrót do

złodziejskiego fachu. Przynajmniej na razie.

Z drugiej strony chyba równie dobrze mogę zostać w Star Risk.

W sumie nie był zły. Świetnie wiedział, że kretowi przekazuje się tylko te informacje, które są naprawdę niezbędne, i nie ufa mu się ani trochę bardziej niż to konieczne. Tak pracowały tajne służby Sojuszu i trudno, aby Riss podeszła do sprawy inaczej.

Będzie musiał zatem zrealizować jej plan. W sumie żaden problem. Wiedział, że da radę.

Dostrzegł wolny ślizgacz i zamachał na niego. Wsiadł, akurat gdy obok wylądował inny, mocno poobijany wóz i wypadli z niego dwaj mężczyźni, bez wątpienia gliniarze, którzy wbiegli następnie do terminalu.

Ciekawe, jaki haczyk ma na mnie Riss? Musiała się dogadać z fałszerzem dokumentów. Przebiegła bestyjka. Gdyby nie jej skrupuły, byłby z niej świetny bester.

– Dokąd, szefie? – spytał kierowca.

– Do jakiegoś dobrego hotelu – odparł Goodnight. – W tych okolicznościach zasługuję na wszystko co najlepsze.

– Taki? – spytała Riss, pokazując stopę.

Jasmine King spojrzała na jej nogi.

– Może trochę ciemniejszy?

– Dobra. – Riss włączyła mały pistolet malarski, wsunęła stopę w maskowanie i zabrała się do malowania.

Jasmine zachichotała.

– To mnie łąskocze, nie ciebie – powiedziała M'chel. – Co w tym zabawnego?

– Zawsze malowałaś stopy?

– Od kiedy byłam dość duża, żeby podprowadzić w sklepie farbę.

– To zabawne – powiedziała Jasmine.

– Dlaczego?

– Marines noszą buty, prawda?

– Zgadza się. Buty do biegania, do skoków, wspinaczki i tak dalej. Wszystkie możliwe.

– A tymczasem ty, pani major Riss, na zewnątrz porządny marine, fundowałaś sobie całkiem nieregulaminowe kolorki na nogach.

M'chel chrząknęła.

– Może to głupie – powiedziała – ale w Korpusie trudno poczuć się kobietą.

– To dlaczego się zaciągnęłaś?

Riss odłożyła pistolet, dołała sobie wina i spojrzała na jaśniejące przed nią ekrany.

– Popadam w dekadencję – stwierdziła. – To już drugi kieliszek w ciągu trzech dni.

King wyciągnęła ku niej swoje szkło i Riss naląła jej

wina z karafki.

– Nasz Freddie ma styl, prawda? – skomentowała. – Krysztwały, skóra, jedwab...

– Nie zmieniaj tematu – przerwała jej Jasmine. – Miałaś mi powiedzieć, jak zostałam marine.

– Muszę?

Jasmine nie odpowiedziała.

– Dobra – westchnęła Riss. – Urodziłam się na rolniczej, chociaż głównie pustynnej planecie. Moi pobratymcy próbowali różnych upraw, ale najlepiej wychodziło im robienie dzieciaków. Byłam piąta z dziewięciorga rodzeństwa, więc nie miałam widoków na jakąkolwiek karierę. Najlepsze, co mogło mnie spotkać, to względy jakiegoś chłopaka z dużego miasta, który zabrałby mnie ze sobą. Całe to duże miasto było pół dnia drogi od mojego domu i liczyło dwa tysiące mieszkańców. Przerąbane, proszę państwa. I wtedy zobaczyłam ten plakat. Wisiał w szkole i oznajmiał, że uniwersytet, i to najważniejszy, w stolicy, oferuje pełne stypendia. Był tylko jeden haczyk. Uczelnia ta bardziej słynęła z drużyn sportowych niż z poziomu nauczania i te stypendia były dla uprawiających freefall.

– Co to takiego? – spytała Jasmine.

– Ubaw po pachy – skrzywiła się Riss. – Czasem zwany też swobodnym spadaniem. Zasadniczo chodzi o to, że wsiada się do ślizgacza, zwykle otwartego, który wynosi cię na trzy do dziesięciu tysięcy metrów, tak że czasem musisz zabierać ze sobą tlen. Niekiedy leci jeszcze wyżej. Na samej górze wkładasz spadak antygravitacyjny... Wiesz, co to jest, prawda? Potem wyskakujesz i zaczynasz spadać. To takie wrażenie, jakby się latało, zwłaszcza gdy

ślizgacz zostanie daleko i brak punktów odniesienia. W rzeczywistości pędzi się ku ziemi z szybkością ponad siedemdziesięciu pięciu metrów na sekundę. Ale to nie wszystko. Są różne konkurencje, na celność lądowania, tworzenie formacji, akrobacja indywidualna i zespołowa... Można zrobić wiele rzeczy, nim człowiek zaryje w ziemię. Co jakiś czas uruchamia się na moment spadak, żeby zwolnić. Dopiero kilkaset metrów nad ziemią włącza się go na całą moc. Ląduje się z szybkością około metra na sekundę. Gdy robi się to równo, bez wywrotki, można dostać dodatkowe punkty.

– Wygląda mi to na próbę samobójczą – stwierdziła Jasmine.

– Nie jest tak źle – odparła M'chel. – Chyba że coś bardzo schrzanisz: nie weźmiesz poprawki na wiatr przy ziemi albo stracisz kontrolę nad manewrami. Gwałtowne obroty mogą przymroczyć i człowiek budzi się kilka metrów pod ziemią.

– Tak więc zobaczyłaś ten plakat... – powiedziała Jasmine. – Wiedziałaś wtedy cokolwiek o freefallu?

– Nic. Udało mi się jednak pożyczyć spadak na uniwerku, a rodzice mieli stary ślizgacz do oprysku pól i wożenia zakupów. Sama się nauczyłam.

– I dostałaś stypendium.

– I dostałam stypendium – potwierdziła Riss. – Pewną rolę odegrało i to, że zdaniem trenera byłam „najpiękniejszym zjawiskiem od czasu wynalezienia pilota do holo”.

– Czarujące porównanie.

– Istotnie. W zespole byli też tacy, którzy uważali, że freefall jest lepszy niż seks. Seks również już wtedy znałam

– dodała z nutą dumy.

– Zatem wyskakując z całkiem sprawnego ślizgacza, kupiłaś sobie wykształcenie – spytała King. – Można chyba powiedzieć, że było kosztowne?

Riss uśmiechnęła się, ale nie odpowiedziała. Nie chciała mówić, że w tamtych czasach każdy start wywoływał u niej atak choroby lokomocyjnej. Gdy była w powietrzu, wymiotowała do hełmu, który potem czyściła w strumieniu powietrza i wkładała przed skokiem.

– Zdobyłaś więc dyplom... – drążyła Jasmine – po ilu skokach?

– Około tysiąca. Na dodatek dyplom był całkiem dorzeczny, z psychologii biznesu – odparła Riss. – Dawał szansę na wyrwanie się z tamtego świata, chociaż praca w dziale kadr wielkiej korporacji kojarzyła mi się wówczas z publiczną sodomią. Wtedy jednak zobaczyłam kolejny plakat.

– Werbunkowy Marines – zgadła Jasmine.

– Tak. Chodziło o Marines – przytaknęła M'chel, wzruszając ramionami. – W domu nigdy nie mieli mnie za najbystrzejszą.

– A zaglądałaś tam czasem?

– Raz czy dwa. Nie czułam się tam dobrze – stwierdziła z zakłopotaniem Riss. – A teraz twoja kolej. Opowiedz o sobie.

– Moi rodzice byli biedni, ale nieuczciwi... – zaczęła King, gdy przerwał jej sygnał alarmowego wywołania.

M'chel skoczyła do panelu kontrolnego *Boopa* i włączyła ekran, na którym pojawił się Reg Goodnight.

– Riss, otrzymałem właśnie wiadomość od L. C. Doe – oznajmił. – Jednostka bandytów próbowała zniszczyć

zakład przetwarzania rudy i coś im się posypało. Mamy trzech jeńców, tyle że tym razem trzymamy ich pod strażą na pokładzie naszego statku. Doe już do mnie jedzie, potem ruszamy po ciebie. Przy odrobinie szczęścia przylecimy tam, akurat gdy te zbóje będą gotowe do pogawędki.

– Już się zbieram – rzuciła M'chel, sięgając po uprząż bojową.

– Sukinsyny – cicho zaklął Reg, patrząc na wrak statku.

– Dranie mieli chyba obstawę – zauważyła Doe. – Albo nasze kody nie tak trudno złamać, jak nam się zdawało.

Składający się z szeregu pękatych kul wielki masowiec do transportu rudy, zbudowany wyłącznie do lotów w próżni, też oberwał, i to mocno.

Niedaleko leżał wrak jednostki, która zaatakowała transportowiec. Jej właz był otwarty, w środku jednak mało co zostało. Starannie rozmieszczone ładunki wybuchowe zamieniły całe wyposażenie w splątany złom. To musiała być robota zespołu wsparcia rajderów.

– Te gnojki wiedziały, co robią – stwierdziła Doe. – Sami widzicie. Albo przechwycili i rozkodowali naszą rozmowę, albo mają kogoś w Transkootenay. Tak czy owak dowiedzieli się, że ich grupa spieprzyła robotę, została pojmana i czeka na przesłuchanie. Przylecieli się upewnić, że nikt niczego nie wyśpiewa. Najpierw władowali pocisk w maszynownię frachtowca, żeby nie wystartował, a potem otworzyli jak puszkę przedział załogowy i weszli po swoich.

Riss, King i Grok milczeli, gdy Redon sprowadzał patrolowiec na powierzchnię asteroidy niedaleko wraków.

Ubrani już w skafandry zaraz przeszli do służby.

– Pilnuj ekranów – powiedziała Riss. – Mogą jeszcze wrócić, jeśli stwierdzą, że o czymś zapomnieli.

Spada pokiwał głową.

Wyszli z patrolowca i ruszyli długimi skokami w stronę frachtowca.

Było tak, jak opisała Doe. Przednia kula, w której mieściły się kabiny załogi, została z chirurgiczną precyzją otwarta ciężkim laserem.

– Tych pięciu to załoga – powiedziała L. C. – Tamten musi być rajderem.

Riss podeszła do zwłok bandyty i przyklękła. Należały do kobiety. Zginęła przecięta niemal na dwoje masywną stalową płytą.

– Unieruchomili ich pociskiem, a potem wdarli się tutaj – powiedział Reg, choć dla wszystkich było to już oczywiste. – Musieli zabić ją przypadkiem, ratując resztę swoich. Cholera, że też nie zjawiliśmy się tu wcześniej!

M'chel przeszukała kieszenie skafandra kobiety, po czym go otworzyła. W środku było bardzo czerwono i ucieszyła się, że nie musi tego wąchać.

– Wielki Boże – usłyszała i obróciła się. Reg Goodnight przyciskał dłoń do wizjera hełmu.

– Szybko przetykaj – powiedziała. – Wymioty w skafandrze to pewne uduszenie.

Reg posłuchał, jednak Riss też poczuła się nieswojo, słysząc odgłosy towarzyszące jego staraniom. King podeszła do niego i wyłączyła mu nadajnik.

Grok nie zwrócił na to żadnej uwagi. Zaczął wyciągać ciało ze skafandra, starając się go przy tym nie rozerwać. Potem przeszukał kieszenie kombinezonu pokładowego. Choć robił to w próżniowych rękawicach, poszło mu

całkiem sprawnie.

– Nic – oznajmił. – Tylko tatuaż z napisem „Lucien” i para złotych kolczyków. Poza tym tak jak wcześniej. Musieli polecieć wyczyszczeni. Założę się, że wewnątrz ich statku będzie równie anonimowe. Murgatroyd się pilnuje.

Nagle rozległo się sapanie przypominające odgłosy stojącego na ogniu imbryczka. Wydawała je Doe, stojąca z założonymi rękami nad ciałami dwóch ludzi z masowca.

– Dranie chcieli mieć pewność – powiedziała. – Strzelili im prosto w wizjery. Nie będę już protestować, gdy ktoś zechce powiesić kolejnych. Chętnie mu pomogę.

24

– Ładny jacht – zauważył Chas Goodnight.

– Tak – mruknął sztauer. – Pewnie jakiegoś bogacza z solidnie obciążonym sumieniem.

– Skąd pan wie?

– Na pokładzie cały czas jest dwuosobowa wachta, a wkoło kręci się bykowany ochroniarz.

– W sumie nic niezwykłego – rzucił Chas. – Każdy musiał się kiedyś szybko skądś wynosić. Ludzka sprawa.

Robotnik portowy odpowiedział śmiechem.

– Dokumenty – powiedział gliniarz.

Chas podał mu kartę.

Policjant obejrzał ją uważnie i oddał Goodnightowi.

– Przepraszam, panie Atherton. Szukamy dwóch zbiegów i brak nam dokładnego opisu tej pary.

Chas uśmiechnął się ze zrozumieniem i wszedł do swojego hotelu. Zastanawiał się, czy gliniarz powiedział mu prawdę, czy może przyszedł rozkaz sprawdzać wszystkich, którzy mają coś wspólnego z handlem bronią.

– Wybacz, misiu – powiedział bramkarz – nie znam cię, nikt cię nie wprowadza, nie wejdiesz do Frajerowni.

– Znasz mnie – stwierdził Chas, podając mu zwinięte w rulonik sto kredytów. – Dobrze mnie znasz.

Mężczyzna wziął pieniądze i uśmiechnął się.

– Teraz, jak na ciebie patrzę, poznaję w tobie dawno zaginionego brata. Właż. Szukasz młodych talentów czy masz umówione spotkanie?

– Naprawdę cię to interesuje? – spytał Chas.

Mężczyzna szeroko otworzył drzwi.

– Muszę cię pochwalić za dotrzymywanie słowa – rzekł Chas.

– Drobiazg – rzucił bramkarz. – Po co kombinować, kiedy i tak panuje się nad sytuacją?

– Pewnie masz rację – stwierdził Goodnight.

Klub zajmował trzy kondygnacje. Podłogi i ściany mieniły się barwami tęczy. Na każdym piętrze grała inna muzyka, izolowana przez zamontowane w suficie generatory kurtyny dźwiękowej.

Goodnight wszedł na samą górę. Przy schodach stało dwóch mężczyzn, którzy nie zwracali żadnej uwagi na tańczących. Sala była w jednej czwartej pełna.

– Szuka pan kogoś? – zapytał go jeden z nich.

– Jestem umówiony z kimś o nazwisku Thatch – odparł Goodnight.

Mężczyźni spojrzeli na niego z szacunkiem.

– To tam – poinformował go ochroniarz od konwersacji.

Thatch był roslym facetem i najwyraźniej lubił korzystać z życia. Siedział przy stoliku z dwiema uśmiechniętymi dziewczynami o wielkich oczach, w których próżno było szukać śladu inteligencji. Między nimi stał na blacie kryształowy dzbanek, z którego unosiły się różowe opary.

Gdy Goodnight podszedł bliżej, ściągnął na siebie uwagę dwóch mężczyzn, którzy okupowali sąsiedni stół.

Uniósł ręce, pokazując, że nie jest uzbrojony. Nieco się uspokoił.

Wielki mężczyzna spojrział na niego z kamienną twarzą.

– Thatch? – spytał go Goodnight. – Jestem Atherton.

Gospodarz lekko poruszył podbródkiem i dziewczyny,

wciąż uśmiechnięte, przeniosły się niespiesznie do sąsiedniego stolika.

Goodnight usiadł.

– Drinka? – spytał Thatch.

– Nie piję, gdy załatwiam interesy.

– Słuszne podejście – powiedział mężczyzna i nalał sobie z dzbanka kolejną szklanicę. – Rozumiem, że masz jakąś artylerię.

Goodnight bez słowa wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki niewielki czarny przedmiot. Thatch drgnął, a jego ochroniarze sięgnęli po broń. Dopiero po chwili poznali, co właściwie gość trzyma w dłoni, i uspokoili się.

Chas włączył antypodsluchowego niuchacza, skierował go na Thatcha, przesunął nim pod stołem i krzesłami.

Urządzenie nie zapiszczało. Goodnight wyłączył je i odłożył.

– Obaj jesteśmy czyści i możemy rozmawiać – stwierdził. – Tak, mam coś do zaoferowania.

– Co dokładnie?

– Broń ręczna z wyposażenia sił Sojuszu, systemy antyrakietowe Kruppa i wiele innych rzeczy. Mogą być nowe albo używane. Zależy, na jakie cię stać. Nie mam tylko statków, ale gdyby cena była uczciwa, to mogę się o nie postarać.

– Jak z dokumentami?

– Certyfikat importowy i oświadczenie końcowego użytkownika. Prawdziwe, ale nie do sprawdzenia. Użytkownik jest lipny.

– Nie szkodzi – odparł Thatch. – Sposób dostawy?

– W zasadzie przekazuję towar w próżni – powiedział Goodnight. – Ale jeśli nie masz takiej możliwości, dostawię

ci go pod drzwi. Na Mitidję, jak się domyślam?

– Zgadza się.

– Sojusz obłożył ją embargiem – zauważył Chas.

– Tak.

– Na pewno można ominąć blokadę – ciągnął Goodnight
– tyle że planetarna dostawa będzie dwa razy droższa.

– Za drogo – uznał Thatch.

Goodnight wzruszył ramionami.

– Wystawianie się na strzał okrętów Sojuszu musi kosztować – stwierdził Chas.

– Pomyślmy o tym – rzucił Thatch. – A na razie przejdźmy się, omówimy kilka szczegółów.

– Dlaczego nie?

Wraz z dwoma goryłami wyszli przed klub na rześciście oświetlony bulwar. Thatch ruszył ciemniejszą stroną ulicy, gdzie czekała limuzyna.

– Przejedziemy się trochę – powiedział nieco zmienionym głosem.

– Zły pomysł, przyjacielu – odparł Goodnight. – Nie dzieli się skóry na niedźwiedziu...

– Co...? – zdziwił się Thatch.

Jeden z ochroniarzy wyczuł niepokój w głosie szefa i sięgnął po broń. Goodnight uniósł rękę i złapał się za zuchwę.

Świat nagle zwolnił. Thatch krzyczał coś, ale jego słowa brzmiały jak dalekie dudnienie burzy.

Goodnight błyskawicznie wyciągnął płaski filigranowy pistolet. Najpierw strzelił do goryla, który wyciągał broń. Kierował się starą zasadą walki na mały dystans: najpierw załatwić tych, którzy zareagowali, nieważne czy są tuż obok, czy trochę dalej. Potem wpakował dwa małe pociski

w szyję drugiego goryla. Thatch już się obracał, gotów uciekać. Goodnight strzelił mu w tył głowy i wyłączył swoje obwody.

Za sterami limuzyny siedział jeszcze jeden człowiek. Chas szarpnięciem otworzył drzwi, wyciągnął kierowcę i załatwił go, gdy wciąż się toczył po chodniku.

Chwilę później siedział już w środku i startował.

– Co to byli za idioci, że chcieli mnie zabić? – mruknął. – Pewnie nigdy się nie dowiem. Ale nic. Koniec z subtelnosciami. Do roboty.

Goodnight podszedł od tyłu do znudzonego policjanta i grzmotnął go pięścią w kark, po czym ułożył bezwładne ciało na ziemi.

Kilka kroków po rampie jachtu, dotknięcie płytki sensora przy włączniku i już był w środku. Wewnętrzne drzwi stały otworem. Przeszedł cicho głównym korytarzem, zerkając na luksusowe kabiny, salony i kuchnię, aż dotarł na sam dziób.

W pomieszczeniu wypoczynkowym siedziały dwie osoby w mundurach. Ziewając od czasu do czasu, wpatrywały się w ekran, na którym migotała jakaś gra.

Jedna z nich dostrzegła Goodnighta i zamarła, widząc broń w jego ręku.

– Bardzo dobrze – stwierdził Chas. – Tak proszę pozostać.

Nie opuszczając broni, minął załogę, otworzył drzwi sterówki i zajrzał do środka.

– Jedno stanowisko – mruknął z aprobatą i wrócił do pomieszczenia wypoczynkowego. – Które z was jest pilotem?

Kobieta lekko uniosła głowę. Była brunetką i wyglądała na stanowczą.

– Świetnie. Czyli ty jesteś inżynierem pokładowym? – zapytał Chas mężczyznę, który ledwo zauważalnie skinął głową.

– Zakładam, że w najbliższym czasie nie będziesz potrzebny w maszynowni – powiedział Goodnight. – Możesz się przejść.

– On jest bardzo potrzebny – zaprotestowała kobieta.

– Albo wyjdzie sam, albo wyciągnę stąd jego trupa – oznajmił Chas. – Wybór należy do niego.

– Już idę, proszę pana – odezwał się inżynier.

– Dobrze.

– Tylko proszę mnie nie zabijać. Nie powiem nikomu, jak pan wygląda ani nic.

– Nie mam ochoty zabijać – stwierdził Goodnight. – Pora w drogę. Wiele mil dzieli mnie od snu. Poproszę ze mną, siostró. Chcę mieć pewność, że nie napytasz mi biedy, kiedy stąd wyjdę.

Mężczyzna zszedł po rampie, obejrzał się i uciekł. Goodnight przeniósł wzrok na panel sterowniczy, podniósł rampę i zamknął śluzę.

– A teraz startujemy – oznajmił.

– Bez planu lotu? – spytała kobieta.

– Powiesz, że to tylko ćwiczebna rundka.

– O tej porze?

– Masz ekscentrycznego szefa – rzekł Chas. – Nie przeciągaj struny. W razie czego potrafię pilotować tę balie nie gorzej od ciebie.

Kobieta spojrzała na niego, na broń i energicznie skinęła głową.

– Potem sprawdzimy, czy w zamrażarce nie ma jakichś steków – zapowiedział Goodnight. – Muszę uzupełnić kalorie.

– Ładne dokowanie – pochwalił ją Chas.

– Dziękuję.

– To już siódme słowo, które powiedziałaś do mnie przez te cztery dni. Czyżbyś się we mnie zakochała?

Kobieta spojrzała na niego ze złością.

– Mogę cię prosić o rękę? – zapytał nie zrażony tym Chas.

– Słucham? – zdumiała się.

– Muszę ci dać zastrzyk uspokajający – wyjaśnił.

– Chcesz mnie zabić.

– Szanowna pani nie pomyślała, że gdybym chciał ją zabić, mogłem to zrobić jeszcze na Puchercie. Pośpisz sobie tylko jakieś dwa standardowe dni. Potem będziesz już miała czas dla siebie.

Chciała się cofnąć, ale Goodnight szybko przystawił strzykawkę ciśnieniową do jej przedramienia. Rozległ się słaby syk i kobieta zsunęła się z fotela. Goodnight ułożył ją delikatnie na dywanie.

Podszedł do śluzy i sprawdził odczyty.

– Lubię stacje satelitarne z wygodami – mruknął. – Żadnych skafandrów i szybowania w próżni.

Właz stanął otworem i Goodnight przeszedł rękawem do stacji.

Była wielka i rozłożysta, chociaż wisiała pośrodku wielkiego obszaru nicości. Służyła jako węzeł przesiadkowy podróżnym co najmniej z dziesięciu układów

i panował na niej bardzo duży ruch.

Jakiś czas później Chas wziął walizkę z prawdziwej skóry, którą wypchał nowymi rzeczami, wypranymi już jednak i pozbawionymi metek, i podszedł do stanowiska biletowego.

– Pan sobie życzy...? – padło pytanie.

– Przelot na Wodny Świat II, a stamtąd przesiadka na Seta V.

Kobieta za kontuarem postukała w klawiaturę.

– Jest taka możliwość, proszę pana, ale zostało bardzo mało czasu – powiedziała. – Statek na Wodny Świat startuje za godzinę, a na miejscu będzie pan miał tylko cztery godziny na przesiadkę.

– Bardzo dobrze – stwierdził Chas, podając jej kartę Athertona. – Mój szef chce, żebym dotarł tam jak najszybciej.

Tym razem karta zadziałała bez jakichkolwiek niespodzianek.

Ciekawe, pomyślał Chas. A gdybym użył jej wtedy, na Puchercie? Czy też poszłoby bez przeszkód? A może Riss domyśliła się, że trzeci komplet dokumentów zamówiłem tylko po to, żeby uciec od Star Risk?

Uznał, że pewnie zastawiła pułapki na wszystkie jego tożsamości, chociaż nie miał pojęcia, jak to rozegrała. Zresztą nie było się czym przejmować. Zrobił swoje: po strzelaninie, którą urządził, powinni go tam zapamiętać. A gdy pani pilot się obudzi, na pewno opowie wszystko ze szczegółami. Władze na Puchercie chętnie jej wysłuchają, bo nawet jeśli Thatch był zwykłym rzezimieszkiem na usługach którejś z frakcji i tylko udawał, że służy jakiejś legalnej władzy, żaden rząd nie lubi walających się po ulicy

trupów, bo to denerwuje praworzędnych obywateli.

Na stacji mogą go jeszcze dopaść, ale dalej nie powinni go już ścigać. A jeśli ktoś będzie chciał sprawdzić listy uwierzytelniające Athertona, znajdzie sporo nader wiarygodnych informacji.

- Pańskie bilety.
- Dziękuję.
- Życzę panu miłego lotu.

– To ja ostatnim, samotnym gościem na h8 i szach – powiedział Redon Spada.

– Hm... – mruknął Friedrich von Baldur. – Król na d6.

– Nie możesz – zaprotestował Spada. – Mój skoczek cię szachuje.

– Cholera – zaklął Baldur. – Straciłem wizualizację. Poczekaj chwilę. – Wyprostował się i spojrzał na widoczne w górze patrolowce.

– Nieważne – stwierdził Spada. – Cokolwiek zrobisz, w następnym moim ruchu dostajesz mata.

Baldur bezgłośnie poruszył ustami.

– Niewiarygodne – powiedział Grok zza swojej prowizorycznej konsoli przypominającej fabrykę makaronu po eksplozji. – Ludziom starczyło geniuszu, żeby wymyślić szachy, lecz nigdy nie nauczyli się w nie grać. Każdy z was mógł dostać mata już dziesięć ruchów temu. I pomyśleć, że gracie tylko w dwuwymiarowej przestrzeni...

– Dzięki za komplement – rzekł Spada. – Może poszedłbyś się poiskać albo chociaż uczesać?

– Nie mam pcheł... – odrzekł Grok. – Ej, coś tam jest.

Ich jednostka wisiała wraz z dwoma patrolowcami „nad” konwojem złożonym z czterech średnich frachtowców w eskorcie sześciu pyrrhusów Star Risk.

Formowanie konwoju trwało wieki, a towarzyszące temu rozmowy radiowe odbijały się echem po całym układzie. Wszyscy wiedzieli, że szykuje się bezpieczny przelot na Mfir i można dołączyć do grupy w którymkolwiek z trzech podanych wszem i wobec punktów zbornych w obrębie

pasa.

– Jest trzech – powiedział Grok, komentując trzy piśnięcia swej elektroniki.

Trzy jednostki wojenne wyskoczyły z nadprzestrzeni przed konwojem i od razu weszły na kurs przechwytyjący.

– Nadają na dwóch... czterech kanałach – ciągnął Grok. – Nagrywam. O, jest piąty. Dostrzegli eskortę. Mam nadzieję, że teraz się wycofają.

Baldur zbliżył mikrofon do ust.

– Do wszystkich jednostek – powiedział. – Przygotować się do skoku.

– Są jeszcze trzy. I jeszcze trzy za nimi. Mają przewagę liczebną – oznajmił Spada i poszukał swojego mikrofonu. – Szykujcie się – przekazał obu bocznym. – Na mój rozkaz robimy cyrk straceńców.

– Jeszcze nie...! – rzucił Grok. – Na razie nie palą się ryzykować.

Na ekranie pojawiło się kolejne, znacznie większe echo.

– Oto i nasz krążownik – powiedział Baldur. – Cała obsada na scenie, zaczynamy kabaret. – Włączył mikrofon. – Ruszamy na trzy... Jeden, dwa, skok!

Konwój zniknął w nadprzestrzeni.

– Sprawnie poszło – ocenił Baldur. – Wątpię, żeby zdążyli przyczepić im znaczniki.

– Mam częstotliwość krążownika – powiedział Grok. – Super.

– A może nawet lepiej – dodał Spada. – Zespół, ruszamy.

Trzy patrolowce, jakże teraz nieliczne wobec dziesięciu napastników, na pełnej mocy pomknęły ku krążownikowi.

– Naprowadzać – spokojnie polecił Spada. – Nikt nie strzela bez rozkazu, bo powieszę za kciuki. Jest jeszcze

poza zasięgiem. – Spojrzał na oficera uzbrojenia, który pokręcił głową. – Naprowadzać. Przypominam, jedna salwa i skok.

– W zasięgu – powiedział Lopez.

– Czekać – rozkazał Spada takim tonem, jakby prosił o szklanekę wody. – Ci idioci chyba nas nie widzą. Bardzo dobrze, są coraz bliżej. Już prawie... Odpalać!

Patrowce wypuły po jednym pocisku przeciwokrętowym. Rakiety weszły na ułamek sekundy w nadprzestrzeń i wyłoniły się z niej w pobliżu burty krążownika.

– Wracamy do domu – rzucił Spada, nie czekając na wynik ataku. – Transmitter wystrzelony.

Chwilę później otoczyły ich rozmazane barwy nadprzestrzeni.

– Nie wytrzymam z ciekawości – mruknął po chwili Spada. – Wy tam – powiedział do patrolowców. – Zobaczymy się w Sheolu. My wrócimy na chwilę, przechwycimy materiał z sondy i przylecimy zaraz po was.

– Chwila, szefie, obliczam kurs... – dobiegło z głośnika. – Skok.

Baldurowi żołądek podszedł do gardła, gdy znowu otoczyła ich zwykła przestrzeń. Nie trwało to długo. Zaraz potem gwiazdy znowu zniknęły.

Kompy zabrały się do obróbki materiału, który przekazał transmitter.

– Mam obraz – odezwał się Lopez. – Jedno trafienie pewne, drugie prawdopodobne.

– Na smoka i Jerzego, chyba nam się udało – powiedział Spada.

Baldur nawet teraz nie potrafiłby powiedzieć, czy ich

pilot chociaż trochę się ucieszył.

– Odtwarzam nagranie – oznajmił Lopez. – Najpierw silny błysk w rejonie przedziałów napędowych, potem mniejszy, trudny do identyfikacji, na śródkręciu. Powiedziałbym, że bydlak został poważnie uszkodzony.

– Na to wygląda – przyznał Spada. – Na dodatek mamy logi ich rozmów i zapisy częstotliwości. Może będzie tego dość, aby złamać kody.

– Bohaterowie mieli dobry dzień – powiedział z ulgą Baldur. – Chyba sprzyjało nam szczęście.

– Owszem – zgodził się Grok. – Jeśli jeszcze nasz młody kandydat na bohatera doleciał tam, gdzie miał dolecieć, to już w ogóle będzie święto.

Seth V był takim sobie światem. Gdyby kiedyś przestało tam padać, mógłby nawet uchodzić za atrakcyjny. Teraz jednak chmurne niebo raczyło mieszkańców opadami we wszelkich postaciach, od oberwania chmury po mżawkę.

Gdyby nie to, jasno malowane domy nad krętymi kanałami stolicy mogłyby zachwycić niejednego turystę, a liczne wysepki na południowym oceanie stałyby się popularnymi kurortami. Jednak przez tydzień obijania się, który minął od przylotu Chasa, chmury ani razu nie dały za wygraną. Słońca nie było.

Dlatego też Seth musiał robić pieniądze na przemyśle, montażu podzespołów elektronicznych i rolnictwie. Oraz najemnikach.

To był naprawdę spory interes i nikomu to nie przeszkadzało.

W Trygve psy wojny miały nawet swoją dzielnicę. Policja zaglądała tam wyłącznie w czteroosobowych zespołach i zawsze w pełnym oporządzeniu bojowym. Chętni mogli znaleźć tam zarówno ochroniarzy według specyfikacji, jak i gotowy do bitwy batalion wraz z ekwipunkiem.

Tak jak na Boyingtonie werbowano się pilotów, tak tu całą resztę armii, chociaż w grę wchodziły tylko rasy humanoidalne. Krzemowców należało szukać gdzie indziej.

Za dnia wspomniana dzielnica prezentowała się niemal normalnie, chociaż kogoś mogła zastanowić wielka liczba barów i sklepów z używanymi rzeczami. Ponadto, jak w każdym mieście obok bazy wojskowej, było tu wiele

lombardów.

Wśród restauracji przeważały egzotyczne, z potrawami poznanymi przez ludzi na wszystkich planetach, gdzie przez ostatnie dwieście lat zdarzyło im się toczyć wojny.

Chas Goodnight siedział właśnie w jednej z nich nad filiżanką herbaty. Poza kontuarem stały w nim tylko cztery, odgrodzone parawanami stoliki. Był jedynym gościem.

Po przylocie rozpakował jeden z małych akumulatorów, które wziął do zasilania modułu bestera, i wywołał w nim szpilką małe spięcie. Zmieniło go to w miniaturowy nadajnik wysyłający sygnał do lokalizatora obsługiwanego zapewne przez Groka.

Goodnight przypuszczał, że ktoś ze Star Risk musiał już przeniknąć na planetę, bo nadajnik zamilkł samoczynnie po dwóch dniach, jakby wykonał już swoje zadanie.

Przechodzący z jakąś butelką właściciel restauracji wskazał na filiżankę Chasa.

– Nie, dziękuję, Ygort – powiedział Goodnight. – Muszę się liczyć z forszą.

– Niech się pan nie przejmuję, panie Atherton – odparł mężczyzna. – Na pewno coś szybko panu wpadnie.

– Mam nadzieję. W przeciwnym razie będę musiał zmywać u ciebie naczynia.

– Dobry żart – powiedział właściciel bez uśmiechu.

Otworzyły się drzwi i wszedł mrugający nerwowo mężczyzna. Zobaczył Goodnighta i zaraz się do niego dosiadł.

– Jak idzie, Maffer? – spytał go Chas.

Hal Maffer był nieokreśloną postacią. Pomagał najemnikom znaleźć kontrakty, pomagał też ich klientom. Niektórzy przysięgali, że jest bajecznie bogaty, inni – że

ledwie starcza mu do pierwszego.

– U mnie w porządku – odparł Maffer. – Gorzej z tobą.

– Jakiś problem? – spytał Goodnight, udając zaniepokojenie. – Powiedziałem ci, czego szukam. Jestem pewien, że potrafię więcej niż te żołnierzyki, których można tu znaleźć. O wiele więcej. I ty mówisz, że nic dla mnie nie masz?

Maffer skinął na właściciela lokalu, który zjawił się z butelką.

– Siedzisz o suchym z wyboru? – spytał Goodnighta.

– Jeszcze by.

– Ja płacę – powiedział Maffer i Ygort polał trunek do filiżanki Chasa.

– Z wodą czy z lodem? – zapytał.

– Po co? Na zewnątrz jest dość zimno, a co do wody, kąpałem się w zeszłym miesiącu – odparł Maffer.

– Jakiś problem? – powtórzył po chwili Goodnight.

– Wedle jednej wersji masz za wysokie kwalifikacje.

– I co z tego? Słyszałem, że ktoś werbuje do układu Foley, a ja chcę na jakiś czas zejść wszystkim z oczu.

– Tak – mruknął Maffer. – Klient cię sprawdził i rzeczywiście Puchert bardzo za tobą tęskni. Spróbuję wyjaśnić to jeszcze inaczej – powiedział i wychylił połowę szklanki. – Klient uważa, że jesteś głęboko zakamuflowaną wtyczką Sojuszu.

– Co? – spytał wielce oburzony Goodnight. – Od lat handluję bronią i to, że jedna transakcja mi się nie udała, to żaden dowód. Pierdu, merdu, nerdu. Już żałuję, że usłyszałem cokolwiek o tej propozycji z układem Foley. Czuję, że się nie uda. Ty też nie pomagasz. Straszysz tylko, że obecnie mało roboty, chociaż robota jest i

musiałbyś się tylko wysilić.

– Nie przesadzaj – powiedział Maffer. – Dobrze wiesz, że Sojusz nigdy nie oszczędzał na przykrywkach dla besterów.

Goodnight opanował uśmiech. Maffer miał rację.

– Mam więc tu siedzieć i rdzewieć – rzekł Chas – z coraz bardziej pustą kieszenią, aż ci z Pucherta dojdą, gdzie jestem. Nie wiem nawet, czy Seth ma z nimi umowę o ekstradycji.

– Seth nie podpisuje takich umów – stwierdził Maffer. – Ale fakt, to się może źle skończyć. Powiesz mi jeszcze coś na swój temat, co mój klient mógłby sprawdzić?

– Nie, do diabła – warknął Goodnight. – Jak mam go przekonać, że jestem właściwym człowiekiem do tej roboty? Zgwałcić babcię? Sprzedawać prochy przed szkołą? Założyć podsłuch własnemu ojcu?

– Dobrze kombinujesz, przyjacielu. Bardzo dobrze.

Biuro zajmowało trzy pokoje w nijakim nowoczesnym budynku na obrzeżu biznesowej dzielnicy Trygve.

Na drzwiach wisiała tabliczka „Przedstawicielstwo Kontaktowe Sojuszu”. Kogoś bystrego mogłoby zastanowić, skąd wzięło się takie biuro wiele kilometrów od konsulatu. Chas Goodnight nie należał do tępaków.

Powinni wymyślić coś lepszego, pomyślał. Zwłaszcza że przez lata sporo osób musiało się już dowiedzieć, że ta firma jest jedynie kamuflażem wywiadu Sojuszu.

Było blisko północy, gdy ruszył powoli korytarzem, ciągnąc wózek z mopami, szczotkami i wszystkim co potrzebne do sprzątanía. Miał na sobie kombinezon z napisem „Dział konserwacji” na plecach. Wiedział, że

takiego kogoś ludzie nie zauważają, o zapamiętaniu nie wspominając. Gdy wpisywał się na dole, zaspany strażnik ledwie na niego spojrział.

Biura były zamknięte, ale Goodnight poświęcił chwilę na sprawdzenie, czy na pewno nikt nie pracuje w nich po nocy. Nie pozbył się jeszcze wszystkich skrupułów.

Zatrzymał wózek tuż przed drzwiami i wyłączył zasilanie. Potem sięgnął pod górną pokrywę i pstryknął staromodnym przełącznikiem. Nie ufał do końca zwykłym sensorom, przekonany, że wystarczy przypadek, aby się usamodzielnili. Nie chciał zostawiać nic przypadkowi.

Potem niespiesznie zjechał na dół. Miał mnóstwo czasu.

Uśmiechnęło się do niego szczęście: strażnik na dole zniknął. Może poszedł do toalety, może na piwo. Nieważne.

Goodnight wyszedł i wrócił do zaparkowanego w pobliżu małego towarowego ślizgacza. Wystartował i minął kilka przecznic, po czym wspiał się do jednego z korytarzy szybkiego ruchu.

Ciągle mocno padało.

Skreślił w stronę niskiego wzgórza, które wypatrzył sobie poprzedniego dnia, i wylądował. Powinien teraz porzucić przebranie i wrócić do hotelu, chciał jednak na własne oczy ujrzeć efekty swojej przemyślanej akcji.

Pojawiły się pół godziny później.

Dzięki lornetce ze stabilizacją obrazu widział wszystko jak na dłoni. Biurowiec najpierw się zakołysał, a potem buchnął płomieniami. Fala uderzeniowa dotarła do wzgórza pół minuty później.

Chas sięgnął ręką do tyłu i poklepał się po plecach. Dobrze wiedział, że nikt inny go nie pochwali.

Czas włączyć nadajnik, pomyślał.

– Aleś wymyślił – jęknął Hal Maffer.

Goodnight tylko wzruszył ramionami.

– Sojusz zacznie teraz węszyć na potęgę, co nie pomaga w interesach – dodał jego rozmówca.

– Życie w ogóle jest trudne – mruknął Chas z niezmaconym spokojem, poza tym nie wierzył w talenty śledczych Sojuszu. – A co powiedział klient?

– „Kurwa mać” – zacytował Maffer. – Potem dodał, że wszyscy besterzy to wariaci, ale chyba nie aż tak stuknięci, żeby wysadzać własne biuro. Uznał, że nie jesteś podstawiony.

– Wiesz, tam musiały być zapisy na temat wszystkich żołnierzy Sojuszu, którzy szukali tu roboty przez ostatnich dziesięć lat. Aż dziw, że żaden nie postawił mi jeszcze piwa – mruknął Chas.

– Myślisz, że ludzie o tym gadają? – spytał Hal. – Założę się, że nie.

– Pewnie dlatego, że jesteś milczek.

– Jestem. Tutaj masz adres gościa, który werbuje do układu Foley. Zgłoś się do niego na wczoraj. Wywiezie cię stąd jutro albo jakoś tak. Według mnie im szybciej, tym lepiej. Mógłbyś napytać sobie biedy, gdybyś u nas dłużej zabawiał.

– Bez obaw – powiedział poważnie Goodnight. – Jestem duszą towarzystwa.

– Aha – powiedział z satysfakcją Grok. – Ruszył się. – Spojrzał na jeden z ekranów patrolowca numer sześć. – To sugeruje, że przeszedł pomyślnie test, dostał kontrakt i niebawem opuści planetę.

– Mam wyłączyć transponder? – spytał pilot.

– Jeszcze nie. Gdy dotrze do portu, ustalimy, na jaki statek wsiadł. Przyczepimy mu znacznik do kadłuba i wtedy wyłączysz nasz drobiazg. Murgatroyd to zawodowiec i na pewno jest podejrzliwy, więc dokładnie sprawdza nowych.

Na pokładzie było tylko siedmiu rekrutów. Zaokrętowano ich na marny, przestarzały niszczyciel eskortowy Sojuszu przerobiony na szybki transportowiec. Goodnight znał tę konstrukcję. Kiedyś często korzystano z niej do podrzucania i wyciągania agentów przeprowadzających tajne operacje.

Załoga powinna liczyć piętnaście osób, a dwanaście, gdy obsada musiała być szkieletowa. Dwunastu, żeby przewieźć siedmiu... W wypadku zwykłej prywatnej imprezy byłoby to nieopłacalne. Murgatroyd myślał jak ktoś bardzo bogaty. Albo ktoś, kto spędził lata w służbie państwowej. To była jedna z kwestii, które Goodnight miał wyjaśnić.

Pozostałą szóstkę mężczyzn i kobiet, którzy weszli na pokład na Secie V, szybko sklasyfikował jako: sadystkę, obiecującego lizusa, dwoje tak spokojnych i opanowanych, że musieli być doświadczonymi żołnierzami, i dwoje amatorów, którzy musieli się otrzeć o jakąś jednostkę obrony terytorialnej.

Wszyscy dostali czarne kombinezony pokładowe oraz buty i usłyszeli, że resztę sprzętu otrzymają, gdy dotrą do bazy.

Goodnight zauważył, że załogant fasujący im odzież nosi identyczny kombinezon bez jakichkolwiek naszywek. Gdyby operację prowadził Cerberus albo jakakolwiek inna firma czy organizacja mająca ochotę na bogactwa układu Foley, bez wątpienia też usunęłaby wszystko, co pozwalałoby ją zidentyfikować.

Ucieszył się, gdy jeden z nowicjuszy spytał, gdzie jest ta

baza. Usłyszał jednak tylko: „Nie powinno cię to interesować, żołnierzu”. Odpowiedź nie była przesadnie ostra, lecz Goodnight wolał nie zwracać na siebie uwagi i nie podjął tematu.

Znalazł sobie koję w pewnej odległości od pozostałych, o co nie było trudno w sali przewidzianej dla czterdziestu żołnierzy. Zaraz się położył, aby jak najwięcej odespać. Z doświadczenia wiedział, że przeloty międzygwiazdne są zwykle albo niebezpieczne, albo bardzo nudne.

Ustawiał dekoracje do kolejnego erotycznego snu, gdy sadystka psyknęła mu nad uchem.

Usiadł.

– Czego chcesz? – rzucił nieprzychylnie.

– Myślę, że powinniśmy się jakoś zorganizować – powiedziała kobieta.

– Po co?

– Żeby nas nie porozstawiali po kątach – odparła.

– Słuchaj, głupia – warknął Goodnight – przyjąłeś tę robotę, tak? Jeśli nie chciałeś, żeby ktoś ci rozkazywał, trzeba było zostać na dole i czekać, aż skończy ci się forsa i wylądujesz w rynsztoku.

– Nie jestem głupia – zaperzyła się sadystka.

– Owszem, jesteś – odparł Goodnight. Nie miał cierpliwości do tej kobiety. Poza tym ostatnio sam był manipulowany znacznie bardziej, niżby mu się to podobało.

Uznawszy, że przyda mu się trochę ruchu, zeskoczył z koi.

Kobieta uniosła ręce, szykując się do walki, ale była zbyt wolna. Stopa Goodnighta dotarła już do jej brzucha.

Sadystka zaskrzeczała z bólu i zatoczyła się do tyłu. Chas podciął jej nogi. Gdy próbowała się podnieść, zrobił to

samo z rękami, po czym opadł kolanami na jej plecy.

Powietrze uciekło kobiecie z płuc i zwymiotowała.

– Odrażające – powiedział Goodnight. – Teraz wstanę i zostawię cię we własnych rzygowinach. Gdy poczujesz się lepiej, posprzątasz to wszystko.

Kobieta zdołała tylko pokiwać głową. Chas wrócił na koję i uznał, że powinien pośnić o Jasmine King. Podziwiając go i chętniej do współpracy.

Nagle coś przyszło mu do głowy. Przecież Murgatroyd może być kobietą! I to niekoniecznie siwą staruszką. Może się okazać młodą i bogatą laską z fiołem na punkcie seksu.

Może również otacza się takimi jak ona panienkami? Ależ to byłby harem! Nigdy w żadnym nie był i zastanawiał się, jak taki babiniec może wyglądać. I ciekawe, czy zatrudniają tam personel pomocniczy. Na przykład brakarki, sprawdzające dla Murgatroyd jakoś aplikującego o dostęp do niej materiału płci odmiernej.

Goodnight uśmiechnął się i zamknął oczy.

– Coś mam – powiedziała Jasmine. – Chyba że się mylę, oczywiście.

– Bardzo obiecująca zapowiedź – mruknęła Riss. – Mam nadzieję, że jednak na coś trafiłaś. Chciałabym się wreszcie ruszyć z tego przekłętego *Boopa* i zobaczyć parę ludzkich twarzy. Dobija mnie to czekanie, aż Grok nam powie, gdzie trafił Goodnight.

– Spokojnie – rzucił Baldur. – Nie będziemy jak dzikusy ganiać we wszystkich kierunkach.

Riss westchnęła.

– Dalej, Jasmine – powiedziała.

– Przyszła mi do głowy pewna myśl – podjęła King. – Ten krążownik mnie natchnął. Otóż okręty wojenne, zwłaszcza większe, potrzebują zaplecza, stoczni z warsztatami i tak dalej. Nie można utrzymać ich bez tego w służbie. To oznacza, że możemy skreślić pas asteroid. Ukrycie takiej bazy w jego obrębie wydaje mi się niewykonalne. Ktoś dawno już trafiłby na jej ślad. Jeśli nie my, to górnicy. Zostają nam więc albo tutejsze planety, albo okolice innej gwiazdy. W drugim wypadku byłoby im łatwiej, jednak nigdzie w pobliżu nie ma żadnego innego układu planetarnego. Nie skreślam jednak tej możliwości, póki się nie dowiemy, co z Chasem. Na razie przyjrzałam się temu układowi. Nie uśmiechało mi się wieloletnie przeglądanie zdjęć satelitarnych, zaczęłam więc od drugiej strony. Wykluczyłam też Welf, jako rzadko zaludniony, i trzy planety zewnętrzne. Z zapisów wynika, że około trzydziestu lat temu Glace popadła w konflikt z jakimś

innym układem. Spodziewając się wojny, wybudowano wówczas kilka baz wojskowych. Dyplomaci zażegnali spór i działa nigdy nie przemówiły, a placówka została porzucona.

– Aha – mruknęła Riss, zrozumiawszy, do czego zmierza King.

– Właśnie – powiedziała Jasmine. – Przejęcie gotowej bazy to najprostsze rozwiązanie, zwłaszcza jeśli znajduje się ona na pustkowiu. Na pewno było kilka stacji na satelitach planet zewnętrznych. Miały pełnić funkcję sieci wczesnego ostrzegania. Żadnej nie udało mi się zlokalizować, ale wciąż szukam. Ciekawe jednak, jak mało jest danych na ich temat – jakby ktoś skrupulatnie usuwał zapisy. A szczyliłam się tym, że niczego nie można przede mną ukryć... – Zamilkła na chwilę. – Trafiłam jednak na wzmiankę, że były także trzy albo cztery bazy na samej Glace. Dwie blisko ośrodków miejskich, jedna lub dwie daleko w głuszy. Nie udało mi się ich jednak zlokalizować, a nawet gorzej. Wygląda to tak, jakby nigdy tych baz nie zbudowano i były tylko wymysłem polityków, którzy chcieli zdefraudować rządowe fundusze. Im więcej o tym myślę, tym bardziej cała sprawa wydaje mi się podejrzana – ciągnęła Jasmine. – Ten brak informacji sugeruje, że coś tutaj nie gra, a nawet śmierdzi, dobrze więc byłoby się tym zająć. Proponuję wysłać patrole nad Glace oraz na skraj układu, gdyby Murgatroyd zainstalował się jednak na księżycu jakiegoś lodowego olbrzyma.

Na marginesie: trafiłam na notkę, że jedna z baz na Glace podobno została opuszczona, zanim jeszcze zniknęło widmo wojny. Podobno chodziło o to, że natknięto się tam na przedstawicieli prymitywnej rasy, która zamieszkiwała

tę planetę, nim przybyli na nią pierwsi koloniści. W innych źródłach znalazłam informację, że była to rasa wroga ludziom. Poobserwowawszy ich, wycofała się jednak do swoich kryjówek i tylko z rzadka napadała tych, którzy zbłądzili w nieznanym terenie. Wydało mi się to bardzo ciekawe.

Riss zamyśliła się i nie dosłuchała do końca.

– Stawiałabym na planety zewnętrzne – powiedziała.

– Jestem przeciwnego zdania – odezwał się Baldur.

– Ja zostanę, żeby bronić fortu – oznajmiła Jasmine, wyciągając z kieszeni monetę. – Możecie skrócić sobie oczekiwanie na Groka kilkoma patrolami. Awers to Glace, rewers – lodowe olbrzymy. M'chel, ty pierwsza.

Moneta wzleciała w powietrze.

King złapała ją, przytrzymała drugą dłonią i odsłoniła.

– Pakuj kozuch, Freddie – powiedziała.

– Oto moje wredne szczęście – jęknął Baldur. – Nici z rozrywek w wielkim mieście.

– Jasmine – odezwała się M'chel. – Jak na to wszystko wpadłaś?

King uśmiechnęła się anielsko.

– Szukajcie, a będzie wam objawione – powiedziała.

– Gadanie – rzuciła Riss i poszła do swojej kabiny, żeby się spakować.

Statek schodził prosto na porośnięte dżunglą urwisko. Wydawało się, że pilot stracił panowanie nad sterami i tylko sekundy zostały do katastrofy.

Zgrzytnęły betonowe wrota i w urwisku otworzyło się wejście do olbrzymiego hangaru. Transportowiec przepłynął przez nie na napędzie antygravitacyjnym, wysunął podwozie i wylądował w cieniu olbrzymiego kadłuba krążownika typu *Sensei*.

W hangarze zmieściłoby się jeszcze pięć albo i sześć jednostek tej klasy.

Opadła rampa transportowa, otworzono wewnętrzne drzwi śluzy. Kilka minut później Goodnight stał już na betonie i z resztą rekrutów wyteżał oczy.

Słysząc było szum wentylacji. Po kadłubie krążownika pełzały drobne postaci robotników obsługujących jakieś maszyny.

Chas wciągnął powietrze w płuca. Zalaatywało pleśnią i starym smarem, jakby hangaru długo nie używano. Oczekiwał, że wyląduje na jakimś zapomnianym księżycu, w żadnym razie nie tutaj. Gdziekolwiek to „tutaj” było.

Zza statku wyłonił się ślizgacz ciężarowy, który zatrzymał się przy grupce rekrutów. Kierowca, który wysiadł po chwili, był niski i szczupły, miał ciemną cerę i mały, starannie przystrzyżony wąs. Głos miał bardziej donośny, niżby wskazywała postura.

– Nazywam się Navarro – powiedział. – To wszystko, co musicie o mnie wiedzieć. Jestem waszym szefem.

– W jakim stopniu? – spytał jeden z żółtodziobów.

– Tutaj nie ma stopni. To robota, a nie wojsko. – Navarro dotknął paska naszytego na prawym rękawie skafandra. – To oznacza, że jestem szefem. Jeśli ktoś z takim znakiem powie wam, że macie coś zrobić... to zrobicie, co wam każe. To znaczy też, że nie jestem waszym prawdziwym przełożonym. Takich jak ja jest tutaj sześciu. Na pewno poznacie ich, gdy ich zobaczycie. Gdy powiedzą „skacz”, będziecie skakać, a oni ocenią, czy skaczecie dość wysoko. A teraz wsiadajcie do ślizgacza. Zawiozę was na kwatery.

– Jedno pytanie, Navarro – odezwał się Goodnight. – Co będziemy tu robić? Człowiek, który mnie zaangażował, nie potrafił wiele powiedzieć o moich przyszłych obowiązkach. Zapewniał tylko, że stanę się bardzo bogaty.

– Gdy dojedziemy na kwatery, czeka was krótka odprawa – rzekł Navarro. – Mogę wam jednak powiedzieć, że dostaniecie przydziały odpowiednie do swoich umiejętności. Ty jesteś besterem, zgadza się?

– Tak.

– Co do pozostałych, szybko dojdziemy, ile jesteście warci. Na początek przejmiecie służbę wartowniczą wokół bazy.

– Przed kim będziemy jej strzec? – spytał jeden z doświadczonych żołnierzy.

– Przed wszystkimi. Głównie jednak przed szarymi.

– A to kto?

– Paskudne pokurcze, które myślą, że wszystko do nich należy, i uwielbiają obdzierać ze skóry każdego, kto się z nimi nie zgadza. Obca rasa. Regulamin służby wartowniczej nakazuje strzelać do nich, ledwie się pojawią. Co nie zdarza się często. Żyją w dżungli, gdzie z zasady nie zaglądamy.

– To wszystko? – spytała zde gustowana amatorka samoorganizowania się.

– Dopóki was nie sprawdzimy, wszystko – powiedział Navarro. – Później... znajdzie się miejsce na innych stanowiskach. Zwykle dzieje się tak, gdy komuś pomyłają się kierunki podczas ucieczki i trzeba go potem zapakować do plastikowego worka. Każdy z doświadczeniem w próżni szybko znajdzie ciekawe zajęcie, dzięki któremu stanie się bardzo bogaty, jak powiedział Atherton. Dobrze pamiętam twoje nazwisko? Chyba że zaczniecie się łączyć na błyskotki, bo taka niesubordynacja nie wróży najlepiej. Najpierw jednak musicie nam udowodnić, że jesteście dobrzy. I że sprzyja wam szczęście. Szarzy to sprawdzą.

Kobieta nie wyglądała na przekonaną. Chciała spytać o coś jeszcze, gdy w hangarze rozległ się sygnał alarmu.

– Trójka do centrum – powiedziała Riss na użytek laryngofonu. Jej patrolowiec znajdował się na wysokiej orbicie nad porośniętą pierwotną dżunglą powierzchnią Glace.

– Tu centrum – rozległ się w słuchawkach głos Baldura.
– Słucham.

– Mówi trójka. Złapaliśmy wyraźny sygnał Goodnighta, gdy jego statek wszedł w atmosferę. Śledziliśmy go, póki nie schował się za horyzontem. Potem zniknął.

– Powtórz ostatnie – powiedział Baldur.

– Zniknął. Wciął go. Pstryk i nie ma.

Jej pilot oderwał spojrzenie od ekranu i pokręcił głową. Wciąż nie było śladu tamtego statku.

– Jakieś sugestie? – spytała Riss.

– Spróbuj szybkiego przejścia nad rejonem, w którym straciliście go z ekranów. Potem zacznij zataczać coraz szersze kręgi wokół dowolnego punktu w tym rejonie.

– Przeczesać dżunglę – powiedziała M'chel. – Przyjmuję zrezygnowana. Bez odbioru.

Spojrzała na Dinsmore'a.

– Słyszałeś, co powiedział.

Pilot skinął głową i włączył napęd. Po chwili mieli pod sobą przemykający szybko dywan zieleni.

– Jesteśmy chyba blisko nawiedzonego miejsca, gdzie statki znikają – stwierdziła Riss. – Na mój znak. Cztery... dwa... już.

Spojrzała na ekrany, zerknęła nawet przez iluminator, nie dostrzegła jednak nic poza dolinką z niewielkim jeziorem

na dnie i wysokim urwiskiem powyżej.

– Zero z zera równa się zeru – powiedziała. – Dobra, Dins. Zacznijmy okrążyć ten punkt.

– Wiesz, że w razie czego będziemy dla nich wielkim, kuszącym celem? – zapytał retorycznie Dinsmore.

– Wiem, ale polegam na twoim refleksie. Mam nadzieję, że wyciągniesz nas z tego na pierwsze błysniecie czujników.

– Na pewno spróbuję – powiedział Dinsmore, kładąc patrolowiec na burcie i zmniejszając ciąg do minimum. – Zaczynamy kółka.

– Nic – mruknęła Riss, gdy ukończyli pierwsze. – Teraz szerzej. Tak, żeby przelecieć nad tym dziwnym urwiskiem.

Dinsmore skinął głową i przebiegł palcami po przełącznikach.

– I znowu nic... Uwaga! – rzuciła Riss. – Wynosimy się! Czujniki oszalały!

Dinsmore dał pełny ciąg i skierował patrolowiec ku niebu.

– Idą za nami – powiedziała M'chel. – Jeden siedzi nam prawie na ogonie. Zbliża się. Spróbuj zmylić go zwrotem...

Dinsmore gwałtownie zmienił kurs i M'chel ujrzała białą smugę przemykającą za iluminatorem. Moment później wstrząsnęła nimi bliska eksplozja i patrolowiec poleciał w bok.

– Dostaliśmy – Riss stwierdziła oczywistość i przeszła na nie kodowany kanał awaryjny. – Mayday, mayday – powiedziała, dumna z siebie odrobinę, że głos jej nie drży. – Nadaję ciągły sygnał, namierzcie to miejsce... dostaliśmy pociskiem pelot.

– Tracimy ciąg – odezwał się Dinsmore. – Mijamy sześć

tysięcy metrów...

Nagle zamilkły silniki. Zapadła dziwna cisza.

– Pora wysiadać – powiedział Dinsmore, odpinając pasy.
– Pokładowe antygrawy nie zneutralizują impetu przy takim upadku.

– Mayday, mayday – powtórzyła Riss. – Spadamy. Ustalcie współrzędne.

Komunikator zacharczał spazmatycznie i wszystkie kontrolki zgasły. Patrolowiec zaczął koziółkować.

Riss z całej siły chwyciła się jednej z podpór pokładowych. Dinsmore się nie utrzymał i uderzył bokiem w ścianę.

Sztuczna grawitacja wyłączyła się na chwilę i wróciła. Zgasło oświetlenie, jarzyło się tylko awaryjne.

– Już po nim – rzuciła Riss, dopinając uprząż bojową. Dowlokła się do pilota i pomogła mu się pozbierać.

Krzyknął z bólu, ale zaraz zacisnął zęby. M'chel przeciągnęła go do wewnętrznych drzwi śluzy.

– Tutaj – powiedziała. – Włazimy.

Przypięła mu spadak, gdy tracącym wysokość patrolowcem znowu zarzuciło.

– Jezu, ale to boli – wymknęło się Dinsmore'owi.

Riss nie odpowiedziała, zajęta własnym spadakiem.

Przeklęła się w duchu, że wcześniej nie dopasowała jego uprzęży.

Wepchnęła Dinsmore'a do śluzy i skoczyła za nim. Widząc dym sączący się z wnętrza statku, włączyła system wymiany powietrza. Jakimś cudem zadziałała.

Przylgnęła do framugi wjazdu, za którym na zmianę z zieloną dżunglą przemykało błękitne niebo. Wypchnęła pilota, potem odczekała, aż wjazd znów skieruje się ku

ziemi, i sama skoczyła.

Zupełnie jak w dawnych czasach, pomyślała, tyle że wtedy ślizgacz nie próbował mnie załatwić. Obracała się w lewo, wysunęła więc prawą nogę i prawą rękę, aby zdusić ten ruch. Potem rozpostarła szeroko ramiona i nogi, stabilizując lot.

Spojrzała w dół. Była jakieś dwa tysiące metrów nad drzewami, spadała z maksymalną szybkością.

Odszukała na uprząży sterownik spadaka i włączyła go na chwilę, trochę zwalniając. Potem powtórzyła manewr.

Rozejrzała się za pilotem. Dostrzegła go pięćset metrów wyżej. Musiał nastawić spadak na pełną moc, bo prawie że dryfował w powietrzu.

Nagle dobiegł ją ryk silnika i zobaczyła lecący w ich stronę samolot. Tylko jej mignął, ale rozpoznała w nim atmosferyczną maszynę wielozadaniową. Riss zaczęła machać rękami przekonana, że oto przybywa ratunek i już niebawem uraczy się mocnym, porządnie schłodzonym drinkiem.

Nagle przez hałas przebiło się miarowe staccato działek pokładowych. Pociski smugowe nakreśliły nad dżunglą łagodny łuk i niemal przecięły Dinsmore'a na pół. Lotnik nie zdążył nawet krzyknąć – kawałki jego ciała i krew poleciały na dywan zieleni.

– Sukinsyn! – rzuciła Riss i szybko wyłączyła swój spadak, byle dalej od kursu podniebnego mordercy.

Obróciwszy głowę, dostrzegła, że maszyna nurkuje w jej stronę. Drzewa były już bardzo blisko i M'chel wiedziała, że spada za szybko. Uruchomiła więc spadak na bardzo krótką chwilę. Samolot minął ją, błyskając ogniem z działek. W tej samej chwili pilot zrozumiał, że się

zagalopował. Zwiększył ciąg, dał antygrawy na pełną moc i zaczął wyciągać, ale było już za późno.

– Obyś trafił prosto do piekła – warknęła Riss, widząc czerwono-czarną kulę wykwitającą nad drzewami jakieś dwieście metrów dalej. Podmuch targnął nią w powietrzu. Nie miała jednak czasu, aby się tym przejmować. Tuż obok niej przemknęły ulistnione gałęzie i połknęła ją dżungla.

– Jedyńka, tu centrum. Macie cokolwiek?

– Centrum, tu jedyńka. Jesteśmy nad obszarem, z którego nadano mayday. Nic. Czekaście. Przekazuję dziesiątkę.

– Centrum, tu dziesiątka. Jestem nad wąską doliną. Widzę unoszący się stamtąd dym. Mam podlecieć bliżej?

– Dziesiątka, tu centrum. Tak, ale ostrożnie. Coś załatwiło tam naszych. Zmiana kanału.

– Centrum do jedyńki. Macie to na ekranach?

– Potwierdzam, mamy.

– Jedyńka, osłaniaj dziesiątkę podczas zejścia.

– Potwierdzam, osłaniam.

– Centrum, tu jedyńka. Dym na poziomie ziemi. Ktoś przywalił w glebę, i to mocno. Brak śladów życia.

– Dziesiątka, czekaj.

Baldur odwrócił się od ekranu.

– Mamy coś, Grok? – zapytał.

– Nie – odparł obcy. – Nadajnik Goodnighta nie działa albo coś tłumi sygnał. Brak sygnałów Riss i jej pilota z trójki na częstotliwości ratunkowej.

Baldur włączył mikrofon.

– Dziesiątka, tu centrum. Wciąż nic? – spytał.

– Nic.

– Jedyńka, tu centrum. Co u was?

– Nic, szefie – odparł Redon Spada.

Baldur pomyślał szybko.

– Do wszystkich – powiedział. – Wracajcie. Powtarzam, wracajcie do bazy. – Ponownie spojrzął na Groka. – Nie przerywaj nasłuchu na ratunkowej.

– Co o tym myślisz? – spytała King.

– Obawiam się, że straciliśmy Riss – odparł Baldur. – I może Goodnighta.

M'chel Riss stała na konarze w górnej warstwie lasu, jakieś pięćdziesiąt metrów nad ziemią. Zajęta opadaniem nie myślała o śmierci Dinsmore'a, teraz jednak nie mogła już przed tym uciec.

Trudno, powiedziała sobie. Żli chłopcy robią takie rzeczy. Dlatego właśnie są złymi chłopcami.

Uśmiechnęła się krzywo. Dobrzy chłopcy czasem też potrafią narozrabiać. Chociaż zwykle się tym nie chwalą. W każdym razie Riss nie słyszała, żeby się chwalili.

Ale nic. Nic jej z takich refleksji nie przyjdzie. Zarzuciła spadak na ramię i otworzyła jedną z toreb przy uprząży. Wyjęła puszkę z nicią wspinaczkową i przyczepiła ją do pasa. Potem uwolniła lekko kulisty zaczątek nici i przykleiła go do gałęzi. Powoli zaczęła schodzić i była wdzięczna losowi, że nie musi używać podwójnej liny.

Dziesięć metrów nad ziemią zatrzymała się i odczekała kilka minut. Słyszała szmery drobnych zwierząt i owadów, ale nie dostrzegła niczego większego, co mogłoby mieć na nią apetyt.

Stanęła na dole, oparła się o drzewo i rozejrzała wkoło.

Było tu mrocznie, ale nawet ładnie. Gęste korony drzew nie pozwalały się bujnie rozwijać roślinom na niższych piętrach lasu i gdyby jeszcze ktoś poustawiał ławeczki i zielone strzałki, całość przypominałaby ogród botaniczny.

Tyle że całkiem nieziemski. Zieleń miała dziwny odcień i często przechodziła w rdzawą czerwień. Grunt zaścielała gruba, miękka warstwa niezliczonych pokoleń przegniłych liści.

Jakieś małe stworzenie spojrzało na Riss z niskiej gałęzi. Gdyby nie było czerwone i nie miało sześciu zakończonych potężnymi pazurami kończyn, mogłoby uchodzić za wiewiórkę.

Ruszyła się i zwierzak uciekł w te pędy.

M'chel postanowiła sprawdzić w końcu, co znajduje się w jej pakiecie ratunkowym. Dotąd nigdy się nim nie interesowała, ale przecież po coś go nosiła.

Wtedy usłyszała nad głową huk przelatującej maszyny i poznała charakterystyczny odgłos pracy zespołu napędowego patrolowca typu *Pyrrhus*. Po chwili dołączył drugi.

Swoi.

Nieco drżącą dłonią wyciągnęła nadajnik alarmowy. Spróbowała go włączyć i dopiero później zauważyła pęknięcie, przez które widać było obwody. Mimo to spróbowała i wzmocniła maksymalnie sygnał. Bez rezultatu.

Jako wieczna optymistka dotknęła jeszcze kontrolki nadawania, – Do jednostek nade mną! – zawołała. – Do jednostek nade mną, mówi zestrzelony! Uprzedzam, wróg w okolicy! Powtarzam, w okolicy wróg!

Nie przedstawiła się na wypadek, gdyby źli chłopcy prowadzili nasłuch na częstotliwości ratunkowej i mieli ochotę przygotować jakąś pułapkę.

Nie doczekała się odzewu.

Może tylko odbiornik jest uszkodzony, pocieszyła się w duchu.

Powtórzyła wiadomość. Słyszała, jak patrolowce przeciągnęły kilka razy w tę i z powrotem, aż w końcu się wzniosły i huk ich silników zginął w oddali.

Cóż, czeka mnie chyba długi spacer w tych pięknych okolicznościach przyrody, pomyślała. Przyszło jej na myśl, żeby zostawić nadajnik na miejscu lądowania. A nuż jednak wysyła jakieś sygnały, po których przeciwnik mógłby ją znaleźć, i lepiej będzie cisnąć go w zarośla...

Zreflektowała się jednak. Na odludziu nie należy się pozbywać tego, co wyniosło się z katastrofy. Nawet gdy chodzi o rzeczy pozornie nieprzydatne.

Odszukała w jednej z toreb odbiornik GPS. Działał, ale ekran nie pokazywał ani jej położenia, ani mapy. Pięknie, pomyślała. Te kmiotki nie mają nawet satelitów pozycjonujących. A na polowania pewnie chodzą z dzidami.

Usiadła i wyciągnęła najzwyczajniejszy kompas. On szczęśliwie działał, chociaż trudno było ustalić, czy pokazuje dokładnie to, co powinien. Potem poczęstowała się cukierkami z racji i zaczęła sobie przypominać ukształtowanie okolicy.

Przylecieli z zachodu. Po drodze widziała jakąś rzekę, chyba dość szeroką, aby można nią było spłynąć na tratwie. Gdzieś bardziej na południe powinno być miasto, które mignęło jej z boku, gdy tu lecieli.

Szykowała się długa wędrówka. Tydzień, może dwa tygodnie marszu. Albo jeszcze więcej.

I co z tego? Przywykła do wędrówek.

Wstała, wzięła spadak i ruszyła przed siebie. Nawet najdłuższa droga zaczyna się zawsze od jednego kroku. Tysiące mil... Stop. Może znajdziesz sobie inny, weselszy temat? – przywołała się do porządku.

Starła się nie myśleć o wrogich obcych, których odmalowała im z grubsza King. Kto wie, czy nie czają się

już w krzaskach?

Chwilowo miała dość kłopotów i nie potrzebowała nowych.

O zmroku zaczęła szukać miejsca na obozowisko. Wypatrzyła drzewo, którego konary rozwidlały się piętnaście metrów nad ziemią. Raczej niedostępne dla większych zwierząt. W pobliżu trafiła na strumyk, w którym ochlapała się, nie zdejmując ubrania.

Na bezzapachowej i bezdymnej tabliczce grzewczej przygotowała sobie kolację.

Jednym z jej najgłębiej skrywanych sekretów było uwielbienie dla standardowych racji żywnościowych. Po prostu jej smakowały. Nie przyznawała się do tego w wojsku, żeby nie uznano jej za wariatkę. Lubiła proste żarcie, poza tym nie znosiła gotować. Już w młodości przekonała się, że nie ma w tym kierunku żadnych talentów.

Jej wybór padł na tajemnicze mięso w sosie z czerwonego pieprzu, liofilizowane warzywa, których gorzki smak i dziwna konsystencja sugerowały, że powinna nabrać sił, ledwie je powącha, oraz liofilizowane owoce, choć ich najlepsze dni dawno już minęły. Pobudzającą herbatę zostawiła sobie na rano, bo zamierzała pospać. Potem wyszorowała zęby solą, którą dołączono do racji, i wspięła się na płaski konar.

Owinąwszy się wodoodporną peleryną, spróbowała pomyśleć o czymś miłym i pogodnym. Na wszelki wypadek z blasterem pod ręką.

Zasnęła łatwiej, niż oczekiwała. Chyba nie była akurat w szczytowej formie.

W pewnej chwili ocknęła się, usłyszawszy coś wężącego u podstawy drzewa. Wyobraźnia podsunęła jej obraz wielkiej, groźnej bestii, choć równie dobrze mogłaby to być szczęconoga wiewiórka z bardzo wydatnym organem powonienia.

Riss zastanowiła się nad posłaniem w dół paru strzałów, uznała jednak, że lepiej nie ryzykować. W końcu mogła to być naprawdę wielka bestia, którą takie potraktowanie by rozdrażniło. Poza tym strzały byłoby słyszeć z bardzo daleka.

Po jakimś czasie stworzenie poszło sobie i Riss znowu zasnęła. Gdy obudziła się tuż przed świtem, nie potrafiła powiedzieć, czy coś jej się śniło. Czuła tylko, że coś zagraża jej w ciemności.

Odczekała dłuższą chwilę z bronią w garści, ale wokół panowała cisza.

W końcu zlazła z drzewa, znów się umyła, zjadła jajecznicę w proszku, krakersy i batonik proteinowy z jakiegoś powodu doprawiony cynamonem, raz jeszcze wyszorowała solą zęby i ruszyła na zachód.

Koło południa usłyszała krzyki. Były całkiem bliskie i świadczyły o wielkim bólu. Riss pomyślała, że nie wychodzą z ludzkiego gardła, pamiętała jednak z lat służby, że nie ma takiego dźwięku, którego nie wydałby bardzo cierpiący człowiek.

Ktoś rozsądniejszy uciekłby w przeciwną stronę albo chociaż przyspieszył kroku, żeby nie przydawać sobie kłopotów. Riss jednak wyciągnęła broń, odbezpieczyła ją i zaczęła się skradać ku źródłu dźwięków.

Po chwili poczuła woń dymu i niebawem dotarła na skraj

niewielkiej polany. Płonęło na niej ognisko, wokół którego siedziało czterech mężczyzn w mundurach. Wszyscy byli porządnie uzbrojeni.

Obok ognia leżało jakieś związane stworzenie. Było szare, wysokie na trochę więcej niż metr i nosiło jedynie przepaskę. Miało płaską czaszkę, wysuniętą żuchwę i wydatne wały nadoczodołowe. Grube włosy zakrywały niskie czoło i kark.

Niedaleko tej istoty Riss dostrzegła niewyobrażalnie archaiczną broń palną podobną do czegoś, co widziała kiedyś w muzeum. Eksponat ów strzelał kamiennymi kulami wyrzucanymi przez słaby materiał wybuchowy upychany w lufie. Obok wynalazku, który miała teraz przed oczami, leżała dzida z grotem wykonanym najpewniej z kamienia.

Na skraju polany spoczywały jeszcze dwa ciała. Jedno należało chyba do osobnika dorosłego, drugie bez wątpienia do dziecka. To mniejsze miało nienaturalnie wykręcony kark.

Jeden z mężczyzn trzymał w ogniu żelazny pręt. Obcy jęczał cicho i Riss dostrzegła na jego nodze trzy ślady po oparzeniach.

Mężczyzna wziął pręt przez rękawicę i pochylił się nad obcym. Roześmiał się, gdy ofiara krzyknęła ze strachu.

Riss przyklękła, uniosła blaster i strzeliła oprawcy w tył głowy. Zadrżał, gdy wkoło rozleciały się strzępy mózgu, i padł na obcego.

Pozostali trzej obrócili się gwałtownie i dostrzegli Riss.

– Zabawa skończona, chłopcy – powiedziała radośnie M'chel.

Jeden z mężczyzn sięgnął do pasa, ale strzeliła mu dwa

razy w pierś. Zaraz potem skierowała broń w prawo i następnego pozbawiła twarzy. Trzeci dostał trzy ładunki w okolice żołądka.

Riss poczekała, aż przebrzmia echa strzałów, i wyszła na polanę. Kopniakiem zrzuciła trupa z obcego, który patrzył na nią szeroko otwartymi oczami.

Sięgnęła do pasa po nóż i przecięła mu więzy. W ogóle się nie poruszył, odstąpiła więc o krok.

Wciąż siedział nieruchomo, jakby obawiał się, że to jakiś podstęp.

– Dalej, matołku – rzuciła Riss. – Te dupki na pewno mają kumpli.

Nic.

Jęknęła w duchu, pochyliła się i podała obcemu jego broń. Przyjął ją z wahaniem.

M'chel wydało się, że przemknęło mu przez myśl, czyby jej nie zastrzelić. Zebrawszy całą siłę woli, odwróciła się do niego plecami i zaczęła zbierać rozrzucony po polanie sprzęt.

Doliczyła się czterech ciężkich blasterów i tyłuż pistoletów z zapasem amunicji wystarczającym dla małej armii, szesnastu granatów i lekkiego działka bezodrzutowego do niszczenia umocnień.

Rozglądała się właśnie za porządnym kamieniem, o który mogłaby roztrzaskać cały ten arsenał, gdy obcy dotknął jej ramienia.

Spojrzała na niego.

W górnych kończynach o całkiem ostrych pazurach trzymał pistolet. Wymownie przytulił go do piersi. Potem położył broń i spojrzał na Riss.

– Kretynka ze mnie – mruknęła M'chel. – Jasne.

Dała mu pistolet i wszystko, co tylko znalazła.

Stworzenie dźwignęło ciężki blaster i zaćwierkało, naśladowując odgłos oddanej z niego serii, celując w zwłoki jednego z mężczyzn.

– Tak – powiedziała Riss. – Jeśli zechcesz, zabijesz z tego więcej takich drani.

Obcy pokuśtykał do jednego z mniejszych ciał, które należało chyba do samicy jego gatunku.

Odezwał się ponownie, tym razem powoli. Riss wydawało się, że z nutą smutku.

– Dobrze, pomogę – powiedziała.

Zarzuciwszy sobie dziecięce ciało na jedno ramię, drugie obciążyla blasterami i poszła za obcym.

Bardzo żałowała, że nie wzięła wizytówek Star Risk. Chętnie przypięłaby je do trupów w mundurach, choć wiedziała, że kumple zabitych i tak będą dość wściekli, gdy w końcu trafią na tę polanę.

Szli dość długo, żeby Riss miała czas zastanowić się nad sytuacją. Obcy musiał być przedstawicielem tej prymitywnej i okrutnej rasy, o której wspominała King. Tej samej, która wykurzyła mieszkańców Glace z bazy wojskowej przejętej obecnie przez Murgatroyda i jego ludzi.

Po namyśle uznała, że trudno nazwać ich obcymi, skoro są u siebie. Postanowiła nazywać małych ludków trollami.

Niebo zaciągnęło się chmurami i zaczęło padać. Riss brnęła dalej w nadziei, że i trolle mają jakieś przytulne, ciepłe i suche schronienia przed deszczem.

W pewnej chwili obcy skręcił ze ścieżki i przedarł się

przez zarośla. Zaraz potem Riss dostrzegła pierwszego strażnika, który mierzył do niej z łuku.

„Jej” troll skrzeknął kilka razy. Ten drugi potrząsnął głową, ale nie strzelił.

Zaraz pojawił się kolejny strażnik z równie prymitywnym uzbrojeniem. Potem następny i jeszcze tuzin innych. Wszyscy ćwierkali niczym stado wróbli, ale Riss nie wydawało się, aby to było przyjazne powitanie.

Doliczyła się blisko czterdziestu osobników różnego wzrostu. Wszyscy byli podobnie ubrani i trudno było określić ich płeć.

Jeden z nich podszedł do Riss i wskazał na jej ramię. Gdy na niego spojrzała, wyszczerzył zęby w czymś, co mogło przypominać uśmiech, udał, że odrywa palcami kawałek jej ciała i wkłada sobie do ust.

Mogłam iść swoją drogą, pomyślała Riss, a wprosiłam się na niedzielny obiad... w roli głównego dania.

Obóz był prymitywny i nie różnił się wiele od tych, które widziała dotąd w naturze albo na wykładach z antropologii. Znajdował się na osłoniętej drzewami i otoczonej głazami polanie. Pod głazami kryły się niewielkie pieczary, a duża kamienna płyta osłaniała główne ognisko.

Prymitywne, ale skuteczne, pomyślała Riss. Skały osłaniają przed czujnikami podczerwieni, a pieczary przed deszczem i chłodem, drzewa maskują całość z powietrza.

Widowała gorsze maskowanie i po prawdzie sama nie była w tej sztuce zbyt biegła.

Troll Riss wskazał jej kamień, jakby chciał, żeby na nim usiadła. Ostrożnie, bardzo starając się okazać szacunek, położyła ciało dziecka na ziemi. Trochę dalej zrzuciła blastery.

Z jakiegoś powodu trolle dopiero teraz zwróciły uwagę na broń i podniosły rejwach jak na ptasim sejmiku przed odlotem za morze.

Riss spróbowała ich sobie zjednać, wskazała więc na blastery, a potem na nich i uśmiechnęła się.

Zapadła cisza.

Jej troll podszedł bliżej i wyciągnął rękę. Chciał jej własnego blastera.

Niechętnie podała mu broń. Jeśli nie zadziała, jego będę musiała zabić pierwszego, pomyślała.

Z pieczary wyszły dwa trolle z dwoma porządnymi kijami. Uderzyli jednym o drugi i cisza jeszcze się pogłębiła.

Jeden z nowych wskazał na trolla M'chel, która uznała, że skoro odróżnia już tego osobnika, dobrze byłoby nadać mu jakieś imię. Nie pamiętała jednak, jak wołano na trolle z bajek jej dzieciństwa.

Wskazała nań i uniosła brwi w nadziei, że jako humanoid zorientuje się, że oznacza to pytanie.

Coś musiał pojąć, bo wskazał na swoją pierś. Riss kiwnęła głową. Troll wyszczebiotął dwa przenikliwe dźwięki. Być może pytał: „Kto, ja?” albo stwierdzał: „To moja klata”.

Riss uznała, że tym sposobem niewiele się dowie, i nazwała go w myślach Dwumianem.

On tymczasem odwrócił się od niej i zaświergotał coś do trolli z lagami, wskazując przy tym na ciała. Zgromadzeni wokół pobratymcy Dwumiana jęknęli z żalu.

On zaś najpierw odegrał pantomimę marszu, potem cztery razy uniósł wysoko górną kończynę, co zapewne znaczyło, że napotkał czterech dużych ludzi, a następnie

opowiedział, że ci czterej pojмали go i zabili jego partnerkę oraz dziecko. Tak przynajmniej przetłumaczyła to sobie Riss. Zdawała sobie sprawę, że czyni mnóstwo apriorycznych założeń, niemniej... to były jej trolle i jej odkrycie.

Opowieść płynęła dalej. Słuchacze jęknęli ponownie, gdy Dwumian opowiedział im o torturach, po czym spojrzeli na niego z niedowierzaniem, gdy wytłumaczył im, że Riss przyszła mu na ratunek. W tłumie rozległy się szmery, świadczące chyba o sympatii.

Dwumian zakończył, celując z blastera zapewne w tym samym kierunku co wcześniej, przy ognisku. Czyżby tam właśnie znajdowała się baza Murgatroyda?

Dwaj z kijami, którzy wyglądali na wodzów, odeszli na bok, żeby się naradzić. Dyskutowali blisko godzinę, aż w końcu zrobiło się ciemno.

Riss ziewała. Wiedziała, że waży się właśnie jej los, była jednak bardzo zmęczona.

Wreszcie wrócili i skrzeknęli coś do Dwumiana. Ten pokręcił głową, po czym odwrócił się i uniósł jej blaster. Podszedł do niej, trzymając go za rękojeść.

M'chel zebrała się w sobie. Jeśli będzie trzeba, załatwi najpierw jego, potem tych dwóch z kijami. Gdy padną, rzuci się do ucieczki w nadziei, że zaskoczona reszta nie zareaguje dość szybko.

Dwumian jednak odwrócił blaster, chwycił go za lufę i podał M'chel. Potem wskazał w stronę, z której przyszli.

Riss wstała i schowała broń, po czym ukłoniła się wodzom oraz Dwumianowi i odwróciła się, żeby odejść.

Zatrzymała się po kilku krokach. Sama nie wiedziała, co myśleć. Przecież marine się nie wycofuje. Były marine też

nie. Zawsze do przodu, to jego hasło. Co najwyżej zmieni trochę kierunek. A te maluchy znały teren i świetnie wiedziały, gdzie źli chłopcy trzymają konfitury. Odwróciła się.

– Chłopaki – powiedziała powoli, chociaż wiedziała, że trolle jej nie rozumieją. – Może przyjmiecie doradcę? Pokażę wam, jak walczyć z tymi draniami. Więcej, pokażę wam, jak odpłacić im za całe zło, którego zaznaliście od ludzi.

Major M'chel Riss uśmiechnęła się z mściwą satysfakcją.

– Siadajcie, Atherton – powiedziała kobieta, nawet się nie przedstawiwszy.

Goodnight zrozumiał, co Navarro miał na myśli, gdy mówił, że bez trudu można rozpoznać wszystkich tutejszych szefów.

Miała na sobie dobrze skrojony klasyczny kostium, jasne włosy nosiła spięte z tyłu głowy. Goodnight oceniał ją na pięćdziesiąt kilka lat.

Roztaczała dokoła atmosferę władzy i stalowej samokontroli.

Goodnight zastanowił się, w jaki to konflikt z prawem mogła wejść, skoro siedzi tutaj, a nie tam, gdzie powinna, czyli za biurkiem jakiegoś ważnego ministerialnego urzędu Sojuszu.

Przeszło mu przez głowę, że może to podwójna agentka, ale szybko odrzucił ten pomysł. Owszem, Sojusz zdobywał się niekiedy na jeszcze bardziej niezwykle działania, jednak robił to w zupełnie innym stylu. I z całkiem inną organizacją.

– Jesteś besterem – powiedziała.

– Tak.

– Nie mamy was wielu – stwierdziła. – Sojusz rzadko się pozbywa takich kosztownych żołnierzy.

Goodnight wzruszył ramionami.

– W moim wypadku Sojusz nie miał wiele do powiedzenia. Za dużo się popieprzyło, i to z ich winy. Rozumiem, że trzeba płacić za własną głupotę, ale nie dam się zabić tym, dla których kiedyś pracowałem.

– Szczególne poczucie lojalności.

– Raczej instynkt samozachowawczy – poprawił ją Goodnight.

Kobieta uśmiechnęła się lodowato i spojrzała w ukrytą kamerę.

– Gdy pierwszy raz namierzyliśmy cię na Puchercie, byliśmy przekonani, że wciąż pracujesz dla Sojuszu. Wyprowadziłeś nas z błędu. Celowo?

– Tak – przyznał Goodnight.

– Widzę, że besterzy to nie tylko zmodyfikowane mięśnie. Bardzo dobrze. Mogę ci powiedzieć, że mieliśmy wobec ciebie konkretne plany – od czasu, gdy się przekonaliśmy, że nie jesteś podstawiony. Po krótkim okresie testów miałeś zostać dowódcą jednego z naszych zespołów w pasie asteroid. Niestety, nasza sytuacja tutaj, na Glace, trochę się skomplikowała. Gdy transportowiec, którym leciałeś, podchodził do bazy, namierzył go patrolowiec prywatnej firmy ochroniarskiej pracującej dla naszych przeciwników. Zniszczyliśmy go, ale wygląda na to, że załódze udało się przeżyć.

Goodnight uniósł rękę.

– Nie rozumiem – odezwał się. – Jaka prywatna firma? I skąd wiecie, czy za wykryciem naszego statku nie stoi flota Glace lub układu Foley?

– Transkootenay Mining postawiło na oszczędności i wynajęło do ochrony swoich interesów niewielką niezależną firmę. Głupio z jego strony, dla nas korzyść. A skąd wiemy...? Tego ci nie powiem, ale mamy sto procent pewności, że patrolowiec, który pojawił się nad bazą, nie należał do floty kosmicznej układu Foley.

Goodnight zakarbował sobie, żeby to później

przemyśleć.

– Świetnie – stwierdził. – I co dalej?

– Ocalała załoga zdołała nam umknąć i najwyraźniej skumała się z podludźmi zamieszkującymi okoliczną dżunglę. Nazywamy ich szarymi. Następnego dnia po zestrzeleniu patrolowca straciliśmy czteroosobowy patrol. Wkrótce potem zginęło sześciu wartowników pełniących służbę na zewnątrz bazy. Zostali zabici i odarci ze wszystkiego. Szarzy zawsze byli naszymi wrogami. Atakowali nasze patrole i nawet posterunki, kiedy tylko mogli. Zawsze jednak były to nagłe napaści na pojedynczych ludzi, czasem tylko dwuosobowe zespoły. Używali przy tym wyłącznie własnego, prymitywnego uzbrojenia. Tę dziesiątkę fachowo osaczono i zamordowano nowoczesną bronią. Głównie naszą, zabraną poległym. Wychodzi na to, że ocalałym udało się przekonać szarych do siebie i nauczyli ich walczyć na swoją modłę. Nie możemy pozwolić na coś takiego pod bokiem, zwłaszcza teraz, gdy jesteśmy już prawie gotowi zadać Transkootenay ostateczny cios i wyrzucić ich z układu, żeby zrealizować nasze główne cele.

Goodnight miał wielką ochotę spytać, jakie to cele, wolał się jednak powstrzymać. Nie zmieniając wyrazu twarzy, słuchał z zaciekawiony.

– W najbliższej okolicy jest nie więcej niż pięć czy sześć osiedli szarych – ciągnęła kobieta. – Trudno powiedzieć dokładnie, bo dobrze się maskują. Tak czy owak, musimy się ich pozbyć. Zbieramy właśnie zespół łowiecki, którego zadaniem będzie eksterminacja szarych. Ty go poprowadzisz. Masz doświadczenie w walce w dżungli. Dostaniesz do pomocy kogoś, kto także ganiał po lesie,

oraz dziesięciu innych ludzi, którym taki teren nie jest całkiem obcy. Pierwszym waszym zadaniem będzie znalezienie tych rozbitków, zapewne trzech albo czterech, i zabicie ich.

– A co z szarymi? – zapytał.

– To samo, zwłaszcza jeśli staną wam na drodze. Nie będziemy przecież brać jeńców. Gdy stracą wsparcie, wrócą do swoich spraw i przestaną nam naprawdę przeszkadzać. To wszystko. Navarro wyposaży was we wszystko co potrzebne. – Kobieta wstała.

Goodnight nie ruszył się z krzesła.

– Macie jakiś problem, Atherton? – zapytała jego nowa szefowa.

– Cóż – odparł z namysłem Goodnight. – Kontrakt, który podpisałem, był nieco ogólnikowy, ale to zadanie wygląda mi na niebezpieczniejsze, niż wynikałoby z umowy. I raczej mało interesujące. Chyba powinniśmy renegotjować niektóre punkty kontraktu.

Kobieta spojrzała na niego ze złością, ale zaraz się uśmiechnęła. Lodowato, jak wcześniej.

– Da się załatwić – powiedziała. – Gdybym miała jeszcze jakieś wątpliwości, czy jest pan prawdziwym najemnikiem, w tej chwili bym się ich pozbyła.

Człowiek, który ganiał po lesie, przedstawił się jako Siegfried. Raczej nie było to jego prawdziwe imię, zdawał się jednak wiedzieć, o czym mówi.

Pozostali – a było ich dziesięciu – robili gorsze wrażenie. Mieli doświadczenie wojskowe, jednak niewielu naprawdę wachało proch przy innych okazjach niż jednodniowe, w gruncie rzeczy policyjne akcje wyłapywania dysydentów.

– A czego oczekiwałeś? – spytał Siegfried. – Czasy pokoju nie należą do najłatwiejszych. Jedna mała wojenka i zaraz przybyłoby prawdziwych żołnierzy.

– Tyle że ubyłoby roboty i wzrosłaby konkurencja – zwrócił mu uwagę Goodnight.

– Też prawda. Lepiej niech zostanie jak jest.

Co do wyposażenia, magazyny nie obfitowały w broń wojsk lądowych, nie brakowało w nich jednak sprzętu do walki w próżni.

Goodnight przejrzał zapasy, dał po łapach tym ze swojej jedenastki, którzy chcieli zgarnąć wszystko, co mogłoby się przydać albo ułatwić życie, i uznał, że pora na prawdziwe szkolenie.

Siadł nad mapą i niedaleko bazy znalazł w miarę bezpieczny teren. Nie chciał stracić wszystkich przy pierwszej okazji – w końcu był ich dowódcą.

Zastanawiał się, jak to rozegrać. Oczywiście nie zamierzał zabijać rozbitków, kimkolwiek byli. Z drugiej strony wiedział, że wymogi konspiracji mogą go do tego zmusić. Nie wiedział też, czy zdoła ponownie włączyć swój nadajnik, aby ekipa ewakuacyjna Star Risk odnalazła go, nim zrobi się paskudnie. Nie wiedział też, czy może go uruchomić, nie ryzykując, że zostanie wykryty i zdemaskowany.

Musiał wszystko bardzo starannie przygotować.

Na razie zabrał się z Siegfriedem do edukowania swoich podopiecznych. Wbijał im do zakutych łbów podstawowe zasady przeżycia w dżungli, pokazywał, jak unikać naturalnych pułapek i zastawiać własne – uczył ich jeszcze wielu innych rzeczy, chociaż wiedział, że wszystko to zapomną, gdy tylko coś huknie im nad uchem. Miał jednak

nadzieję, że w mniej dramatycznych okolicznościach skorzystają z jego nauk.

W końcu ruszyli się z bazy. Navarro zapewnił ich, że będzie monitorował ich położenie i w razie potrzeby natychmiast przybędzie na ratunek.

Goodnight zrozumiał, że w tej sytuacji nie powinien nawet tykać własnego nadajnika.

Jego ofermi za nic nie mogły odnaleźć się w dżungli. Ciągłe wpadały na siebie, narzekały głośno za każdym razem, gdy się potknęły, co rusz pchały się na otwarty teren oraz ścieżki i przecinki. Na dodatek, mimo nieustannych napomnień Goodnighta i Siegfrieda, gnały przed siebie, nie oglądając się na nic.

Minęło półtora dnia tej mordęgi i nikogo w tym czasie nie napotkali, aż prowadząca, dla której las był kompletnie obcym i wrogim środowiskiem, zatrzymała się nagle i uniosła dłoń. Minęła dłuższa chwila, nim wszyscy to dostrzegli i padli na ziemię. Maszerowali akurat w stronę grzbietu wzgórza, na którym Goodnight chciał ustawić kilka niuchaczy, żeby wywęszyły szarych i wskazały im wreszcie jakiś cel.

Stojąca nieruchomo kobieta położyła dłonie na ramionach, co oznaczało, że wzywa oficera.

Zamykający kolumnę Goodnight uznał, że to o niego chodzi, i podszedł do niej.

Wyraźnie zdumiona wskazała coś przed sobą.

Goodnight wygrzebał z torby lornetkę, włączył zasilanie i podniósł ją do oczu. Zaraz ich dostrzegł, zebranych wokół niskiego pagórka. Pięć... nie, sześć krępych, ciemnych postaci żywcem przeniesionych z epoki kamienia ledwie nadłupanego. Tyle że trzy były uzbrojone w nowoczesne

blastery.

Pośrodku zaś zauważył kogoś w postrzępionym kombinezonie pokładowym. Bez dwóch zdań był to człowiek. Miał krótkie jasne włosy. Stał tyłem do Goodnighta, ale w końcu się odwrócił. Okazało się, że to kobieta.

Goodnight powiększył obraz i natychmiast ją rozpoznał. To była M'chel Riss. Ledwie zdusił jęk.

Niech to cholera, pomyślał. Czy ona nigdy nie da mi spokoju?

L. C. Doe pojawiła się na pokładzie z czujnym wyrazem twarzy i walizeczką w dłoni.

Otoczony przez patrolowce *Boop* stał na jednym z głównych lądowisk Glace.

King siedziała przy komputerze i wpatrywała się ponuro w ekran.

– Układasz listę płac? – zapytała Doe.

Jasmine, która skończyła właśnie rekonstruować przebieg zestrzelenia M'chel Riss i Dinsmore'a, zmusiła się do uśmiechu.

– Prawie – powiedziała. – Co cię do nas sprowadza?

– To co zwykle. Światła wielkiego miasta. Staram się zmusić tę bandę idiotów, którą nazywają tu rządem, żeby zrobiła coś dla moich górników. Poza tym szukam M'chel. Jest w okolicy?

– Niestety, wyjechała – odparła King. – Nie wróci zbyt szybko. Mogę ci w czymś pomóc?

Doe rozejrzała się po kabinie, ale nigdzie nie dostrzegła wielkiego różowego ucha wyrastającego z grodzi.

– Mam pewien pomysł – mruknęła konspiracyjnie.

– To siadaj. Dam ci drinka i powiesz, o co chodzi – rzekła Jasmine i podeszła do barku. Wróciła z dwoma szklankami, karafką i pękatem kieliszkiem.

Doe usiadła, ostrożnie postawiła pod ręką walizeczkę z próbkami i nalała sobie pół kieliszka trunku. Powąchała i uniosła brwi.

– To prawdziwa wegańska brandy! – stwierdziła mile zaskoczona.

– U nas dostaniesz wszystko co najlepsze. Zwłaszcza gdy płaci za to klient.

– Słuszne podejście.

Doe wyjęła z walizeczki wydruk i dwie próbki o nieregularnych kształtach.

– Pochodzą z działki świętej pamięci Dmitriego Herndona – powiedziała. – Zginął, zanim się tu zjawiliście.

King zmarszczyła czoło, ale zaraz sobie przypomniała.

– Zamordowany jako szósta czy siódma ofiara... Niemal na pewno z ręki rajderów.

– Cholera – mruknęła Doe. – Ty naprawdę wiesz wszystko. Riss miała rację.

Podsunęła jedną z próbek Jasmine.

– To diament – wyjaśniła. – Tylko z lekka oczyszczony. Z zapisków Herndona wynika, że znalazł ślady złoża. Rajderzy je przeoczyli, lecz jego zdaniem powinien tam być cały komin diamentowy. Taki komin to...

– ... naturalna formacja powulkaniczna – dopowiedziała Jasmine. – Typowe miejsce występowania diamentów. Zwykle na dużej głębokości. Skoro te asteroidy to szczątki planety, takie kominy mogą być na nich dość powszechne.

– Popisujesz się? – spytała Doe.

– Trochę – odparła z uśmiechem King.

– Wierzę ci, że jesteś świetnie i wszechstronnie poinformowana, ale wracajmy do rzeczy. Wciąż się zastanawiamy, czego właściwie chcą ci piraci. A może nie tylko Herndon znalazł złoża diamentów i może ci dranie się o tym dowiedzieli? Czy to nie dość, aby spowodować takie zamieszanie, o morderstwach nie wspominając?

King, zastanowiwszy się, smętnie pokręciła głową.

– Doceniam twoje starania, L. C, ale nie wydaje mi się –

orzekła. – To zbyt kosztowna operacja. Ci, którzy ją zorganizowali, muszą mieć znacznie więcej pieniędzy, niż warte są wszystkie diamenty w tym układzie. Nie widzę sensu, aby mieli się na nie połaszczyć. Nawet gdyby chodziło o coś większego niż Wspomnienie Kimberly, najokazalszy znaleziony dotąd diament, wykopany na Dietrichu VII. Poza tym z diamentami jest jak ze złotem. Ci, którzy kontrolują rynek, nie pozwalają, żeby ich cena spadła przez nadmierną podaż. Wątpię, aby ktokolwiek, zwłaszcza kryminaliści, mógł to przeoczyć.

– Cholera – mruknęła L. C. – Miałam nadzieję, że znalazłam proste rozwiązanie.

– Wszyscy go szukamy – powiedziała King. – O ile się orientuję, dopiero nieskrępowany dostęp do wszystkich kopalni pasa mógłby się okazać opłacalny dla rajderów. Może więc pracują dla innej kompanii, która chce wyrzucić stąd Transkootenay. Nic mniejszego nie wchodzi w grę, jak sądzę.

– Do diabła z tym – zdecydowała Doe. – Skoro nie zostanę geniuszem, nacieszę się chociaż wielkim miastem. Chyba się upiję. Pójdiesz ze mną?

King spojrzała na zegar.

– Jasne – powiedziała. – Poczekaj tylko dziesięć minut, a obudzę Groka, żeby objął wachtę.

Jeden z trolli podbiegł do M'chel, zaszczębiotał coś cicho i wskazał na południe. Inny zwiadowca potwierdził na migi, że patrol odszedł właśnie w tamtym kierunku.

Riss pozwoliła, aby patrol ją zauważył. Chciała go wyciągnąć na otwarty teren. I udało się.

Odczekała cztery nerwowe minuty i puściła się biegiem, oczekując, że za chwilę usłyszy wycie nadlatujących pocisków albo głucho stęknięcia mózdzierza. Nic jednak się nie wydarzyło i mogła odetchnąć.

Jej sześciu akolitów miało to wszystko za dobrą zabawę, zwłaszcza że nadarzyła się okazja postrzelania do wrogów. Może i tym razem uda im się kogoś zabić.

– Ilu? – spytała Riss, po czym westchnęła, przyklękła i zebrała garść patyków. Wskazała na południe i troll pokiwał głową, co Riss uznała za potwierdzenie. Potem położyła na ziemi jeden patyk. Troll przytaknął niemo. Drugi patyk. Znowu tak. W ten sposób doszła do ośmiu, a zwiadowca za każdym razem reagował coraz bardziej entuzjastycznie.

Dołożyła jeszcze jeden, uszczęśliwiając trolla, i kolejny. Tym razem jednak nie było żadnej reakcji. Patrol liczył dziewięć osób. Może dziewięć, może więcej, pomyślała, trolle bowiem potrafiły liczyć, ale tylko do ośmiu, bo tyle miały palców u rąk. Gdy czegoś było więcej, mówiły „wiele”, jak pierwszy zwiadowca, gdy opuszczali wioskę.

Riss wskazała na swoje barki i nakreśliła w powietrzu kształt radiostacji plecakowej. Troll ponownie pokiwał głową. Zapewne chodziło więc o drużynę.

Z wolna uczyła się radzić sobie w tej sytuacji. Najpierw poświęciła tydzień na naukę języka trolli, aż zrozumiała, że nigdy się go nie nauczy. Przypomniała sobie, co jej instruktor mówił kiedyś na temat społeczeństw plemiennych. Wbrew powszechnemu przekonaniu ich języki wcale nie były prymitywne. Ludy żyjące z myślistwa miały mnóstwo określeń na zwierzynę łowną, opisujących jej smak czy stopień jadalności. Z drugiej strony wymogi rzeczywistości, której język był odbiciem, sprawiały czasem dziwne niespodzianki. Chociażby dotyczące opisu podróży. Jeden dzień wędrówki był zwykle w takiej społeczności czymś normalnym. Dwa dni także czasem zdarzało im się przewędrować. Ale trzy? Kto by wędrował gdziekolwiek trzy dni? Tak więc powiedzenie, że „droga zajmie trzy dni”, mogło znaczyć naprawdę „może twoje dzieci tam dotrą” albo „za siedmioma lasami, za siedmioma górami”.

Trolle miały broń palną, którą pewnie zabrały pierwszym kolonistom. Tyle że przystosowały ją do strzelania czarnym prochem i zaokrąglonymi kamieniami, w ogóle nie korzystając z amunicji w rdzewiejących magazynkach, elektroniki i spustów. Potrzebowały jedynie wywierconej z boku lufy dziurki i dość chropawego materiału wkoło, aby skrzesać iskrę i zapalić upchnięty od przodu proch.

Riss nie miała pojęcia, jak im się udało go wynaleźć. Przypuszczała, że pomógł im w tym przed kilkuset laty jakiś renegat. Nie było szansy, aby to ustalić.

Gorzej, że tubylcy zdawali się uznawać hałas, który czyniła broń palna, za równie zabójczy jak kamienna kula. Zwyczajli przez to kierować lufę jedynie w ogólnym kierunku ofiary, a w chwili strzału najczęściej zamykali oczy.

Nauczenie ich, jak używać zdobytych blasterów, zajęło Riss kolejny tydzień. Gdyby tego nie zrobiła, zanieśliby je do wioskowego „rusznikarza”, aby wywiercił w nich stosowne otworki i rozklepał wyloty luf.

Po tych doświadczeniach była przekonana, że nauka podstaw taktyki potrwa pewnie ze sto lat. Co do tego jednak się pomyliła. Trolle błyskawicznie chwyciły, o co chodzi w jej grach. Gdy dwa razy sama wpadła w ich zasadzkę, uznała, że pora ruszać w pole.

Zacząła od rzeczy prostych. Tam dopadli jakiegoś marudera, ówdzie podeszli niezbyt czujnego wartownika. Trolle świetnie sobie radziły z zabijaniem, musiała jednak okazać sporo stanowczości, sięgnąć nawet do targania za uszy, aby oduczyć ich radosnych tańców nad pokonanym przeciwnikiem, co znacznie zmniejszało ich szanse przeżycia.

Już na pierwszym patrolu ustaliła położenie wrogiej bazy – wystarczyło pójść tropem napotkanego pododdziału. Potem jednak musiała aż trzy dni czekać w ukryciu, nim ujrzała rozsuwające się wrota wielkiego hangaru, z którego wystartowały dwie jednostki zwiadowcze.

Teraz już wiedziała, gdzie mieszka Murgatroyd. Lub prawie, bo zapewne nie było to jedyne leże przeciwnika. Niemniej krążownik był właśnie tutaj.

Musiała tylko przekazać tę cenną informację do centrali Star Risk, aby jej ludzie rozwalili wszystko w drobny mak. A wcześniej, oczywiście, zabrali ją z tego pustkowia.

– W przyszłym tygodniu nauczymy się, jak budować statki kosmiczne z kamienia – mruknęła. – Chodźcie, chłopaki. Może szczęście nam dopisze.

Chas Goodnight obudził się tuż przed świtem i stwierdził, że jest jedyną przytomną osobą w obozie.

Zarówno Siegfried, który zmienił go na warcie, jak i mający zmienić Siegfrieda szeregowy chrapali, aż echo szło po lesie.

Goodnight zaklął i kopnął swego zastępcę w udo.

Mężczyzna przetoczył się na bok, uniósł broń i rozejrzał się wkoło. Momentalnie ocenił sytuację i też zaklął.

– Obudź ich – wyszeptał Goodnight, wskazując postaci rozciągnięte na skraju polany. Jego ludzie, zmęczeni całodziennym marszem, podjedli na dobranoc, po czym zwinęli się do snu. Mimo rosnącej w ostatnich dniach liczby ofiar wydawali się pewni, że im nic nie może się przydarzyć. Tymczasem wedle rozkazu mieli cały czas zachowywać częściową gotowość bojową.

Siegfried przytaknął i ruszył wykonać rozkaz, ale było już za późno.

Zza terenu obozowiska nadleciał łagodnym łukiem granat ręczny. Jego wybuch urwał jednemu z niedoszłych żołnierzy rękę. Obudzony hukem łącznościowiec usiadł i dzida z kamiennym grotem przeszła go na wylot. Reszta zerwała się w panice i zaczęła się miotać, na oślep szukając broni.

– Do mnie! – krzyknął Goodnight i kolejna dzida świsnęła tuż obok niego.

Wszedł w tryb bestera i zrobiwszy cztery wielkie kroki, schował się za skałą, którą już wcześniej wybrał jako osłonę na podobną okazję. Wyłączył moduł i świat zwolnił.

Siegfried biegł w jego stronę. Goodnight zaczął osłaniać go ogniem. Nie celował, bo nie było do kogo. Szarzy w ogóle nie wyściubiali nosa z zarośli, a poza tym bał się, że

mógłby postrzelić Riss.

Z jego pododdziału zostało już tylko sześciu ludzi. Jedna z kobiet potknęła się i kamień, zapewne wystrzelony z procy, roztrzaskał jej czaszkę.

Pięcioro dotarło do skały. Wycofali się na zasadzie połowa strzela, połowa biegnie i tak dalej.

Jednak nikt już ich nie atakował.

Goodnight znalazł dobrą pozycję i czekał.

Nic się nie działo.

W końcu, ignorując przerażenie i nienawiść wyzierające z oczu podkomendnych, nakazał powrót do obozu. Miał nadzieję, że szarzy nie będą na nich czekać. Nie czekali. Wzięli to, po co przyszli, i zniknęli. Wraz z nimi ulotniła się cała porzucona broń. Oraz komunikator Goodnighta.

– Wzywam Star Risk – mówiła Riss. – Wzywam kogokolwiek ze Star Risk, mówi romeo india sierra sierra. Powtarzam, romeo india sierra sierra.

Odczekała chwilę, zalewając się potem. Dwumian przykucnął obok, cały dumny, że jego osobisty totem potrafi przemawiać do pudełek, a jeśli zechce, zapewne także latać jak ptak.

– Romeo india sierra sierra, mówi centrum Star Risk. – Riss poznała głos Groka. – Proszę o potwierdzenie tożsamości: podaj, na którym piętrze mieści się nasze biuro na Trimalchionie.

M'chel wyteżyła pamięć.

– Mówi romeo – odezwała się. – Na czterdziestym trzecim. Powtarzam, na czterdziestym trzecim.

– Tu centrum. Gdzie jesteś, M'chel?

– Muszę się streszczać. To radyjko, które zabrałam złym

chłopcom, jest chyba na kryształki i nie można go porządnie dostroić. Dlatego odzywam się na głównej częstotliwości alarmowej i otwartym tekstem.

– Próbuje ustalić twoją pozycję – odparł Grok. – Trudno idzie.

– Musiałam dorobić antenę, żeby mnie było słychać z tej doliny. Baza jest w jej środkowej części, ukryta pod urwiskiem. Przypuszczalna pozycja to jeden zero północnej i dziewięć wschodniej.

– Bardzo słabo cię słychać. Zrozumiałem tylko: góra jeden zero, reszta koordynat zagłuszona. Powtórz, proszę. Powtórz...

Słyszając znajome wycie, Riss wyłączyła komunikator, złapała protestującego Dwumiana i rzuciła się z nim płasko na ziemię.

Rakiety uderzyły dokoła nich i na skalny nawis, pod którym się ukryli, spadł deszcz odłamków.

Gdy wstała, komunikator leżał na ziemi, ze sporym kamieniem wbitym w obudowę. Zgarnęła Dwumiana pod pachę i pobięła ile sił w nogach. W dali słychać już było szum kolejnej salwy.

– Cholera! – zaklęła, ignorując szczebiot oburzonego trolla. – Niech mnie diabli. Od kiedy tłusty tyłek ważniejszy jest od łączności? Teraz sama będziesz musiała o siebie zadbać.

– Co zatem wiemy? – spytał Baldur.

– Przede wszystkim tyle, że M'chel nie przeniosła się jeszcze do wieczności – powiedział Grok. – Po drugie, że baza znajduje się w jakiejś dolinie, jednak nie znamy jej dokładnego położenia. Usłyszeliśmy tylko część podanych przez Riss koordynat, a to za mało.

– Szkoda – stwierdził Baldur. – Ale jak powiedziałeś, przynajmniej Riss jest w kursie. Nie mamy nic od Goodnighta. Zakładam, że nie wpadł na pomysł, by przyłączyć się do Murgatroyda.

– Nie przypuszczam – powiedział Grok. – Gdyby to zrobił, pewnie poczulibyśmy to na własnej skórze.

– Same kłopoty – westchnął Baldur, bębniąc palcami po konsoli. – Dobra. Złapcie wszystkie nasze jednostki i ściągnijcie je na Glace. Póki nie zabezpieczymy własnych tyłów, dajemy sobie spokój z asteroidami. Grok, prowadź nasłuch na częstotliwości alarmowej. Jeśli pojawi się coś więcej, niech nasi startują i złapią namiar z powietrza. Będziemy z góry stale patrolować linię wyznaczoną przez znaną nam część koordynat. Po stracie Dinsmore'a nikomu chyba nie trzeba powtarzać, że muszą zachować najwyższą ostrożność. Żałuję, że nie wynajęliśmy żadnych piechociarzy. Przydaliby się teraz do misji ratunkowej.

– Skoro już mowa o asteroidach – rzuciła siedząca przy bocznej konsoli King – Reg Goodnight trzy razy próbował się z tobą skontaktować.

– A ja nic dla niego nie mam – ponownie westchnął Baldur. – Jednak nie mogę go bez końca unikać.

King przekazała mu numer.

Gdy ekran pojaśniał, Reg Goodnight spojrzął na Baldura znad papierów.

– Goodnight – odezwał się. – A, to pan, panie Baldur. Łącze szyfrowane. Przygotowuję okresowy raport dla centrali. Nie odzywacie się od trzech tygodni, ja jednak muszę wiedzieć, co się dzieje.

– Nasze tajne operacje przebiegają bez zakłóceń – odparł Baldur. – Wydzielone zespoły w pasie asteroid wykonują swoje obowiązki. Jak pan zapewne zauważył, nie odnotowano ostatnio żadnych nowych ataków.

– Czy może pan powiedzieć coś więcej o tych tajnych operacjach?

– Nie na otwartym kanale. Nawet szyfrowanym.

– Jeśli wolno mi spytać, dlaczego przebywa pan na Glace zamiast na Mfirze? – spytał Reg.

– Obawiam się, że odpowiedź będzie taka sama. Może zjawi się pan tu osobiście?

– Teraz nie mam na to czasu. Nadmienię jednak, że nie rozumiem pańskich obecnych działań. Nie jestem żołnierzem, ale wiem, że obrona, choćby najskuteczniejsza, to tylko odsunięcie problemu.

– Prawda – zgodził się Baldur.

– Nie chcę, aby zostało to odczytane jako groźba, nie zamierzam też udzielać Star Risk upomnienia, muszę jednak uprzedzić, że jeśli w najbliższym czasie nie będziemy mieli żadnych sukcesów, zapewne będę musiał zrewidować warunki umowy. – Reg Goodnight uśmiechnął się uprzejmie i zniknął z ekranu.

– Wielkie dzięki – powiedział Grok. – Tego akurat potrzebowiałem.

– Dokop im, M'chel – mruknęła King. – Tak, żebyśmy mieli o czym meldować.

Baldur pokiwał głową.

– Skoro tak, to trzeba jej będzie sprawić nowe butki – stwierdził.

Na skałkach zebrała się ponad setka trolli.

Zwykle w powieściowym świecie takie zgromadzenia obcych odbywają się nocą, przy ogniskach, ze śpiewami i w atmosferze powszechnego poparcia. Tutaj jednak byłoby to zbyt ryzykowne. Ludzie Murgatroyda panowali w powietrzu, dysponowali czujnikami podczerwieni i wzmacniaczami obrazu.

Dlatego też zebranie zostało zaplanowane na południe, kiedy cała dżungla przysypiała od duchoty, a wartownicy mieli szansę dostrzec patrol z setek metrów.

Odbywało się w całkowitej ciszy. Ciszy bliskiej sercu każdego mieszkańca lasu, o ile nie był on rozmiarów tyranozaura.

Riss uśmiechnęła się do własnych myśli. Jacy obcy? Zapomniałaś? To przecież prawowici właściciele tej ziemi. To ty jesteś tu obca. Ty i ci dranie z jaskini.

M'chel wciąż nie radziła sobie z językiem tubylców. Jak dotąd poznała z niego tylko kilkanaście dźwięków. Mimo to wstała w końcu, aby wygłosić najważniejsze przemówienie swego życia.

Nie w całkowitej ciszy, jedynie za pomocą mowy gestów.

Obróciła głową. *Wy wszyscy.*

Wskazała na siebie. *Znacie mnie.*

Ogarnęła ręką zebranych i własną osobę. *My.*

Przeciągnęła kantem dłoni po gardle. *Zabijemy.*

Uniosła uprzęż bojową zdartą z trupa przeciwnika. *Wrogów.*

Trolle zerwały się na równe nogi i zaczęły potrząsać pięściami.

Riss wyciągnęła ku zebrany blaster. *Broń, której potrzebujecie.*

Uniosła garść patyków. *Wiele broni.*

Wskazała na siedzibę Murgatroyda. *Jest w bazie.*

Wzięła kolejną garść patyków i rzuciła je na ziemię. *Jest wielu wrogów.*

Położyła rękę na gardle. *Do zabicia.*

Uniosła noże i inne przedmioty zabrane bandytom. *Będą bogate łupy.*

Zatoczyła ręką obszerny krąg. *Dla wszystkich.*

Skierowała w dół dwa poruszające się palce. *Pójdziemy.*

Wskazała w stronę bazy. *Do gniazda wroga.*

Chwyciła dzidę i zamarkowała pchnięcie. *I zabijemy go.*

Uniosła uprząż bojową, wskazała w kierunku bazy, pokręciła głową, wskazała na ziemię, znów pokręciła głową. *Żadnych bandytów, żadnych ludzi w waszej dolinie.*

Rozpostarła ramiona, dwukrotnie obróciła się i wskazała na wszystkich trolli. *Dolina będzie tylko wasza.*

Chwila zdumienia nie trwała długo. Zrozumieli.

Znowu wstali, machając rękami. Wszystko w całkowitej ciszy.

Riss miała swoją armię.

Uchyliły się drzwi prowadzące do jaskini i wyszło z niej ośmiu ludzi.

Nie mieli przesadnych powodów do niepokoju. W końcu nie wyruszali na patrol w dżungli. Ich zadanie było proste, wręcz rutynowe.

Zmiana warty zmierzała do dwóch czteroosobowych

posterunków znajdujących się pięćdziesiąt metrów od wejścia. Kolejne dwa posterunki były na szczycie urwiska, dochodziło się do nich specjalnie wzniesionymi rampami. Poza tym bazę chroniła elektronika.

Nic nie budziło podejrzeń. Od dwóch dni wkoło było całkiem spokojnie, jeśli nie liczyć serii fałszywych alarmów spowodowanych przez czujniki zamontowane na obrzeżach terenu bazy.

Świeżo pozyskany bester musiał chyba być naprawdę dobry, skoro zdołał uspokoić sytuację. Optymiści powiadali, że widać udało się wyprzeć szarych z doliny. Albo zabić ich dość, żeby reszta nie próbowała się wychylać.

Pesymiści, którzy zwali się rzecz jasna realistami, twierdzili, że obcy po prostu czekają na kolejną okazję, a nie atakują, żeby uspić czujność mieszkańców bazy.

Zmiennicy ruszyli ścieżką, którą przemierzali co osiem godzin. Po chwili skryli się za zakrętem.

Dwie kobiety z posterunku przy bramie czekały w drzwiach na zlużowaną ósemkę.

Jednak na ścieżce pojawiła się tylko jedna postać. Chwiała się na nogach i była tak okrwawiona, że nie sposób było poznać, czy to mężczyzna, czy kobieta. Ciągnęła za sobą blaster.

Gdy jedna z kobiet pobiegła jej pomóc, postać nagle się wyprostowała i strzeliła jej prosto w twarz. Następnie obeszła jej ciało i skierowała broń na drugą wartowniczkę, która zastygła z przerażenia.

Riss dała sobie chwilę, aby zetrzeć krew z twarzy. Nie własną, ale jednego z wartowników z nowej zmiany, który zginął równie cicho jak cała reszta jego drużyny. Potem

przyjrzała się wrotom jaskini. Przypominały zwykłe drzwi od hangaru.

Odbezpieczyła granat i wetknęła go we wnękę kryjącą przewody. Odskoczyła, nim huknęło, i płyn hydrauliczny popłynął strugą po podłodze.

Wstała i wyjrzawszy na zewnątrz, przywołała pół setki trolli. Wyłonili się z krzaków jak duchy i pobiegli za nią w głąb ukrytej bazy.

Riss wiedziała, czego się spodziewać, ale i tak na chwilę się zatrzymała, zdumiona. W olbrzymim hangarze stały dwa statki. Jednym był wielki krążownik, którego tak szukali, drugim – niedawno przybyły transportowiec. Ich wielkie kadłuby tonęły częściowo w mroku.

Dostrzegła, że z boku gapi się na nią mechanik. Zastrzeliła go, po czym posłała kilka pocisków w kierunku zmartwiałej grupy roboczej na platformie przy krążowniku.

Nagle tuż obok jej głowy zaświszczał ładunek i zanurkowała za jedną z płóz transportowca.

Wystawiła głowę i zlokalizowała strzelca. Trafiła go, gdy znów próbował w nią wycelować. Potem załatwiła jeszcze jego kompana, który schylił się po broń.

W następnej chwili obok przemknął mały tłumek szarych postaci. Ich dzidy zebrały żniwo. Huknęły też kolejne wystrzały. Niektórzy tubylcy nieśli swoje pukawki, inni używali odebranych zabitym blasterów.

Zawyły syreny alarmowe. Obsługa hangaru rozbiegła się niczym mrówki, którym ktoś wpakował kij w sam środek kopca.

Riss czegoś takiego właśnie oczekiwała. Nie podejrzewała, aby Murgatroyd miał zbyt wielu prawdziwych żołnierzy. Zdecydowaną większość stanowili

tu mechanicy, zaopatrzeniowcy, gryzipiórki i tym podobni amatorzy, którzy nigdy nie podpisałiby umowy przewidującej podrzynanie gardeł.

Z głośników dobiegł jakiś charkot, co jeszcze bardziej pogłębiło zamieszanie. Riss odstrzeliła kilka najbliższych. Jeden zaczął dymić. Potem dla większego efektu posłała serię tam, gdzie miało się najwięcej ludzi, i padła na ziemię, gdy jakichś dwóch wzięło ją na cel. Usiadła i ktoś strzelił do niej z tyłu, trafił jednak w stalowy wspornik tuż obok.

Przetoczyła się w bok, wypaliła nieco na oślep i dopiero wtedy dojrzała kogoś skulonego za rampą transportowca. Strzeliła do niego i znów chybiła.

Gdzie, u diabła, może być Goodnight? – pomyślała. Miała nadzieję, że nie załatwiła go przypadkiem. Trolle raczej nie powinny go dopaść.

Poprzez wycie syren przedarły się dwa komunikaty. Pierwszy oznajmiał o pożarze w magazynie paliw, drugi nakazywał przygotować się do ewakuacji.

Jeden z trolli przystanął przy Riss wpatrzony w nią z czymś w rodzaju zdumienia i nagle stracił górną część głowy. Jeden z jego towarzyszy jęknął przerażony, strzelił na ślepo i przyklękawszy przy zabitym, sam zaraz zginął.

Riss dostrzegła snajpera i rozwaliwszy mu klatkę piersiową, wbiegła po rampie na pokład transportowca. Gnała ile sił w nogach, bo w hangarze robiło się coraz goręcej.

Kątem oka zauważyła postaci tłoczące się na rampie wejściowej krążownika, ale nie miała czasu się nimi zająć. Ledwie zdążyła wskoczyć do śluzy, gdy właz zaczął się zamykać.

Pamiętając dawne ćwiczenia, odruchowo skierowała się w stronę dziobu statku. Ktoś wychylił głowę na korytarz, wrzasnął przerażony i padł martwy na podłogę.

Po chwili dotarła do pomieszczeń załogi. Znalazła tam cztery osoby: dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Otwarte usta sugerowały, że chcieli coś powiedzieć, ale nie dała im szansy. Wypuściwszy jedną serię, przeskoczyła ciała i wpadła do centrali. Ktoś siedział w fotelu pilota. Zastrzeliła go.

Ogarnęła spojrzeniem przyrządy, mając nadzieję, że rozpozna przeznaczenie chociaż części z nich. Najbardziej zależało jej na terminalu obsługi uzbrojenia, bo mogłaby pogłębić panujący na zewnątrz chaos.

Nic nie wydało się jej znajome, postanowiła więc zadziałać rutynowo. Uniosła blaster i nacisnęła spust. Broń huknęła tylko raz i ucichła, co znaczyło, że od wejścia do hangaru Riss wystrzeliła już ponad dwieście ładunków.

Szybko zmieniła magazynek i omiotła wszystkie konsole ogniem.

Coś jęknęło w głębi statku i jedna z płóz podwozia raptownie się złożyła. Kadłub przechylił się i uderzył burtą w podłogę hangaru. Riss poleciała na fotel i upadła. Za stara jestem na takie zabawy, pomyślała i czym prędzej wróciła do służby. Jeśli na pokładzie był jeszcze ktoś żywy, przezornie nie wychodził z ukrycia.

Właz zablokował się, Riss rozbiła więc blasterem pokrywę panelu sterowania awaryjnego i po chwili służa otworzyła się ze zgrzytem.

Chas Goodnight kucał w jednym z przejść inspekcyjnych nad krążownikiem i obliczał, jakie ma szanse. Dla

zachowania pozorów strzelał sporadycznie do przemykających w dole szarych, regularnie chybiając co najmniej o pół metra.

Po drugiej stronie przejścia tulił się do podłogi Siegfried z trzema ludźmi. Z rzadka unosili głowy, aby oddać strzał.

Z głośników padł rozkaz ewakuacji i Goodnight zaczął się rozglądać za drogą ucieczki. Najlepiej na pokład krążownika.

Tyle że... nie był wcale pewien, czy powinien się jeszcze trzymać roli. Z drugiej strony, gdyby otworzył teraz ogień do bandytów, któryś z nich na pewno wziąłby go na cel. Wątpił też, aby szarzy uznali go nagle za sojusznika. Strzelił gdzieś przed siebie. Ciągle nie mógł się zdecydować.

W dole zawył pomocniczy napęd krążownika. Czas namysłu dobiegał końca.

– Patrzcie! – zawołał nagle Siegfried. – Tam! – Wskazał na rampę uszkodzonego transportowca, po której zbiegała jakaś kobieta. Dwa ostatnie metry pokonała skokiem, przyklękła i zastrzeliła dwóch techników.

– Pierdolona zdrajczyni – rzucił bez sensu Siegfried i wycelował w nią broń.

To przeważało. Goodnight strzelił mu prosto w serce. Trochę żałował, że musi to zrobić, ale nie miał wyboru. Pozostali żołnierze spojrzeli na niego zdumieni. Potraktował ich granatem i przeszedł w tryb szybki.

Nikt nie jest w stanie sobie wyobrazić, jak to jest, o ile sam nie zostanie besterem. Człowiek czuje się wtedy władcą świata i ma wrażenie, że nic nie może mu zagrozić. Chyba że trafi na taką jak on maszynę do zabijania, tyle że obdarzoną lepszym refleksem.

Dźwięki rozmyły się i Goodnight zbiegł najbliższymi schodami na poziom hangaru. Po drodze oddał bez celowania kilka strzałów. Wiedział, że zamieszanie będzie jego sojusznikiem.

Gdy biegł w kierunku transportowca, krążownik uniósł się na modułach antygravitacyjnych i Goodnight pochylił się, czując ogromny kadłub przesuwający się tuż nad jego głową.

Pomyślał nawet o wypuszczeniu w niego serii, wątpił jednak, aby pociski z broni ręcznej mogły przebić pancierz. Poza tym nie chciał, aby cały ten złom zwałił mu się na głowę.

Obszedł dwóch szarych, zanim się zorientowali, że ta rozmazana postać może należeć do człowieka. Omal nie pośliznął się na mokrej od krwi podłodze, lecz i tak zdążył się skryć przed ostrzałem za pochylnią, gdzie wyszedł z trybu szybkiego.

– Tak myślałam, że to ty – powiedziała spokojnie Riss.

– Jesteś mi coś winna.

– Dobra. Za co?

– Ktoś chciał cię rozwalić, ale mu nie pozwoliłem...

Riss uniosła blaster i oddała dwa strzały.

– Teraz jesteśmy kwita – oznajmiła.

– Nie widziałem – zaprotestował Goodnight.

– Możesz mi zaufać.

– Tak – mruknął Chas, chowając się głębiej w cień rampy. – A swoją drogą co sprowadziło cię w te strony?

– Moim trollom zachciało się bogatych łupów... Cholera, było blisko! – rzuciła Riss, posyłając serię.

– Oczywiście ja się nie liczę – westchnął Chas. – Jak miło.

– Właśnie – odrzekła Riss. – Czy to wszystko wyleci w powietrze?

– A skąd mam wiedzieć? Chociaż, jak widzę, tutejszy system przeciwpożarowy nie ma nic przeciwko pożarom. Czy mogłabyś pozbierać swoją gromadkę trolli? Przy okazji, my nazywamy ich szarymi. Jeśli tego nie zrobisz, tak się rozbiegną, że nigdy już stąd nie wyjdą.

– Ciekawe – odparła Riss. – Chyba najlepiej będzie, jeśli zostaniemy tutaj, w pobliżu wyjścia. I zaczekamy. Albo moi chłopcy wybiją w końcu wszystkich ludzi, albo pożar zmusi ich do wyjścia. Potem pomyślimy co dalej.

– Ach, ta władza wodzów rewolucji nad tłumami – zakpił Goodnight.

– Rozumiem, że wy, ledwie pełzająca kontrrewolucja, bezustannie macie wszystko pod kontrolą – rzuciła sarkastycznie Riss.

– Hmm, powiedzmy, że kilka drobiazgów nie zadziałało jak powinno...

– Zamknij się – przerwała mu Riss. – Zajmij się lepiej tymi trzema idiotami, którzy próbują dobrać się do nas z flanki. Nie domyślasz się, dokąd mógł polecieć krążownik?

– Wcale. Nie wkradłem się na tyle w ich łaski.

– To pomyśl, jak się wybronisz w firmie. Jeśli nie znajdziesz nic na swoją obronę, Baldur żywcem obedrze cię ze skóry.

– Wyłgam się jakoś – powiedział Goodnight. – Na razie może poszukajmy nadajnika i wezwijmy transport. Marzy mi się kilka porządnych steków.

Jakiś czas temu dziesięciu górników zawiązało spółdzielnię dla eksploatacji niewielkiej asteroidy bogatej w rudy metali przemysłowych i srebro. Zadanie było trudne, bo chodziło o daleki skraj pasa.

Gdy w układzie pojawili się bandyci, górnicy zamknęli interes i wrócili do Sheolu, aby dać sobie czas do namysłu. Usłyszawszy jednak o akcji sprzedaży broni, zainwestowali w dwa działka automatyczne i wznowili działalność.

Z początku górnicy pilnowali, aby stanowiska działek były zawsze obsadzone. Sprzęt był nowoczesny, więc wystarczał do tego jeden człowiek na baterię. Tak upłynęły trzy spokojne tygodnie. Dla cywila nie nawykłego do wojskowego drylu to cała wieczność.

Bandyci się nie zjawiali, więc w końcu działka zostały bez obsługi. Na wszelki wypadek górnicy dokupili jednak radarowy układ ostrzegania i podłączyli go gdzie trzeba. Ponieważ na razie pracowali systemem odkrywkowym, uznali, że w razie potrzeby zdążą na stanowiska.

Mylili się.

Krażownik podszedł do asteroidy z przeciwnej strony i zatrzymał się w odległości dwudziestu kilometrów.

Następnie wypuścił pocisk raketowy, tyle że z kamerą zamiast głowicy bojowej. Dwa dni obserwacji pozwoliły zebrać dość danych na temat trybu życia górników, zwłaszcza że jako profesjonaliści pilnowali stałych godzin pracy.

Gdy nadeszła ich umowna noc, schronili się w trzech małych kopułach wzniesionych sto metrów od odkrywki,

tuż obok stanowisk działek i statków.

Żaden się nie obudził, gdy wielki krążownik wychynął zza horyzontu. Nie widzieli odpalenia czterech zdalnie sterowanych pocisków, które skierowały się wprost na kopuły i na ich statki.

Uderzyły niemal jednocześnie.

Załoga krążownika nawet nie wylądowała, żeby sprawdzić skutki ataku. Wystarczył jej obraz z kamery.

Zaraz potem bandyci zniknęli w nadprzestrzeni. Na asteroidzie nie został nikt żywy.

Musiał upłynąć aż tydzień, nim przelatujący w pobliżu samotny górnik zahaczył o asteroidę w poszukiwaniu czegoś do picia i towarzystwa.

Ani on, ani nikt w Transkootenay nie zwrócił uwagi, że napastnicy nie tknęli kopalni.

– Naprawdę się nie domyślasz, gdzie mógł polecieć ten krążownik? – spytał Baldur.

– Ani trochę – odparł Goodnight. – Jedyne logiczne możliwości to, że Murgatroyd ma jeszcze drugą bazę. Skoro drań nie pojawił się nigdzie od tygodnia, musi mieć jakąś kryjówkę.

– Czy twoje obserwacje to potwierdzają? – spytała King.

– Tak. Ta baza w dżungli była przede wszystkim punktem przerzutowym. Tam zwożono nowych, wydawano im sprzęt, sprawdzano i tak dalej. Zapewne także prześwietlano. Może pod hipnozą, może za pomocą chemii. Na mnie tego nie próbowali, bo byłem zbyt cenny. I wiarygodny, skoro wysadziłem biura wywiadu Sojuszu. – Parsknął. – Zresztą nawet gdyby spróbowali, nie zadziałałoby.

– Przeszedłeś jakieś szkolenie? Umiesz się opierać zaawansowanym technikom przesłuchań? – spytał Grok.

– Oczywiście.

– Wróćmy do punktu wyjścia – powiedziała Riss. – Nie wyjaśniłeś do końca, dlaczego uważasz, że ta baza nie była ich jedyną.

– Przede wszystkim dlatego, że nie obsługiwała patroli – stwierdził Goodnight. – Na dodatek ta jedna szyszka, z którą rozmawiałem, niedwuznacznie zasugerowała, że mają jeszcze coś bliżej pasa. Poza tym lokowanie wszystkiego na Glace byłoby zbyt ryzykowne. Nie jest to zbyt rozwinięty świat, jednak mieszka tam trochę ludzi i prędzej czy później ktoś by zauważył zwiększenie ruchu jednostek

zmierzających ku pustkowiom i znikających tam pod ziemią.

– Przejdźmy teraz do tej szyszki – ciągnęła Riss. – Nie domyślasz się, kim mogła być ta kobieta?

– Ni w ząb. Tyle że była nawykła do władzy. Nie tylko u Murgatroyda, ale w ogóle.

– Mógłbyś sporządzić jej pełny profil? – spytał Grok.

– Oczywiście.

– Przygotuję wszystko.

– Jeśli coś z tego wyjdzie, zorganizuję ciche poszukiwania – dodał Baldur.

– Coś wyjdzie na pewno – powiedział Goodnight. – Przecież nie może być tak, żeby całe to piekielne zamieszanie nic nam nie dało.

Riss pokiwała głową.

– Chyba szkoda, że cię tam nie zostawiliśmy – powiedziała.

– Może – zgodził się Chas. – Jednak nie monitorowaliście cały czas mojego nadajnika i wątpię, byście wytropili jego sygnał podczas ewakuacji na pokładzie krążownika. Cywilizowany świat nie usłyszałby więcej o pewnym besterze. Tylko czasem dobiegałyby z próżni pogłoski o Krwawym Piracie, delirycznie przystojnym i cieszącym się władzą absolutną, którą zyskał, zwyciężywszy podłego Murgatroyda.

– Tak więc zostajemy z niczym – stwierdziła Riss. – Wciąż nie wiemy, czy Murgatroyd to jedna osoba czy jakaś grupa. Przeszukanie hangaru też nic nie dało. Gdy ogień przygasł na tyle, że można tam było wejść, nie został już nikt żywy. Chociaż i tak nie wydaje mi się, by ewentualne przesłuchania cokolwiek przyniosły. Szkoda – dodała

łodowatym tonem.

– A przy okazji – powiedział Goodnight. – Jak twoje trolle?

– Siedemnastu zabitych i rzecz jasna jeszcze więcej rannych. Zaproponowałam im pomoc medyczną, ale omal nie zostałam za to poczęstowana dzidą. Wolą polegać na własnych metodach.

– Wielka szkoda, że nie można ich odizolować od cywilizacji, aby żyli sobie we własnym świecie – mruknęła King.

– Gdybym była bogata, kupiłabym tę dolinę i oddała im ją na wieczne używanie – powiedziała Riss. – Z drugiej strony to takie pustkowie, że nie sędzę, aby w przewidywalnej przyszłości ktoś jeszcze się nimi zainteresował. Jednego dopilnowałam. Okazało się, że nasz zaprzyjaźniony dealer miał na składzie całą masę muzealnego złomu, prochu i zwykłych pocisków. Mam nadzieję, że pomogą one trollom obronić się przed światem.

– Domyślam się, że kupiłaś to za pieniądze Transkootenay? – spytała King.

– Oczywiście. To chyba uczciwe rozwiązanie?

Zebranie Górniczego Stowarzyszenia Samopomocy przebiegało w wyjątkowo burzliwej atmosferze. W sali zgromadziło się ponad pięciuset górników, prawie dwa razy więcej niż zwykle. Po raz pierwszy zdarzyło się też, że porządek obrad objął tylko dwa punkty.

Najpierw pewien górnik zgłosił wniosek o „wycofanie wszystkich członków stowarzyszenia z układu Foley do czasu, gdy Transkootenay Mining zapewni nam bezpieczeństwo i przyzna, że wynajęta do zaprowadzenia porządku firma nie wywiązała się z warunków umowy”.

– A dokąd to mielibyśmy się wycofać? – spytała L. C. Doe.

– Gdziekolwiek – odparł górnik. – Jeśli o mnie chodzi, wracam na Rafaela II. Biedne miejsce, ze złożami nawet w przybliżeniu nie tak dobrymi jak tutaj, ale przynajmniej nikt nie włada ci rakiety w dupę.

– Łatwo ci mówić! – zawołał inny górnik. – Dorobiłeś się tutaj. Inni, w tym i ja, nie mają nawet własnego nocnika, aby opróżnić go za służą. I służy też nie mają. Nie uśmiecha mi się znowu ruszać w drogę.

– Nasz bohater! – zadrwił pierwszy górnik. – Jak chcesz dać się zabić, to twoja sprawa. Mnie nic tu nie trzyma. Chcę, żeby poddano mój wniosek pod głosowanie. Teraz i zaraz.

Głosowanie odbyło się i wniosek przepadł, jakkolwiek niewielką większością głosów – 270 do 245.

– Serce rośnie, gdy się widzi takich zuchów – nie wytrzymał pierwszy górnik. – Ja i tak się wynoszę.

Gdy wrzawa nieco przycichła, ze dwudziestu górników oznajmiło, że występuje ze stowarzyszenia. Doe próbowała ich zatrzymać.

– To co? – rzuciła. – Waszym zdaniem mamy wziąć nogi za pas i niech dranie wygrywają?

– Dobrze to ujęłaś, chociaż za grzecznie – powiedział jeden z występujących. – Nogi za pas albo dupę w troki. Korzystając z okazji, że dupa jeszcze jest na miejscu.

– Lubię, gdy jest tak cicho i spokojnie – powiedziała Riss, nalewając Spadzie i sobie po kolejnej filiżance herbaty. Wraz z innymi członkami zespołu Star Risk wylegiwała się na fotelu w mesie *Boopa*.

– Lepiej czuję się w próżni – powiedział Spada. – Trudniej tam człowieka zaskoczyć.

– Rozumiem – mruknął Goodnight. – Ile razy robi się cicho, mam wrażenie, że zaraz gównem rąbnie w wentylator.

– Zamknij się, Chas – rzekł Baldur. – Pilnuj portretu.

Cała reszta przyglądała się, jak siedząca przy komputerze King układa kolejne piksele, z wolna tworząc holograficzny obraz ludzkiej twarzy. Goodnight instruował ją co chwila, podając kolejne poprawki.

– Panie Spada – odezwała się King, nie odrywając oczu od projekcji. – Pan i tak prawie mieszka na pokładzie. Nie czuje się pan samotny?

Spada uśmiechnął się smutno.

– Życie to samotna wędrówka – rzekł sentencjonalnie.

Grok parsknął wzburzony.

– Nie rozumiem, dlaczego ludzie ciągle użalają się nad sobą. Popatrzcie tylko na mnie. Od ilu już lat jestem sam?

– Nie musisz tu siedzieć – powiedział Baldur.

– Nikt z nas nie musi – rzuciła Riss. – Ale siedzimy.

– Co prowadzi nas do pytania, dlaczego to robimy – zakończył Grok.

– Wszyscy zdajecie się żywić przekonanie, że we wszechświecie jest coś takiego jak wolny wybór – odezwał się z goryczą Goodnight.

– Oczywiście – potwierdziła zdumiona Riss. – A ty uważasz inaczej?

– Ostatnio zacząłem wątpić. Zwłaszcza po tym, jak wrobiliście mnie w tę wyprawę na Seta.

– Zdumiewasz mnie – sapnęła M'chel. – Naprawdę nie widziałeś dla siebie innej przyszłości niż powrót do zajęcia, które już raz zaprowadziło cię do celi śmierci?

– Ba – odparł Goodnight.

– Zgadza się z Grokiem – powiedziała King. – Życie robota też nie należy do najłatwiejszych.

– Słucham? – spytał Spada.

– Z uwagi na urodę i inteligencję niektórzy czasem biorą naszą Jasmine za androida – wyjaśniła Riss.

– Naprawdę? – zagadnął Spada. – Jeśli można spytać, oczywiście, bo nie chcę być wścibski.

King uśmiechnęła się do niego blado.

– No tak – mruknął pilot, wzruszając ramionami. – To musi oznaczać samotność.

– Wcale nie musi – zaprotestował Chas.

– Jasne – powiedziała King. – Wystarczy rozkładać nogi przed każdym, kogo rajcuje pieprzenie androida i kto sądzi, że trzy prawa robotyki dają mu nad maszynką zdecydowaną przewagę.

Goodnight skrzywił się, co nie umknęło uwagi Groka.

– Proponuję zmienić temat – powiedział futrzak.

Riss miała się już zgodzić, ale przerwał jej brzęczyk.

Baldur zbliżył się do kamery, aby nikogo więcej nie było widać, i odebrał połączenie.

– Star Risk, Baldur – odezwał się.

Na ekranie pojawiła się twarz Rega Goodnighta. Mocno zaciśnięte usta świadczyły, że jest wzburzony.

– Słyszeliście o zebraniu Górniczego Stowarzyszenia Samopomocy? Zakończyło się przed godziną.

– Jakoś nie – odparł Baldur.

Goodnight streścił mu przebieg obrad, a na koniec podał, ilu górników zdecydowało się zerwać kontrakt.

– Kiepska sprawa – rzekł spokojnie Baldur.

– Tylko tyle mi powiesz? – warknął Reg. – To paskudna sytuacja. Żarty się skończyły, Baldur, i lepiej przekaż to swoim podwładnym. Od tygodni robię co w mojej mocy, żeby centrala was nie wywaliła, a ty mi mówisz „kiepska sprawa”?

– Chciałbym przypomnieć, co o tym mówi nasz kontrakt – powiedział Baldur.

– Kontrakt! – prychnął Reg. – Jeśli go zerwiemy, możesz nas podać do sądu, uprzedzam jednak, że proces zajmie co najmniej pięć lat. O ile pamiętam, Transkootenay nie przegrało jeszcze podobnej sprawy. Zwłaszcza takiej, w której były niezbite dowody na niekompetencję strony pozywającej.

– Sądy sądami, ale rozumiem, że jesteście gotowi ponieść także te konsekwencje, które nie dadzą na siebie czekać? – stwierdził Baldur. – A mogą one być znaczące.

– Czy to groźba?

– Nikomu nie grozę.

– Dobrze – odparł Goodnight. – Sądzę, że obaj

powinniśmy porzucić emocje i podejść do problemu racjonalnie.

Baldur miał już powiedzieć, że on cały czas jest spokojny, jednak Riss dała mu znak, żeby nie ruszał tego tematu.

– W porządku – powiedział. – Co masz na myśli? Chyba nie oczekujesz, że Star Risk przykuje tych górników do kilofów?

– Oczywiście, że nie. Oczekuję jednak, że w najbliższej przyszłości sytuacja znacząco się poprawi.

– To dobrze się składa – odparł Baldur. – Właśnie wykonujemy pewne posunięcia, o których nie mogę na razie nic powiedzieć.

– Hm. Trafiliście na ślad tego przeklętego krążownika?

– Jesteśmy na tropie.

– Gładkie słówka – warknął Goodnight, ale zaraz się opanował. – Czyli jak nie poczekam, to się nie dowiem. Mam nadzieję, że mówisz prawdę – dodał i zmienił temat.

– Czy mój brat odbywa jeszcze tę tajemniczą misję?

– Nie – powiedział Baldur. – Po prawdzie siedzi obok mnie na naszym statku i przygotowuje meldunek.

Baldur skierował kamerę na ścianę i skinął na King, żeby wyłączyła projektor postaci. Gdy to zrobiła, obrócił kamerę na Goodnighta.

– Dobry wieczór, bracie – zaczął Chas. – Chyba coś cię gryzie.

– Wcale nie – odparł Reg. – Ale wasze samopoczucie na pewno się pogorszy, jeśli rychło nie przedstawiście sensownych wyników.

– Spokojnie. Chyba wciąż we mnie wierzysz?

– W ciebie tak, ale jeśli chodzi o twoich przyjaciół...

Przez jakiś czas wierzyłem w ich kompetencje, obecnie jednak...

– Kończymy ustalać pewne rzeczy – skłamał Chas. – Z lokalizacją krążownika włącznie.

– Mam nadzieję. A możesz mi powiedzieć, gdzie byłeś przez ostatni miesiąc?

Chas pokręcił głową.

– Nie na otwartym łączu – odrzekł.

– Cóż. Będę zwodził centralę jak długo się da – obiecał Reg. – Ale gdybyś nie był moim bratem...

– Mógłbym być twoją ciotką – dokończył Chas.

– O czym ty gadasz? Chyba się zapatrzyłeś w nowych przyjaciół.

– Spokojnie, Reg. Wypij szklanekę ciepłego mleka albo czegoś w tym stylu. Wszystko zmierza w dobrym kierunku.

– Oby tak było – powiedział złowieszczym tonem Reg Goodnight i zakończył rozmowę.

– Jestem pod wrażeniem – stwierdził Spada. – Star Risk jest naprawdę biegłe w kreatywnym myśleniu.

– Chcesz powiedzieć, że dobrze kłamiemy – mruknęła Jasmine.

– Bywam uprzejmy.

– Nie trudź się – rzucił Chas. – Jeśli naprawdę na coś nie wpadniemy, będzie z nami krucho.

L. C. Doe opuściła górnicze zebranie z twardym postanowieniem, że uda się prosto do Dew Drop Inn i urznie za wszystkie czasy. Co za bezjajeczne mięczaki. Gotowi wiać, ledwie ktoś tupnie.

Potem jednak się zreflektowała. Sama rzadko zaglądała do pasa asteroid, większość pracy wykonywała w Sheolu.

Łatwo było jej kłać na ludzi, którzy siedzą tam ze świdrami i nie uregulowanymi rachunkami niepewni, czy ktoś ich zaraz nie wykończy.

Dobra, pomyślała. Współczucie współczuciem, ale może pomyśl, jak sprawić, żeby ten strumyk uciekinierów nie zmienił się w rzekę.

Wiedziała, że siedząc nad butelką, niczego nie wskóra. Wiele razy już się o tym przekonała i między innymi dlatego nazwała się L. C. Doe. Jej prawdziwe nazwisko brzmiało...

Do diabła, prawie już zapomniałam, pomyślała.

Zawróciła do pensjonatu Odpoczynek Górnika, żeby oddać się rozmyślaniom w małym pokoju, który tam wynajmowała.

Szła zadumana, czując, że coś coraz silniej dobija się do jej świadomości. Coś ważnego, co już dawno powinna zauważyć.

Ale co to było?

Dobrze. Zrobię sobie herbaty ze wspomaganiami i może to coś da.

Albo i nie.

Uśmiechnęła się krzywo. Za nic nie mogła tego uchwycić.

Nie spostrzegła nawet, że z mroku za jej plecami wyłonił się mężczyzna z nożem w ręce.

Patrolowiec Spady wisiał w próżni tuż za pasem asteroid i czekał.

Lopez oglądał na monitorze transmisję z imponującego pogrzebu L. C. Doe.

Dziwnie to wyglądało. Za archaicznym karawanem posuwała się kawalkada najróżniejszych wehikułów, od zwykłych ślizgaczy po ciężarówkę do przewozu rudy. Było nawet kilka pojazdów na kołach. Między nimi szli ludzie. Kondukt był bardzo długi, ciągnął się prawie dwa kilometry.

Baldur i pozostali ze Star Risk włożyli żałobę. Redon Spada uznał jednak, że Doe wolałaby inne pożegnanie.

Nie miał pojęcia, gdzie jest druga baza rajderów, przeprowadził jednak ogólną analizę ich dotychczasowych celów i znalazł sektor, w który zapuszczali się szczególnie często.

Parę dni wcześniej wraz z dwoma bocznymi opuścił Sheol i wiele godzin rozrzucał znaczniki. Potem mógł już tylko czekać i liczyć na szczęście.

Tym razem mu się powiodło.

Na ekranie pojawił się jasny punkt i komp wypluł wydruk.

Spada przyjrzał mu się uważnie.

– Partacze – mruknął. – Wybrali to samo podejście co pół roku temu. Cztery jednostki produkcji N'yarów. Wyszły z nadprzestrzeni, ich orbita... bardzo dobrze.

Włączył mikrofon.

– Jedyńska do wszystkich jednostek Star Risk –

powiedział. – Trzymać się mnie, atak na wskazany cel. Sami też się rozglądajcie. Szacunkowy czas kontaktu... za jakieś dwie godziny. Bez odbioru.

– Jesteś pewien? – spytał z rozczarowaniem Baldur, patrząc na hologram.

– Jak najbardziej – powiedział Goodnight. Obaj wrócili właśnie z pogrzebu i byli ubrani na czarno. Nie chcieli zostać na stypie, zwłaszcza że mógł się tam pojawić Reg Goodnight ze swoimi nastrojami. – A czego oczekiwałeś? Ze ujrzysz carycę Katarzynę w pełnej chwale?

– Chyba miałem nadzieję, że będzie podobna do niejakiej Tan Whitley – odparł Baldur. – To taka obleśna szyszka z tutejszego rządu. – Westchnął. – Życie młodego przedsiębiorcy nie jest usłane różami.

King zachichotała.

– Młodego?

– Duchem na pewno, kochanie. A teraz idź się spakować.

– Na jaką okoliczność? – spytała Jasmine. – Próznia czy dżungla?

– Gorzej – odparł Baldur. – Lecimy na Glace, gdzie zatrzymamy się w bardzo drogim hotelu. Jeśli mają tam drogie hotele. Będiesz moją przykrywką. Wystąpisz jako kochanka starego hedonisty, który zajmie się po cichu tym, co jest jego specjalnością.

– A jaka to specjalność? – spytał Goodnight. – Roli satyra nie liczę.

– Ba! – rzucił Baldur. – W odróżnieniu od niektórych jestem dżentelmenem. Mówię o korumpowaniu towarzystwa tłoczącego się wokół rynsztoka władzy.

Rajderzy dotarli nad swój pierwszy cel, gdy Spada był jeszcze daleko.

Jako profesjonaliści piloci Star Risk nie zatrzymali się przy ruinach małej kopalni. Rzut oka upewnił ich, że nie ma tam czego szukać, a brak wraku statku sugerował, że właściciel złoża poleciał na pogrzeb Doe i dzięki temu ocalał.

Spada miał wszystkie wrogie jednostki jak na dłoni. Były coraz bliżej.

– Siedzimy im na ogonie – powiedział. – Nie obejrzą się, ale jak każdy dobry pirat, polecą teraz po kolejny łup. Co prawda tutaj chyba nic im nie wpadło w łapy.

Czekał cierpliwie, wsłuchany w szum instalacji patrolowca. Ponownie odezwał się dopiero po kilku minutach:

– Jedyńka do wszystkich jednostek Star Risk. Plan wygląda następująco. Ja strzelam do prowadzącego. Jeśli trafię, przenoszę ogień w lewo. Piątka strzela do skrajnego lewego, Szóstka do tego po prawej. Gdyby zaczęli wzywać pomocy, zrywamy kontakt. Potwierdzenia tylko przełącznikiem mikrofonu. Zaczniście własne odliczanie, strzelajcie, gdy tylko wejdą w zasięg. Cisza w eterze do końca walki. Bez odbioru.

Oba patrolowce odpowiedziały cichymi kliknięciami.

– A teraz – zwrócił się Spada do swego operatora uzbrojenia – poproszę odliczanie do granicy zasięgu.

– Tak jest. Czas... czterdzieści siedem sekund.

Znowu zapadła cisza.

– Panie inżynierze, czeka nas kilka trudnych minut – odezwał się po chwili Spada. – Proszę o najwyższą gotowość. Zwłaszcza na wypadek konieczności podjęcia

pościgu.

– Jasne, skipper. Siedemnaście sekund.

Spada widział tylko jasny punkt na ekranie. Bezwiednie uspokoił oddech, jakby szykował się do walki wręcz.

– Cztery... trzy... zauważyli nas!

Cztery jednostki rozeszły się gwiazdą.

– Mówi jedynka – rzucił Spada. – Trzymać się celów. Potem zapomniał o innych i zajął się własną zwierzyną. Prowadzący kluczył energicznie. Jego komp musiał przejść w tryb losowego wybierania uników.

– Jest w zasięgu, sir – zameldował Lopez.

– Strzelaj wedle uznania. Trzymaj pocisk na prowadzeniu. Ja zajmę się jego kumplem.

– Jest na prowadzeniu. – Operator nałożył hełm. – Odpalam... teraz!

Patrolowiec zadrżał, gdy pocisk opuścił wyrzutnię. Lopez siedział nieruchomo, przesuwając palcami po konsoli sterowania pocisku.

Spada otworzył nowe okno i poszukał drugiego rajdera.

Przyjrzał mu się uważnie i wprowadził jakieś dane.

– Pełny ciąg – rozkazał spokojnie.

– Jest pełny ciąg.

Spada wciąż wpatrywał się w informacje na ekranie. Dodał do nich aktualne namiary i przygryzł wargę. Bandyta oddalał się i nic nie mogli na to poradzić.

Otworzył okno dalekiego zasięgu i dał zbliżenie dostrzeżonej w nim planetoidy. Przebiegł palcami po kontrolkach, nanosząc na ekran linie namiarów.

Po chwili uśmiechnął się przelotnie. Raz jeszcze zmienił kurs i przywrócił okno z widokiem rajdera. Odczekał kilka sekund, zadowolony pokiwał głową i skorygował kurs.

– Trafienie! – zameldował Lopez i na jednym z ekranów pojawił się drobny rozbłysk. – Jeden wyeliminowany – dodał, zdejmując hełm.

– Zajmijmy się więc drugim – powiedział Spada. – Gdy wejdzie za te dwa małe kawałki skały, zbliży się do trzeciego, trochę dalej i znacznie większego. Jego masa powinna mu nieco zmienić kurs, tak że znajdzie się tutaj. – Dotknął kontrolek i na ekranie zapaliła się czerwona kropka.

– Mam nadzieję.

– Na wypadek gdybym miał rację, chcę wystrzelić pocisk, który będzie tam na niego czekał. Odpalenie za...

– Dziewięć sekund.

– Prawie tyle. Po odpaleniu niech czeka. Włóż z powrotem hełm. To na wypadek, gdybym się mylił.

Coś pisnęło na panelu kontrolnym.

– Cel namierzony – zameldował Lopez.

– Czas do odpalenia? – spytał Spada.

– Trzy sekundy. – Patrolowiec zadrżał zauważalnie. – Poszedł.

Nałożył hełm i przestawił selektor na wystrzelony właśnie pocisk.

– Czekam na rozkaz z odliczaniem od trzech – zameldował.

Spada nie odpowiedział, skupiając uwagę na ekranie.

Zakładał, że asteroida, którą mieli minąć w minimalnej odległości, nie ma godnego uwagi pola grawitacyjnego. Obraz na głównym ekranie sugerował, że niebawem w nią uderzą.

Alarm kolizyjny głośno dał znać, że czuwa.

– Cholera! – rzucił Spada, którego zdekoncentrował

nagły hałas. – Wyłącz to.

– Alarm wyłączony – powiedział Lopez, dumny, że zachował spokój. – Nie wydaje mi się, żebyśmy go... – odezwał się po chwili.

Ekran zamigotał i pociemniał na chwilę.

– Porzuć tryb warunkowy – przerwał mu Spada. Spojrzał na zwykły ekran, na którym zobaczył gasnącą kulę ognia i rozplywające się wokoło śmieci. – I to by było na tyle.

Obrócił statek w miejscu i skierował go w stronę, z której przylecieli.

– Jedyńka do wszystkich jednostek Star Risk – rzucił do mikrofonu. – Meldować.

– Jedyńka, tu piątka. Skreślcie z listy jednego zbója – oznajmił triumfalnie pierwszy z bocznych.

– Mówi jedynka. Gratulacje. Transkootenay stawia.

– Tu szóstka... dopadliśmy drania!

– Jedyńka do wszystkich jednostek Star Risk. Odpłaciliśmy im za Elce. Wracamy do domu po oklaski.

– Sądzę, że mogłabym mieszkać albo w wielkim mieście, albo na odludziu – powiedziała Jasmine, gdy jechali ruchomym chodnikiem do głównego portu Glace. – W małym mieście oszalałabym z nudów.

– Myślisz o takiej metropolii jak ta? – spytał z niedowierzaniem Baldur.

– Oczywiście, że nie. Sheol też nie wchodzi w grę. Myślałam raczej o czymś w rodzaju Trimalchiona.

– No tak. Co do odludzia, przypuszczam, że nie chodzi ci o Walden czy inne życie w lesie. Mam nadzieję, że pewnego dnia zrobimy duże pieniądze i nie będziemy już musieli tłuc się po żadnych nędznych światach.

– Znudziłoby się to nam po miesiącu – powiedziała Jasmine.

– Zapewne.

Na Glace dolecieli, wykonawszy najpierw skok poza układ, po którym przesiedli się na jeden ze statków kurierskich Transkootenay.

Baldur stanął przy stercie ich nowych toreb i walizek w najlepszym gatunku, które zostały postarzone, aby uchodziły za własność często podróżującego bogacza. Potem ze stosownym obrzydzeniem przejrzał formularz celny. W rubryce „Cel wizyty” wpisał starannie: „badawczy”.

– Badawczy? – spytał urzędnik.

– Tak. Piszę skromną monografię na temat prymitywnych kultur osadniczych.

– Ma pan na myśli Glace?

Baldur tylko pociągnął nosem. Urzędnik poczerwieniał na twarzy i zastanowił się, czy nie przetrzepać gościowi bagażu, uznał jednak, że nie ma co się prosić o kłopoty. Wyładował więc całą złość, z hukiem podstemplowując wizę.

– I co to dało? – spytała Jasmine, gdy Baldur kazał bagażowemu zanieść wszystkie toboły do ślizgacza.

– W sumie nic. Może to skutek rozmowy i Trimalchiona. Oraz wspomnienia ziemskiego bordeaux i homara w sosie diabło?

– Cóż, chyba powinniśmy zaspokajać swe pragnienia? – zamruczała Jasmine, upewniwszy się, że portier stoi dość blisko, aby ich usłyszeć, i ostentacyjnie przylepiła się do Baldura, który uniósł brwi.

– Nie wchodzimy za bardzo w rolę? – zapytał. – W takiej sytuacji lepiej nie ulegać emocjom.

– I to właśnie jest miła strona pracy pod przykryciem – odparła Jasmine. – Cokolwiek człowiek zrobi, żeby utrzymać się w roli, przestaje się liczyć, gdy z tej roli wyjdzie.

Brwi Baldura prawie dotknęły linii rzednących z wolna włosów.

– Smakowało? – spytała Jasmine.

– Owszem – odparł Baldur. – Może poza głównym daniem. Niedobre wspomnienia.

Podano im kawior na tostach, raki, małe bulwy, być może ziemniaczki, w masełku, dziwne zielone warzywo, które było raz ostre, raz kwaśne, sałatkę ziołową i sery z winem deserowym.

Baldur, rozejrzawszy się po wynajętym penthousie,

przeniósł wzrok na światła rozciągającego się w dole miasta, a w końcu na swoją towarzyszkę, która miała już na sobie lekki jak mgiełka negligé.

– Najciekawsze jednak było towarzystwo – powiedział.

– Dziękuję – odparła Jasmine i upiła łyk wina. – Notabene, w starszych mężczyznach cenię to, że się nie spieszą.

– Nie mamy wyboru – stwierdził Baldur. – Upływające lata narzucają nam pewne ograniczenia.

– Niemniej i tak było miło, że nie rzuciłeś się na mnie, ledwie portier zostawił nas samych.

– Po co się spieszyć, jeśli naprawdę nie trzeba? Chociaż w wieku młodzieńczym myśli się inaczej.

– Racja – zgodziła się Jasmine. – Jednak młodość szybko mija. Ale, ale... musisz mi opowiedzieć, jakie to niedobre wspomnienia popsuły ci obiad. I dlaczego zamówiłeś to, co zamówiłeś.

Baldur westchnął.

– Byłem wtedy młodszym oficerem. Bardzo młodym. Udało mi się zaprosić na obiad pewną dziewczynę i gotów byłem wydać nawet miesięczny żołd, żeby nawiązać z nią romans. Przy stole zachowywałem się nienagannie, trzymałem jak trzeba poziom i sztucce, milczałem, kiedy należało milczeć. Jednak w pewnej chwili wpadłem na genialny pomysł i spróbowałem rozebrać jedną z langust, które wówczas jedliśmy. Podano je nam w sosie maślanym, były więc trochę śliskie i wymsknęła mi się z palców. Wzleciawszy z impetem, wylądowała na deserze pewnego admirała siedzącego przy sąsiednim stole. Deserem tym były pływające lody i ugarniowane skorupiakiem nie wyglądały apetycznie, a smuga sosu, która przecięła rząd

medali admirała, nie poprawiła mu humoru. Byłem zdruzgotany, toteż odprowadziwszy młodą damę do domu, nie skorzystałem z jej zaproszenia, lecz wróciłem do jednostki i zalałem się w trupa.

Jasmine roześmiała się.

– I dlatego przy każdej okazji zamawiam podobne dania nie tyle dla ich walorów smakowych, ile w nadziei, że uwolnię się wreszcie od tamtego wspomnienia. Wciąż jednak mi się to nie udaje.

Jasmine pochyliła się nad stołem i poklepała go po dłoni.

– Biedny Friedrich – powiedziała.

– Możesz mi mówić Freddie. I tak za moimi plecami mało kto mówi o mnie inaczej.

– Zauważę jednak, że są lepsze sposoby egzorcyzmowania takich wspomnień.

– Masz jakiś na myśli?

– Niewykluczone – zamruczała Jasmine.

Friedrich von Baldur wszedł do redakcji najbardziej brukowego holotabloidu na Glace i poprosił o rozmowę z szefem działu politycznego. Tego dnia włożył nieskalanie biały garnitur ze skromną, ale robiącą wrażenie rozetką medalową w klapie.

Recepcjonista zamrugął i przypomniawszy sobie nazwisko pewnego dziennikarza, który pisywał czasem o skandalach w świecie polityki, skierował Baldura do pokoju niejakiego Rica Knie.

Pomieszczenie pełne było wydruków, terminali, ekranów i raczej podłej jakości hologramów.

– Słucham pana? – spytał Knie.

Baldur wyjął podobiznę szefowej piratów, która

rozmawiała z Goodnightem.

– Chciałem zapytać, czy wie pan może, kim jest ta osoba – powiedział.

Knie spojrział na zdjęcie. Nie od razu zdołał ukryć zaskoczenie.

– Jeśli powiem – odezwał się po chwili – czy zdradzi mi pan w zamian, dlaczego pan pyta? Mało kto zjawia się w redakcji naszego szanowanego, znanego z rzetelności pisma, jeśli nie chodzi o taki czy inny skandal. Z oczywistych powodów jesteśmy zwykle zainteresowani takimi historiami.

– Możliwe, ale w swoim czasie – odparł Baldur.

– Oczekuje pan, że mu zaufam?

– Oczywiście. Jeśli pan tego nie powie, będę pytał gdzie indziej i pan oraz pańska redakcja nie będziecie na bieżąco, gdy sprawa wypłynie.

– Gdy wypłynie, a nie jeśli – mruknął Knie. – Zgoda, elegancki bezimienny panie.

– Wybaczy pan, że się nie przedstawiam – rzekł Baldur – ale obecnie moje nazwisko i tak nic by panu nie powiedziało.

– Ta kobieta na zdjęciu, a raczej symulacji portretowej, to Mar Trac zwana Straszna. Jest ministrem rozwoju w gabinecie cieni, niemniej jej partia rozgłasza na prawo i lewo, że niebawem wróci do władzy.

– Bardzo ciekawe – powiedział Baldur. – Chyba powinienem umówić się z nią na wywiad.

Chas Goodnight wbił oczy w stos mikrofiszek i rozejrzał się po sali konferencyjnej *Boopa* tak, jakby miał nadzieję na cud, który go od nich uwolni.

– Nie cierpię papierkowej roboty – powiedział.

– A kto ją lubi? – stwierdził Grok. – Czyż wszyscy nie chcemy być wolnymi duchami czekającymi na wiatr, który nas poniesie?

– Znowu czytałeś ludzką poezję? – spytała Riss.

– Prawdę mówiąc... – bąknął lekko zawstydzony futrzak.

– Zamiast przynudzać, pomóż mi wywęszyć kryjówkę tego przekłętego krążownika – powiedziała M'chel. – Coś mi mówi, że to będzie klucz do wszystkiego.

– Wiecie co? – odezwał się Goodnight, puściwszy mimo uszu wcześniejsze wątki. – Właściwie to nie ma powodu, żebym wysiadywał tutaj, na Mfirze, prawda? Mogę przestudiować te raporty gdziekolwiek. Ważne, abym znalazł w nich jakąś prawidłowość, która podsunęłaby nam pomysł, zgadza się?

– A co, masz już jakiś schemat? – spytała z nadzieją Riss. – Też wolałabym się ruszyć, może trochę zabawić. Na razie tylko Spada lata wszędzie ze swoimi i prosi się o kłopoty, a Freddie i Jasmine robią za bogaczy na Glace. My zaś utknęliśmy i na dodatek ten szemrany krążownik się schował. I nie mam z kim pić, gdy zabrakło Doe.

– To może zajmiemy się górnictwem? – spytał Goodnight.

– A co nam to da? – odezwał się Grok. – Zakładam, że myślisz o wystawieniu jakiegoś górniczego statku pułapki,

który będzie się szwendał w okolicy pasa w dyskretnej asyście naszych patrolowców. Jednak szansa, że piraci zaatakują taki marny cel, jest tak mała, że prawie jej nie ma. Nie wspominając o kłopotach, w które byśmy popadli, gdyby mimo wszystko zaatakowali, a Spada spóźniłby się z odsieczą.

– Nie myślałem o nas wszystkich – powiedział Goodnight. – Tylko o mnie i o M'chel.

– Mnie zostawilibyście tutaj, żebym odbierał telefony? – spytał Grok.

– Nic z tego, Chas – stwierdziła Riss. – Widzę, że masz kosmate myśli. Nigdzie nie polecę z tobą sam na sam.

– Nie, nie! – pospiesznie zaprotestował Goodnight. – Raz dałaś mi już po łapach i wystarczy. Przynajmniej chwilowo.

– A co właściwie mielibyśmy przez to osiągnąć? – zapytała Riss.

– Zasadniczo lepszy ogląd terenu – odparł Chas.

– Co bardzo by się nam przydało – mruknęła Riss.

– Poza tym ilekroć wybiorę się szukać kłopotów, zawsze szybko je znajduję.

– Racja – przyznała Riss.

– Oboje jesteście stuknięci – powiedział Grok. – Chas, szukasz po prostu wymówki, żeby się urwać i zażyć trochę adrenaliny. A ty, M'chel, wcale nie jesteś mądrzejsza. Po nim niczego lepszego nie oczekiwałem, ale ty mnie rozczarowujesz.

Riss nie zdążyła odpowiedzieć, bo rozległ się sygnał połączenia.

– Star Risk – powiedziała, podchodząc do konsoli.

Na ekranie pojawiła się twarz Baldura.

– Klucz 413 – powiedział i obraz się zamazał.

Riss dotknęła kontrolek.

– Klucz 413 – powtórzyła i Baldur wrócił na wizję. – Udało mi się zidentyfikować szefową Goodnighta – oznajmił bez wstępów.

Chas wstał i spojrzał Riss przez ramię.

– Witaj, Chas – powiedział Baldur i pokazał im jakieś zdjęcie.

– To ona – zgodził się Goodnight. – Na dziewięćdziesiąt pięć procent.

– Nie spodziewałem się po tobie podobnego błędu – stwierdził Baldur i opowiedział im o Mar Trac. – Jutro mam z nią spotkanie. Udam potencjalnego sponsora kampanii wyborczej jej partii, która podobno potrzebuje naprawdę sporych środków, jeśli ma wygrać najbliższe wybory.

– Jeśli to ona stoi za piratami... – odezwał się Grok – sama albo z innymi... to jakie może mieć plany? I co chcesz osiągnąć przez to spotkanie?

– Nie wiem, czy jej partia jest w to zamieszana – odrzekł Baldur – czy może Trac działa niezależnie od niej. Dowiem się jutro. A jeśli chodzi o drugie pytanie, to zamierzam powiedzieć jej bez ogródek, co wiem, i poczekać na reakcję. Chcę wsadzić kij w mrowisko.

– Mrowisko? – spytał Grok.

– To gniazdo pewnych ziemskich owadów. Żyją w koloniach. Gdy ktoś je rozdrażni, hurmem go gryzą – wyjaśnił Baldur.

– Nie zapominaj o tym jutro – powiedziała Riss.

– Nie zapomnę.

– Ale czegoś tu nie rozumiem – mruknęła M'chel. – Po co poszedłeś do tego szmatławca? Czy na Glace nie ma

niczego lepszego?

– Rozmyślnie wybrałem „Scandal”. Po pierwsze, polityka to nie ich poletko i nie znają się na niej. Nie chcę, żeby ktoś zaczął w tym węszyć, póki nie będę gotowy. Po drugie, z miejsca przyjęli, że jestem takim samym draniem jak oni, nie powiążą mnie więc z tym, co robimy na Mfirze, jak długo sprawa nie stanie się głośna.

– Skoro tak mówisz... – rzekła sceptycznym tonem Riss.

– A przy okazji, Goodnight ma pomysł.

– Zdradź mi go, młody człowieku – powiedział Baldur.

– Chcę kupić statek – zaczął Chas – i poszukać szczęścia jako górnik. Szczęścia, czyli kłopotów i kontaktów. Wezmę ze sobą Riss.

– I co to da? – spytał nieufnie Baldur.

– Cóż... lepsze rozpoznanie terenu – odparł Goodnight. – Po drugie, coś mnie niepokoi w tych raportach i nie mogę ustalić, co to takiego.

– Nieco naciągane powody – stwierdził Baldur.

– Może – zgodził się Chas. – Jednak mój brat pomyśli, że naprawdę coś robię albo przynajmniej szukam tematu, i na jakiś czas nam odpuści.

– To rozumiem – rzekł Baldur. – Przekazałem mu właśnie sprawozdanie z naszych postępów, oczywiście bez żadnych nazwisk. – Zastanowił się. – Dobrze. Dlaczego nie. Musisz się tylko postarać o jakąś łajbę. Wybierz się do tej firmy, w której kupiliśmy patrolowce. Jest poza tym układem. Coś na pewno tam znajdziesz i wróćcie z Riss jako osoby z zewnątrz. Jak pamiętam, obsługiwała nas tam niejaka Winlund. Handlowała już z Transkootenay.

– Dzięki – powiedział Goodnight, zaraz jednak zmarszczył czoło. – Nie chciałbym mieszać, ale Reg

wspomniał mi kiedyś, że gdy pewnego razu zwrócił się do tej firmy, jego szefowie się wkurzyli. Powiedział, że bardzo dawno już z nią nie handlowali i teraz mają innego dostawcę. Centrala opieprzyła go za samowolę.

– Chwalebna ostrożność – pochwalił go Baldur. – Powinniśmy teraz chodzić na paluszkach. Leć tam, ale zapłać z naszego konta. Akurat stać nas na to, żeby obciążyć Transkootenay z opóźnieniem. – Nagle coś go zafrasowało.

– O co chodzi? – spytał Goodnight.

– Nic. Coś mi przyszło do głowy, ale umknęło. Jeśli to ważne, wróci. Bawcie się dobrze, dzieci. I jeszcze jedno: w razie kłopotów to Riss dowodzi. Jest o wiele rozważniejsza niż ty. Wzbogaćcie nas i miłych kłopotów. Bez odbioru.

Ekran pociemniał.

– No i się porobiło – powiedział Grok. – Was czekają przygody, a ja tu z nudów powyłamuję sobie wszystkie cztery kciuki. Może chociaż zostawicie mi raporty o spotkaniach z piratami? Bez obrazy, Chas, ale mam bardziej analityczny umysł niż ty.

– Nie – stwierdził Goodnight. – Możesz być lepszym analitykiem, ale tu trzeba czegoś więcej.

– Czego?

– Duszy kryminalisty.

Limuzyna leciała nad starannie utrzymanymi sadami, nawodnionymi łąkami zbóż i łąkami porośniętymi na oko ziemską trawą. Pasły się na nich zwierzęta przypominające kudłate krowy, były jednak od nich wyższe, miały masywniejsze nogi i skierowane do przodu ostro zakończone rogi.

– Cnota jest oczywiście nagrodą samą w sobie – powiedziała Jasmine, podziwiając okolicę.

Ekran wygłuszający między nimi a pilotem był oczywiście włączony, oboje wiedzieli jednak, że to wcale nie wyklucza podsłuchu.

– Widocznie wybraliśmy zły zawód – stwierdził Baldur.

– Może pewnego dnia dobrze byłoby się postarać o podobne włości. Te pola ciągną się chyba bez końca. Chociaż nie. Chyba już widzę cel naszej podróży.

Limuzyna wylądowała obok nieregularnego drewnianego ogrodzenia. Baldur zwrócił uwagę na stojące tu i ówdzie automatyczne wieżyczki strażnicze. Nie wymagały komentarza.

Budynki za ogrodzeniem też były niezwykle. Wkopano je głęboko w ziemię i ich dachy wystawały nie więcej niż dwa do trzech metrów nad poziom gruntu.

– Świetnie okopane, dobra osłona przeciwlotnicza – mruknęła King. – Ewidentna oznaka czystego sumienia.

Baldur wysiadł, udając, że oszczędza jedną nogę, i podpierając się ciemną laską.

Na spotkanie wyszło im aż czterech ludzi. Wyglądali na zawodowców. Zwłaszcza że żaden, jak się zdawało, nie

nosił broni.

Baldur zauważył, że poruszyła się jedna z wieżyczek, i zrozumiał, że wcale nie musieli chodzić uzbrojeni. Działko wystarczało aż nadto, chociaż ochroniarze mogli się czuć nieswojo. Niemniej i za to najpewniej im płacono.

– Panie Kligner, witamy w domu Mar Trac – powiedział jeden z mężczyzn. Zmierzył King spojrzeniem, uznał ją za wynajęty dodatek do gościa i zignorował.

– Tak. Oto moja towarzyszka i doradca, Choly Wells – odparł Baldur, kładąc nacisk na słowo „doradca”.

Mężczyzna raptownie zmienił nastawienie wobec King.

– Proszę do środka – powiedział. – Jest gorąco i zapewne będą państwo mieli ochotę wypić coś zimnego.

– Istotnie – przyznał Baldur i ruszył za ochroniarzami. Dwóch szło przodem, dwóch zamykało pochód.

Przeszli przez wielkie, ręcznie rzeźbione drzwi, za którymi znajdował się jakiś metalowy łuk.

Pierwszy mężczyzna gestem poprosił Baldura, żeby przeszedł pod łukiem, który bez dwóch zdań musiał być wykrywaczem broni i zapewne nie tylko.

Baldur swobodnie oparł laskę o ścianę i przeszedł przez bramkę z rozpostartymi rękami. Rozległo się uspokajające metaliczne kliknięcie. King ruszyła za nim i również została zaaprobowana.

Baldur wziął laskę, w myślach obniżył ochroniarzom ocenę za brak spostrzegawczości i wszedł za nimi do przestronnego salonu.

Rezydencję urządzono w bardzo męskim stylu – dominowało w nim ciemne drewno i skóra. King zastanowiła się, czy zdecydował o tym gust Trac, chęć uzyskania przewagi podczas różnych biznesowych rozmów

z mężczyznami, czy może po prostu kupiła dom w takim stanie.

Jakiś mężczyzna, który się nie przedstawił, zaproponował gościom alkohol. Podziękowali. Uśmiechnął się lekko i nalał im schłodzonego soku owocowego.

Wypili w milczeniu. Ochroniarze nie próbowali ich zagadywać i Baldur postawił im za to kolejny minus.

Byli już w połowie poczęstunku, gdy gospodyni, zdecydowawszy się na efektowne wejście, pojawiła się na szczycie bogato zdobionych schodów.

– Panie Klinger, panno Wells, jestem Mar Trac – powiedziała. Nosiła prosty, ale bardzo drogi szary kostium i ciemne buty. Włosy miała krótkie i starannie wymodelowane. Z biżuterii widać było tylko parę drobnych kolczyków i zdumiewająco wielki staromodny zegarek na prawym nadgarstku.

– Miło mi panią poznać – powiedział Baldur.

– Pana asystentka przekazała mi, że chcecie rozmawiać o czymś, co być może mnie zainteresuje.

Baldur spojrzał znacząco na ochroniarzy. Trac odprawiła ich ruchem dłoni.

– Na pewno wyda się to pani warte uwagi – zapewnił ją, siadając spokojnie w jednym ze skórzanych foteli. – Zacznę jednak od tego, że moja współpracowniczka skłamała. Naprawdę nazywam się Friedrich von Baldur i jestem szefem firmy Star Risk. Może już pani o nas słyszała.

Trac prawie się nie zdradziła.

– Nie, nie słyszałam – odrzekła, zbliżając lewą dłoń do zegarka.

– Proszę nie wzywać ochroniarzy – powiedział Baldur. – Zapewniam, że nie zamierzamy pani zrobić krzywdy.

Przynajmniej nie teraz.

– Dobrze – stwierdziła Trac. – Słucham. Macie państwo minutę. Potem zostaniecie wyproszeni.

– Przede wszystkim chcę poinformować, że powiadomiłem o naszej wizycie kilku dziennikarzy, zatem postąpiłaby pani nierozsądnie, uciekając się wobec nas do przemocy.

– Jestem politykiem, nie osiłkiem do wynajęcia, jak pan – odparła Trac.

– Jest pani też jednym z konspiratorów odpowiedzialnych za zbrodniczą działalność prowadzoną w pasie asteroid.

– To kłamstwo!

– Nie, to nie jest kłamstwo – powiedział Baldur. – Ale zostawmy na razie tę kwestię. Przybyłem w dwóch innych sprawach. Po pierwsze, aby ostrzec panią, że jesteśmy blisko. Lada chwila możecie poczuć nasz oddech na karku. Po drugie zaś mam nadzieję się dowiedzieć, co zamierzacie osiągnąć poprzez spisek, który drastycznie destabilizuje politycznie ten układ.

– Widzę, że pan mnie nie słucha – syknęła Trac. – Nie mam pojęcia, o czym pan mówi, i żądam, aby natychmiast opuścił pan mój dom.

Baldur wstał.

– Dziękuję, że poświęciła mi pani czas – rzekł Baldur.

– Radzę panu nie powtarzać nigdzie tych kłamstw – powiedziała Trac. – W przeciwnym razie będzie się pan musiał liczyć z surowymi konsekwencjami prawnymi.

– Dziękuję za sugestię. W zamian też coś pani doradzę. Układ Foley nie wykreślił z kodeksu karnego tego barbarzyństwa, jakim jest kara śmierci. Przewiduje się ją

między innymi za spisek w celu popełnienia morderstwa oraz samo morderstwo, nie wspominając już o zdradzie stanu. Niech się pani przygotuje na nieuniknione, bo jak amen w pacierzu, stanie pani przed sądem.

– A pan, panie... Beller, od dziś powinien bardzo na siebie uważać – syknęła Trac, rozmyślnie przekręcając jego nazwisko.

Baldur skinął jej głową i wraz z King wrócił do limuzyny.

– Szybko poszło – zauważył pilot.

– Przypuszczałem, że tak się stanie – powiedział Baldur.

– Czy będzie pan tak uprzejmy i zachowa w drodze powrotnej jak najniższy pułap i jak największą szybkość?

– Jasne. Dlaczego?

– Nie chciałbym zasiać w panu niepokoju, mówiąc o sprawach, które nie należą do przyjemnych.

– Nie musi pan – stwierdził kierowca. – Mój brat służy w jednostce przeciwlotniczej. I wiem, że mieszka na Glace trochę ludzi, którzy mają własne myśliwce albo artylerię pelot. Chciałby pan, żebyśmy pilnowali się przed ogniem z ziemi?

Limuzyna wystartowała.

– To może być całkiem dobry pomysł – powiedział Baldur i uśmiechnął się do King. – I co myślisz o naszym krótkim spotkaniu?

– Nie wydaje mi się, żebyśmy osiągnęli cokolwiek poza rozwścieczeniem Trac.

– Na początek to już coś. Złość osłabia intelekt. Poza tym przy pogodnej aurze zdarza się, że nawet w takiej wspaniałej posiadłości zalęgną się pluskwy i inne paskudne stworzonka.

– Ciekawa jestem, co pomyśli o twoim postępku Reg Goodnight. No i całe Transkootenay.

– To bez wątpienia ciekawe – zgodził się Baldur. – Chociaż nie tak bardzo jak perspektywa dzisiejszego obiadu. Patrząc na to bydło, nabrałem ochoty na obsmażaną wołowinę. Może być w czarce z ciasta.

– Przez chwilę wydawało mi się, że powiesz jej, jak kiepskich ma ochroniarzy – zauważyła Jasmine. – Nie sprawdzili twojej laski.

– Jak mawiał pewien dawny ziemski komediant, „Nie ucz durnia myśleć”. Mówiłem to już nie raz i na pewno nie raz powtórzę.

Grok warknął, co w jego wypadku było odpowiednikiem ziewnięcia. Czując, że zdrętwiał, uświadomił sobie, że jego przyjaciel z Wydziału Badań Sojuszu nie odezwie się jeszcze przez kilka godzin. Wstał więc zza konsoli, przeszedł przez służbę, włączył alarm i skinąwszy głową jednemu ze strażników, opuścił teren Star Risk.

Znudzony ruszył ulicami Sheolu. Zawsze była szansa, że napotka tu jakiegoś pijanego górnika, który zechce go obrazić. Gdyby mu się jednak nie poszczęściło, była jeszcze w okolicy mała knajpka, w której podawali wyśmienity bulion warzywny.

Był w połowie drogi, gdy rajderzy uderzyli na miasto.

Grok padł na ziemię i schował się za ślizgacz. W samą porę. Ulicą, ledwie parę metrów nad ziemią, nadleciały jednostki bandytów, prażąc ze wszystkich działek.

Chwilę później posypały się bomby. Wkoło zachrzęściło rozbite szkło, wiele budynków rozsypało się w gruzy.

Przeciwnicy nadlecieli w dwóch regularnych kluczach. Ich podstawowym celem była dzielnica górnicza. Przeszli nad nią raz, nabrali wysokości, zawrócili i przeszli ponownie, tym razem wybierając konkretne cele.

Za nimi leciał krążownik. Zdawał się poruszać o wiele wolniej, wręcz majestatycznie, w rzeczywistości jednak mknął z tą samą szybkością co patrolowce.

Jego dziób spowiły nagle kłęby dymu i na miasto runęła salwa rakiet. Wielki kadłub zakołysał się od podmuchu, pilot skorygował kurs i krążownik oddał następną salwę.

Grok uniósł głowę akurat w porę, aby ujrzeć, jak

jednostki przeciwnika wtapiają się w niebo i odlatują.

Kilka sekund później nad miastem pojawiły się dwa patrolowce Star Risk. Na ulicach zawyły syreny, rozległy się donośne krzyki rannych.

Wkoło snuły się kłęby dymu, w wielu miejscach widać było płomienie. Gdzieś coś eksplodowało.

– Trochę za późno, przyjaciele – mruknął Grok. – Ale dla was może i dobrze.

Wstał i pożegnał się z bulionem. Jeśli Reg Goodnight przeżył atak, to pewnie odezwie się niebawem, żeby wylądować na kimś złość.

Poza tym reszta ekipy powinna się jak najszybciej dowiedzieć, że Murgatroyd nie oddał pola. Z drugiej strony Grok nie miał pojęcia, co za sukinsyn nakazał coś tak bezsensownego jak ten nalot.

Baldur i King kończyli obiad, który Friedrich uznał za wystawny, choć znośny.

– Życie na Trimalchionie cię zepsuło – powiedziała King.

– To nie tak. Zawsze lubiłem smacznie zjeść. Nawet gdy musiałem korzystać z dobroczynnej garkuchni. A nawet z wojskowych racji żywnościowych.

– Minęły już trzy dni od spotkania z Trac – zmieniła temat Jasmine. Dlaczego ciągle tu jesteśmy?

– Sam nie wiem – odparł Baldur. – Po prostu mam wrażenie, że nie w pełni wykorzystaliśmy sytuację i że coś jeszcze może się zdarzyć.

King chciała go jeszcze o coś spytać, gdy dostrzegła, że w ich stronę idzie jakiś mężczyzna. Był wysoki, niemal chorobliwie chudy, ale miał szeroką klatkę piersiową i duże dłonie. Zdawał się lekko kuleć, a jedna strona jego twarzy nosiła ślady rekonstrukcji.

– Kłopoty – zdążyła tylko syknąć Jasmine, a mężczyzna stał już obok i unosił ręce w uniwersalnym geście „przybywam w pokoju”.

– Dobry wieczór, Jasmine – powiedział niskim, lekko chropawym głosem. Widocznie chirurgom nie udało się odtworzyć jego strun głosowych. – Pułkowniku von Baldur.

Baldur uśmiechnął się uprzejmie i rzekł:

– Nie wierzę, że spotkał mnie ten zaszczyt, sir.

– To jest Walter Nowotny – wyjaśniła King i mimo że się starała, zabrzmiało to nader twardo. – Mój były bezpośredni przełożony w Cerberus Systems.

– Aha – powiedział spokojnie Baldur. – Zechce pan do nas dołączyć? Mają tu świetną brandy, taką, co to dojrzewa latami w prawdziwych drewnianych beczkach po wzmocnionym winie.

– Z przyjemnością.

Baldur wezwał kelnera i złożył zamówienie.

– Jak tam w nowym miejscu? – spytał Nowotny, patrząc na Jasmine.

– Dobrze.

– Dzięki twojej decyzji otrzymałem awans i nowy przydział operacyjny.

– Przykro mi to słyszeć.

– Rozumiem, Jasmine, że mamy różne charaktery, ale jako zawodowcy powinniśmy być zdolni działać razem.

– Nie sądzę – rzuciła King. – Jesteś zbyt zimnym draniem, żebym poczuła się przy tobie swobodnie.

Nowotny cmoknął z dezaprobatą i sięgnął po swój kieliszek.

– Ma pan rację, pułkowniku – napomknął. – Wspaniała brandy, chociaż obawiam się, że moje kubki smakowe nie pozwalają mi docenić jej w pełni.

– Nowotnego postrzelił kiedyś w twarz jeden z jego agentów – powiedziała King. – Zrobił to, usłyszawszy, że Cerberus postanowił go wystawić. Wcześniej skaperowali tego człowieka, żeby zdradził własny rząd. I zostawili. Co do utykania, to nie wiem, jaka zdrada się do tego przyczyniła.

Nowotny wzruszył ramionami.

– Nie przewidziałem czyjejś gwałtowności i zapłaciłem za ten błąd. I już go nie powtórzę – dodał jeszcze chrapliwszym głosem.

– Ponieważ stał się pan powodem wzburzenia mojej koleżanki, czy mógłbym prosić o wyłożenie sprawy, która pana tu sprowadziła? Nie chcę być nieuprzejmy, ale samopoczucie panny King jest dla mnie ważniejsze niż konwenanse.

– Oczywiście – odparł Nowotny. – Będę się streszczał. Gdy Transkootenay was wynajęło, w Cerberusie wszyscy pokładali się ze śmiechu. Uważaliśmy, że chwyciliście zbyt wielki kęs. Niemniej wasze brawurowe wysiłki nas zdumiały. Radziliście sobie o wiele lepiej, niż ktokolwiek mógł oczekiwać. Obecnie jednak sytuacja trochę się zmieniła. Na gorsze. Nie sądzimy, aby przy tej skali zdarzeń Star Risk zdołał opanować sytuację.

– Doprawdy? – spytał obojętnie Baldur.

– W układzie Foley można wiele zyskać. Nie dotyczy to tylko miejscowych, ale także ludzi i firm z zewnątrz.

– W tym Cerberusa – powiedział Baldur.

– Oczywiście – odparł Nowotny.

– Więc to wy stoicie za raj derami?

– W żadnym razie! – odparł Nowotny z niekłamany przerażeniem. – Cerberus nie prowadzi interesów w ten sposób. Przyznam jednak, że jest zainteresowany rozwojem wydarzeń, co z czasem stanie się zapewne powszechnie wiadome.

– Zatrudniła was Mar Trac i jej współspiskowcy?

Nowotny uniósł brwi.

– Słyszałem to nazwisko, ale nic więcej – stwierdził. – Przynajmniej na razie.

– Nie wiem, czy powinienem panu wierzyć – rzekł Baldur. – Ale słucham propozycji. Bo rozumiem, że zjawił się pan z konkretną propozycją?

– Dobrze – powiedział Nowotny. – Przejdę do konkretów. Sądzę, że Star Risk uzyskał już sporo w zamian za swoje usługi. Macie obecnie kilka milionów kredytów na różnych kontach.

Baldur nie odpowiedział.

– Moglibyście uznać – ciągnął Nowotny – że pora wycofać się z układu Foley pod takim czy innym pretekstem. W tej chwili nic byście na tym nie stracili. Zachowalibyście też twarz i dobrą pozycję na rynku małych firm, z którymi konkurujecie. Zwłaszcza że ostatnio Transkootenay nie jest zadowolone z waszych osiągnięć. Zgadza się?

– Nie będę tego komentował – odparł Baldur.

– Pytanie tylko, czy Cerberus was do tego nakłoni, zanim sytuacja zrobi się zbyt poważna i znajdziecie się wszyscy w prawdziwym niebezpieczeństwie.

King chciała coś powiedzieć, ale ugryzła się w język.

– Cerberus gotów jest ułatwić wam podjęcie decyzji – kontynuował Nowotny. – Podwoimy stan waszych kont i zwrócimy wszystkie koszty, które mogą wyniknąć podczas zwijania operacji.

– To szczodra propozycja – stwierdził Baldur.

– Zakładam, że przekona pan resztę zespołu do jej przyjęcia – powiedział Nowotny z uśmiechem.

– Może by ją i przyjęli, jednak nie zamierzam jej im przedstawić. Zostaliśmy wynajęci do tej roboty i albo ją wykonamy, albo klient podziękuje nam za usługi.

– To nie jest najrozsądniejsze podejście.

– Zapewne nie – przyznał Baldur. – Jednak zamierzam się go trzymać.

Nowotny dopił brandy i wstał.

– Naprawdę sędzę, że powinien pan... że powinniście się jeszcze zastanowić – powiedział. – Być może nadchodzące zdarzenia zmienią waszą opinię. A może Cerberus powinien się zwrócić bezpośrednio do pana wspólników?

Baldur kiwnął energicznie głową. Nowotny ponownie się uśmiechnął i odszedł, nie spoglądając za siebie.

– Obiecuję, że nie powiem innym, jak etycznie się zachowałeś, odrzucając propozycję Nowotnego i każąc mu się odwalić – powiedziała Jasmine, gdy szli przez hotelowy hol.

– Tu nie chodziło o etykę, lecz o profesjonalizm – odparł Baldur. – Poza tym jestem przekonany, że Cerberus znalazł sposób, aby nie wywiązać się z zobowiązań. Niemniej groźbę Nowotnego powinniśmy traktować poważnie.

Przepraszająco skinął jej głową i podszedł do recepcji.

– Tak, pułkowniku Baldur? – spytał gładki, egzaltowany garniturowiec.

– Chcielibyśmy dostać się do naszego apartamentu innym wejściem niż główne. Na przykład serwisowym albo schodami awaryjnymi.

– Przykro mi, ale to niemożliwe, aby goście...

Po kontuarze prześlizgnął się banknot.

– Tak, panie pułkowniku – zmienił ton recepcjonista. – Chętnie pomogę. Zaraz powiem komuś, aby przyniósł klucz uniwersalny.

– Jesteś paranoikiem?

– Po spotkaniu z tym toksycznym draniem wszelka paranoja przeszła mi jak ręką odjął – powiedział Baldur, wsuwając kartę klucza uniwersalnego w szczelinę przy drzwiach serwisowych. Od głównego wejścia oddzielał je

zakręt korytarza.

– A czego oczekujesz? – spytała Jasmine, gdy Baldur otworzył drzwi.

Nie zdążył odpowiedzieć, gdy pokojem wstrząsnęła eksplozja. Jasmine omal nie upadła. Baldur złapał ją w ramiona, osłaniając przed rykoszetującymi przedmiotami. Ściany chwiały się jak pijane, w powietrzu unosił się pył.

Pchnął Jasmine na podłogę i nakrył ją własnym ciałem.

Po chwili, nie doczekawszy się kolejnej eksplozji, usiadł i pomógł Jasmine unieść się z podłogi. Była przerażona.

– Oczekiwałem czegoś prostszego – powiedział. – Tymczasem to był chyba zapalnik barometryczny. Zareagował na zmianę ciśnienia, gdy otworzyłem drzwi. Na szczęście serwisowe. Wybuch na pewno był ukierunkowany na główne.

Na korytarzu rozległ się tupot licznych stóp.

– Teraz musimy odegrać zdziwienie i przerażenie, jak na niewinne ofiary zamachu przystało.

– Gdy ktoś w cywilizowanym społeczeństwie spróbuje cię zabić, najgorsze jest potem składanie zeznań – powiedział Baldur, podchodząc do okna ich nowego apartamentu. Spojrzał na wschodzące słońce i ziewnął. – Policja, tajna policja, prasa, Grok. Wszyscy chcą usłyszeć, co się stało. A skąd ja mam to wiedzieć? Brak mi nawet pewności, że ta bomba miała zabić właśnie nas.

– To chyba było ostrzeżenie – powiedziała Jasmine, wciąż jeszcze drżącym głosem.

– Najpewniej. Właśnie czegoś takiego spodziewałem się po Cerberusie. Albo Mar Trac. – Spojrzał na Jasmine. – Dobrze się czujesz? Nie udało im się nas załatwić. Myślę,

że pod zmienionymi nazwiskami jesteśmy tu bezpieczni. Przynajmniej tę noc... która właśnie się skończyła. Wieczorem będziemy już w drodze do domu.

– Nie – powiedziała Jasmine. – Cerberus pierwszy raz próbował mnie zabić. Nie zamierzam siedzieć spokojnie i żartować z tego, co się stało. Chcę dopaść tego popieprzonego Nowotnego i skończyć to, co zaczął tamten agent. Odstrzelić draniowi resztę twarzy.

– Niemniej sen zwikłane węzły trosk rozplata i tak dalej...

– Nie. Nie chcę spać.

– To może zaproponuję ci na uspokojenie coś innego? – rzekł Baldur. – Co prawda... nasza maskarada dobiegła końca i powinniśmy zachowywać się odpowiedzialnie, ale...

Jasmine podeszła do okna, kilka razy głęboko odetchnęła i się odwróciła.

– Tak. Myślę, że potrzebuję właśnie czegoś takiego.

– Mogę o coś spytać?

– Możesz – powiedział Chas, siedzący przed jednym z dwóch paneli kontrolnych statku górniczego.

– Ciągłe tu przesiadujesz i czytasz te raporty – zaczęła Riss. – A kiedy ich nie czytasz, ćwiczysz w ładowni ze skałami. Statek pilotuje się prawie sam. Skoro tak, to po co ja tu jestem? Mogłabym zostać w Sheolu i szukać tego pieprzonego krążownika.

– Dlaczego? Choćby dlatego, że jesteś atrakcyjniejsza niż jakikolwiek znany mi autopilot. Poza tym mogę potrzebować kogoś za plecami.

– Cóż za skromność – prychnęła Riss. – Nie wiedziałam, że bester może w ogóle kogoś lub czegoś potrzebować.

– Poza mnóstwem protein i świeżymi bateriami zazwyczaj rzeczywiście niczego nie potrzebujemy. Czasem jednak może się przydać osoba zdolna przemówić mi do rozumu. Zakładając oczywiście, że go mam.

Statek kupili w sąsiednim układzie. Jednostki górnicze drogie były tylko po pierwszym wyjściu ze stoczni. Średnio używane znacznie traciły na wartości, bo nie brakowało ich na rynku wtórnym. Ci, którym się powiodło, sprzedawali je i kupowali lepsze, banki zaś szukały nabywców na łajby pechowców.

Statek, nazywany ironicznie *Golcem*, był owoidem osadzonym na długich, wysuwanych nogach. W centralnej części kadłuba mieściła się wielka śluza z hydrauliczną platformą pozwalająca na za – i wyładunek sprzętu oraz rudy. Centrala oraz pomieszczenia załogi znajdowały się w

kopulastym przedziale na samym dziobie.

Był nieduży, długi ledwie na siedemdziesiąt pięć metrów, i brzydki, jak inne jednostki tej klasy.

Po zakupie postanowili go uzbroić. Dodali parę wyrzutni w zamontowanych na kadłubie osłonach oraz działo kalibru czterdzieści milimetrów schowane na dziobie pod cienkim maskowaniem.

Riss zdecydowała, że weźmie przykład z Goodnighta, i poszła do ładowni poćwiczyć kilka godzin. Miała nadzieję, że podświadomość podsunie jej nowe spojrzenie na działania Murgatroyda, zwłaszcza w kwestii krążownika i jego tajnej bazy.

Zastanowiła się, czyby nie pomedytować, uznała jednak, że zbyt długo spokojnie nie usiedzi. Wsunęła się więc w skafander i poszła na spacer.

Spacer był trochę dziwny, bo po powierzchni asteroidy z niemal zerową grawitacją, ale zawsze. Goodnight znalazł ten miniaturowy świat i zostali na nim, odkrywszy całkiem zgrabną kopalnię z wygasłym prawem własności.

– Chyba właśnie o coś takiego nam chodziło, nie sądzisz? – zapytał.

M'chel znalazła w jednej z kabin podręcznik górnictwa, przestudiowała go i zabrała się do reaktywacji pozostawionego na asteroidzie sprzętu.

– Naprawdę myślisz, że coś znajdziemy? – spytał Goodnight. – Jeśli tak, połowa dla mnie.

– Na jedno i drugie odpowiedź negatywna.

– To po co się męczysz? – zdziwił się.

– A dlaczego nie?

Riss mogłaby mu odpowiedzieć, że od zawsze ciągnęło ją do poznawania rzeczy, o których nie miała zielonego

pojęcia. W czasach nudnej służby studiowała po kolei fotografię, sztukę użytkową, rachunkowość, metodologię badań historycznych i nauczyła się nawet grać w ping-ponga, chociaż nic z tego nie było dla niej szczególnie użyteczne.

Niemniej jeden dzień wiercenia, wysadzania, zbierania i ładowania skały przekonał ją, że gdyby bieda przyparła ją do muru, prędzej zajrzałyby do garkuchni dla ubogich niż do kopalni.

Umyła się, ledwie tolerując ultradźwiękowy prysznic, który stosowano tu z niedostatku wody. Potem poszła do centrali i powiedziała, co myśli o górnictwie.

– Nie wychodź jeszcze – rzucił Goodnight, gdy skończywszy, obróciła się na pięcie. – Chyba coś znalazłem.

– Wydawało mi się, że trafiłeś na coś już trzy dni temu, gdy próbowałeś dojść, kto omal nie załatwił Freddiego i Jasmine. O ponad czterystu ofiarach nalotu na Sheol nie wspominając.

– Myliłem się – przyznał. – Ale nie wypominaj mi tego, tylko usiądź w fotelu i spójrz na ekran. – Przyciemnił światła i na ekranie pojawiła się wielka mapa pasa asteroid. – Przyjrzyj się temu. Czerwone kropki to miejsca ataków. Zdają się nie tworzyć żadnego wzoru, który mógłby nas naprowadzić na ślad bazy. Wszędzie, poza tym jednym miejscem. Widzisz ten kawałek na skraju pasa? Żadnych kropek.

– Bo może tam nie ma żadnych górników? – zasugerowała Riss.

– Sprawdziłem to. Teraz dodaję zielone kropki, które oznaczają zgłoszone znaleziska. Te dane uzyskałem w

Odpoczynku Górnika. Rega Goodnighta nie fatygowałem. Już wcześniej powiedział mi, że dotąd nie udało im się odtworzyć zapisków zniszczonych podczas eksplozji, a dotarcie do pierwotnych zgłoszeń, przechowywanych zapewne gdzieś na Glace, byłoby drogą przez mękę. Wykorzystałem więc to, co było pod ręką. Potem oznaczyłem jeszcze na niebiesko działające instalacje przetwórcze. W tym rejonie są dwie. Mieszczą się na asteroidzie 47 Alfa, wraz z portem frachtowym i innymi górniczymi udogodnieniami. Co znaczy, że jest tam trochę eksploatowanych złóż. Całość wydaje się bez sensu, prawda?

– Owszem – stwierdziła Riss. – Chyba że tam właśnie jest baza rajderów.

– Mnie też to przyszło do głowy. Sęk w tym, że nie ma tam miejsca, w którym można by ją założyć.

– I znalazłeś inne wytłumaczenie?

– Właśnie. Przestępca zrozumie przestępcę – powiedział Goodnight. – W tym fachu można się wzbogacić na dwa sposoby. Jeden to rabunek bezpośredni, drugi zaś wiąże się z rabunkiem potencjalnym.

– Genialne, panie profesorze. Sama też bym na to wpadła.

– Jednym z najmniej fatygujących sposobów jest reket, czyli wymuszenie zapłaty za tak zwaną ochronę – ciągnął Chas, ignorując uwagę M'chel. – Zapłać mi, a nie porwę twojego dziecka, nie podpale twojego sklepu, nie ukradnę twoich klejnotów i tak dalej. W skrajnych wypadkach oznacza to rzeczywistą ochronę przed innymi, oczywiście słabszymi grupami przestępczymi. Najczęściej chodzi jednak o zwykłe zastraszanie.

– Sugerujesz, że ten sektor nie był atakowany, ponieważ...

– Ponieważ ktoś tam opłacił się rajderom. Zapewne nawet nie jedna osoba, ale cała grupa.

– Może warto przyjrzeć się tej okolicy z bliska i trochę namieszać? – powiedziała Riss.

– Może – zgodził się Goodnight. – To kilka dni drogi stąd.

– A co z naszym stanowiskiem?

– Skoro raz już zostało porzucone, możemy nawiązać do tradycji.

– Zapomniałem, jak nudne są loty wewnątrzukładowe – jęknął Goodnight. – Zwłaszcza taką łajbą jak *Golec*.

– Biedaczek – zagruchała M'chel. – Chłopczykowi znów się marzy kariera wielkiego złodzieja diamentów przemykającego wśród gwiazd z uśmiechem na ustach, pieśnią w sercu i pełnymi portkami?

– Cóż – prychnął Chas. – Jak właściwie szuka się złóż? Ale takich prawdziwych, które można by zgłosić. A może wybierzemy coś, co ktoś już napoczął, jak za pierwszym razem? I tak nigdy tego nie sprawdzą.

– Nie jestem taka pewna.

– Niech tam. Chociaż to byłaby już praca. Ale wróćmy do sprawy. Jak zabrać się do szukania?

– Według mojego poradniczka, aby odkryć złożę rudy o znaczeniu przemysłowym, należy zwracać uwagę na masę asteroid w proporcji do ich wielkości, cytuję: „Wypełnione cięższymi metalami dadzą na miernikach odczyt 543 albo wyższy. Optycznie takie asteroidy wyróżniają się szarawą lub zielonkawą barwą z prążkowaniem w kolorach od

szarości do czerni", koniec cytatu.

– Wspaniale – mruknął Goodnight. – Patrzą tak na tę skałę przed nami i według mnie jest całkiem czarna. Ale dobrze, mamy tu jakiś miernik z ekranem. Nawet działa. Teraz nakieruję okienko na skałę... Mamy odczyt między 220 a 215. I co teraz? Podejść do kolejnej skały i znowu sprawdzić?

– Tak sugerują w książce.

– Ruszamy – stwierdził Goodnight. – Zbliżamy się. Zawisamy. Sprawdzam. Odczyt 185. Jezu, to równie fascynujące jak obserwacja wyścigu ślimaków.

– Do czasu, aż znajdziemy coś wartego uwagi. Wtedy...

– Może. Ale straciłem już serce do tej roboty.

W końcu znaleźli wirującą leniwie asteroidę, która dawała pozytywny odczyt. Tyle że obserwacja nie potwierdzała, że coś można na niej znaleźć.

Riss na wszelki wypadek zrobiła kilka odwiertów. Okazało się, że traci czas.

Polecieli dalej.

– Nie do wiary – powiedział Goodnight. – Odczyt 784 i wygląd jak z ilustracji szkoleniowej. Jestem pod wrażeniem. Co teraz?

Odlamek zniszczonej planety był ledwie pięć czy sześć razy większy od ich statku.

– Włożymy skafandry, wylądujemy na niej i pobierzemy próbki – odrzekła Riss. – Ty wywiercisz kilka dziur z tej strony, ja z przeciwnej.

– To znowu przypomina pracę – mruknął Goodnight, ale zaczął się ubierać. Riss poszła po narzędzia i razem opuścili

statek, podłączyli się do zewnętrznych gniazd zasilania i poszybowali na skałę. Gdy tylko dolecieli, przycumowali do niej statek.

Goodnight zaczął wiercić. Wydobyte próbki prznosił na pokład. Potem ściągnął na dół ładowarkę i zaczął odłupywać kawałki skały, wybierając je na oko. Tutaj nawet on mógł odróżnić zwykły kamień od rudy.

Praca była przerażająco monotonna, na dodatek wibracje świdra prznosiły się na skafander, który rezonując, pobrzmiwał jak niektóre utwory muzyki elektronicznej, przy których Goodnight zwykł niegdyś tańczyć.

Wpakował kolejny kawał skały do ładowarki i czekał, aż próbka zniknie w luku, gdy nagle usłyszał głos Riss:

- Kurde mol!
- Co się stało? – zapytał.
- Chyba... lepiej sam zobacz.

Goodnighta opadły złe przeczucia. Może Riss wywierciła dziurę w sobie zamiast w skale? W takich miejscach, gdzie nie ma powietrza, wody ani nawet liczącego się ciężenia, wiele może się zdarzyć.

Gdy ładowarka wróciła, zamocował do niej świder i przeleciał na drugą stronę skały, ostrożnie korzystając z silniczków manewrowych skafandra, żeby nie wejść na orbitę. Szybkość ucieczki na tym drobiazgu musiała chyba wynosić metr na rok.

Riss unosiła się bez ruchu tuż obok skały.

- Nic ci nie jest? – odezwał się.
- W porządku – zachichotała. – Może nawet lepiej niż w porządku.

Lekko zirytowany Goodnight podleciał bliżej.

- To w czym problem? – zapytał.

– Popatrz.

Spojrzał.

– Skąła – powiedział.

– Tak. Tłusta czarna skąła – odparła Riss z niemal nabożnym podziwem.

– Jakaś ruda?

– W żadnym razie – zaprzeczyła. – To diament.

– Co takiego? A gdzie połysk i migotanie?

– U jubilera, matołku. Myślisz, że diamenty rosną w ziemi od razu oszlifowane i oprawione?

– Skąd miałem wiedzieć? – mruknął Goodnight. – Widywałem je zawsze w formie wysoko przetworzonej, nadającej się do zwinięcia.

– To jest diament. Cały komin diamentowy. Ciągnie się... nie wiem jak daleko. Normalnie takie kominy powstają głęboko pod powierzchnią planety, gdzie panuje wielkie ciśnienie i wysoka temperatura. Tutaj... mamy go na wierzchu.

– Nie mów. – Goodnight przyjrzał się ciemnej powierzchni. – Stąd dotąd?

– Co najmniej. I kto wie jak głęboko – rozmarzyła się Riss.

– Chcesz powiedzieć, że jesteśmy bogaci?

– Chcę powiedzieć, że ktoś jest bogaty. Liczba pojedyncza. I rodzaj żeński.

– Jak bogata? – spytał Goodnight.

– Nie wiem. Wytnijmy ten kawałek i zabierzmy go na pokład. Chyba muszę się napić.

– Ciągle nie mogę w to uwierzyć – powiedział Chas Goodnight. Kawałek skały leżał między nimi na stole

nakresowym *Golca*. Potraktowany ultradźwiękową szczotką zaczął trochę błyszczeć, jednak Goodnight nie uznałby, że jest wart uwagi, nawet gdyby się o niego potknął. Ważył nieco ponad pół kilograma.

– I co my tu mamy? – spytał.

– Na ile udało mi się ustalić, nie oszlifowany ma około trzech tysięcy karatów. Nie jest to więc największy ze znalezionych kiedykolwiek diamentów, ale na pewno mieści się w pierwszej dziesiątce.

– Nieźle – sapnął Goodnight. – W tej sytuacji nie potrzebujemy już kredytów Transkootenay. Możemy powiedzieć mojemu bratu, żeby sam siedział na jajach, i wracać na Trimalchiona, by korzystać z bogactwa.

– Jacy my, jeśli wolno spytać? – spytała słodkim głosem Riss. – To ja go znalazłam.

– Ale chyba jesteśmy współnikami?

– Masz to na piśmie? To i o korzystaniu z bogactwa? Kiedyś, gdy klepałam biedę na Trimalchionie, ktoś zostawił włączone holo przy stoliku w jednej z knajp nad kanałem. Poskakałam sobie po kanałach i trafiłam na ogłoszenie o wyspie na sprzedaż. Urządzonej wyspie z pałacem i służbą. To byłoby dla mnie idealne miejsce na stare lata.

– Ale jest jeszcze coś takiego jak lojalność – powiedział Goodnight.

– A kto chciał dać drapaką na Puchercie i zrobiłby to, gdyby nie nasza zapobiegliwość?

– To było co innego – oburzył się Goodnight. – Poza tym nie mieliście się o tym dowiedzieć.

– Jasne, co innego. – Riss poklepała Goodnighta po plecach. – Kiedy wreszcie zrozumiesz, że my naprawdę dobrze cię znamy?

Goodnight spiekł raka.

Riss wzięła kryształ, podrzuciła go i pokręciła głową.

– Wiesz, wszyscy, których dotąd znałam, wykorzystywali moją lojalność. Star Risk jest w dobrym towarzystwie. Na razie chyba będzie lepiej, jeśli damy sobie na wstrzymanie. Zawieźmy ten diament do Sheolu i ukryjmy gdzieś. Może poproszę o pomoc King. Nie wiem, na ile mogę ufać Freddiemu.

– Albo poproś Groka – podsunął jej Goodnight. – Zdaje się nie przywiązywać większej wagi do kredytów.

– Może i tak. Na pewno jest to godziwe zabezpieczenie przed biedą.

– A potem co?

– Zapewne wrócimy do zabawy w górników, zgłosimy prawa do tej skały i załatwimy Murgatroyda. Albo on załatwi nas.

– Nie, myślę o tym diamencie – powiedział Goodnight.

– Gdy przyjdzie właściwa chwila, pokażemy go jakiemuś zaprzyjaźnionemu jubilerowi. On go oszlifuje, wyceni i i zapewne ukryje. Do czasu, oczywiście.

– Co?

– Na świecie jest o wiele więcej diamentów niż na wystawie u Tiffany'ego – powiedziała Riss. – Przecież je kradłeś, powinieneś się na tym znać. Moźni tego rynku siedzą na kamieniach, pilnując, żeby ich wartość za bardzo nie spadła.

– Tak – mruknął Goodnight. – Przepraszam. Chyba nie myślę dzisiaj jasno.

– To ty myślisz? Ale zanim cokolwiek się stanie, nadam mu nazwę. Wszystkie wielkie diamenty mają nazwy. Ten będzie nosić imię Kinnison.

– Co to za imię?

– Wyczytane w tej samej powieści, która nasunęła mi Murgatroyda – odparła Riss. – I to znaczy, że przyniesie nam szczęście.

Goodnight nie odpowiedział. Spojrzał tylko dziwnie na Riss i poszedł do centrali.

– Śnił mi się rubin wielki jak gołębie jajo... – powiedział Grok.

– Co? – spytał zirytowany Goodnight.

– Mniejsza z tym – odparł futrzak. – Teraz Star Risk może zwrócić mi to, co zainwestowałem. My zaś będziemy mogli powiedzieć Regowi i całemu Transkootenay, żeby się wypchali.

– Hm. Czy o czymś nie zapomniany? – spytała King. – Wedle prawa ten drobiazg należy do Riss.

– Nieważne – odpowiedziała znużonym tonem M'chel. – Chas urabiał mnie przez całą drogę na Mfir.

– Postawa godna szacunku – powiedział Friedrich. – Oto osoba, która nie myśli tylko o osobistym bogactwie.

– A swoją drogą, ile jest wart? – spytał Grok.

– Nie wiem – powiedział Goodnight. – To największy diament, jaki widziałem, nie licząc holo i moich marzeń. Miliony dla byle muzeum. Więcej dla kolekcjonera. Jeszcze więcej dla kolekcjonera, któremu by się spodobał.

– Technicznie rzecz biorąc, jakąś część tej sumy należałoby oddać układowi Foley – powiedziała King. – Umowa górnicza przewiduje odstępne.

– Chyba nie powinniśmy nagłaśniać naszego odkrycia... to jest odkrycia M'chel – powiedział Baldur. – Nie teraz, gdy już wiemy, że Murgatroyd to pomysł tutejszych elit

politycznych. Czy też co najmniej Mar Trac. W sumie pasuje mi to do obrazka i chyba powinienem wpaść na to wcześniej. Scenariusz ma być następujący: Transkootenay wylatuje ze swoimi górnikami z układu i rząd Foley rozwiązuje obecną umowę z kompanią. Wtedy Murgatroyd wypływa na powierzchnię jako nowy, całkiem legalny twór i przez różne stare kontakty załatwia sobie koncesję. W ten sposób obecna opozycja zyskuje fundusze na wygranie nowych wyborów, które w obecnych warunkach powinny zostać jak najszybciej rozpisane. Nowy rząd powstaje, opierając się na kadrze Murgatroyda, i otrzymujemy coś, przy czym obecna ekipa u władzy wcale nie wydaje się skorumpowana. Ten nowy porządek będzie przypominać raczej...

– Trimalchiona? – podsunęła King.

– Dobry punkt odniesienia – zgodził się Baldur.

– Co nasuwa kolejne pytanie – odezwał się Goodnight. – Obecnie wspieramy uczciwych, ale może byłoby warto dogadać się z Murgatroydem, wystawiając Transkootenay do wiatru?

– Własnego brata? – spytała Riss z lekkim niedowierzaniem.

– Mój brat ma wielki talent do spadania na cztery łapy – odparł Goodnight. – Poza tym, gdybyśmy się na to zdecydowali, moglibyśmy we właściwej chwili dać mu cynk, żeby zdążył zmienić kurs.

– Nie powiem, to ciekawy pomysł – stwierdził Baldur. – Tyle że gdybyśmy skumali się z Murgatroydem i obiecali, że do czasu rozwiązania kontraktu będziemy udawać ślepych, głuchych i sparaliżowanych, czy Murgatroyd dotrzyma swojej części umowy? To znaczy, czy

mechanizm korupcyjny zadziała jak powinien?

– Nie – odparła od niechcienia King. – Zapominasz o Cerberusie.

– Istotnie – zacukał się Baldur. – Co więcej, skłonny jestem przypuszczać, że Cerberus już zawarł z Murgatroydem wstępne porozumienie o podobnej treści i ujawni się mniej więcej w czasie wyborów. Gdybyśmy więc zrobili, jak zaproponował Goodnight, zarobilibyśmy na koniec ładnie zapakowaną bombkę pod drzwiami.

– Nie podoba mi się ta rozmowa – stwierdziła Riss, siląc się na spokój. – A co powiedzielibyście na to, aby ulotnić się stąd z moim... naszym kawałkiem skały i poszukać innej okazji?

Grok spojrział uważnie na Riss.

– Mało pociągający pomysł – uznał.

– Podobnie jak poprzedni – rzuciła M'chel, którą z wolna brała cholera. – Nie mam ochoty uciekać od czegoś, czego nie doprowadziłam do końca. Zwłaszcza przez wzgląd na pamięć kilku osób, jak L. C. Doe, która mogłaby się okazać dokuczliwa.

– Ale jesteś romantyczna! – mruknął Goodnight.

– Nieważne, jak to nazwiesz – odparła Riss.

– Mnie też nie podobają się takie kombinacje – odezwała się King. – Z drugiej strony jestem tylko pracownikiem, dopasuję się więc do zdania większości.

– Zostajemy – stwierdziła Riss.

Grok zastanowił się.

– Jeśli porzucimy tę robotę w połowie, możemy mieć później kłopoty z uzyskaniem nowych kontraktów.

– Owszem – zgodził się Baldur. – Opowiadam się za tym, żeby skończyć, cośmy zaczęli.

– Ja również – powiedział Grok.

– A niech tam – mruknął Goodnight. – W końcu uratowaliście mi dupę. Zostaję.

– Zatem jednogłośnie – podsumowała Riss.

– Na to wychodzi – przyznał Baldur. – Co znaczy, że ty i Chas wracacie zająć się swoją działką i zobaczymy, dokąd was to zaprowadzi.

– Skoro brak innych pomysłów... – zaczął Goodnight i urwał. – Może uda nam się trafić na jakiś ślad.

– Zgoda – powiedziała Riss. – Obecnie jedynym sposobem na opanowanie bałaganu wydaje mi się załatwienie tego przeklętego krążownika. I to na dobre. Szkoda, że nie możemy się zająć całą tą Mar Trac. Rozumiem jednak, że wtedy stracilibyśmy jedyne ogniwo prowadzące do Murgatroyda. Tak więc trudno, zrobimy to powoli i boleśnie.

– Ponadto jest kilka spraw, którymi warto zająć się tutaj, na Mfirze – dodała King.

– Przedtem jednak powiedzcie, gdzie ukryjemy mój kamień – zażądała Riss. – Ani trochę nie ufam tutejszym bankom. Wolałabym też nie zostawiać go na *Boopie* na wypadek, gdyby znowu ktoś zaczął bawić się raketami.

– Najlepiej gdzieś na oku – podpowiedziała King. – Możemy wynająć skrytkę w Odpoczynku Górnika, owinać diament starym skafandrem i cisnąć z innymi rupieciami na samo dno. Nikt nie będzie go tam szukał.

– Dobrze więc – rzekł Baldur – wracamy na wojnę.

Wiadomość nadprzestrzenna zaszyfrowana kodem jednorazowym:

UPRZEDZAMY O PLANOWANEJ OPER STRRSK.
DATA I CEL NIEZNANE, ZAPEWNE BAZA THULE I
DUŻA SZTUKA. OPER S/B DO ZAKOŃCZENIA ASAP.
TRANSKOOTENAY BLISKIE WYKOŃCZENIA.
PRZYGOTOWAĆ WSZYSTKIE JEDNOSTKI DO
OSTATECZNEGO UDERZENIA ZGODNIE Z PLANEM.
START PO WYKOŃCZENIU STRRSK.

– Teraz, gdy zostaliśmy już prawymi ludźmi, ruszymy tyłki do tego małego kawałka skały, który stał się naszą działką, i wypocimy siódme poty, żeby pozbierać tam trochę kamieni, abyśmy mogli się potem zjawić przy innej skale zwanej 47 Alfa i truć tam wszystkim cztery litery tak długo, aż wyjdzie, kto z miejscowych donosi Murgatroydowi, po czym dokonać czegoś tak heroicznego, że szkoda gadać, co jednak doprowadzi nas do bazy, gdzie dopadniemy Murgatroyda i zrobimy mu kuku – powiedział Goodnight. – Zgadza się?

– Nie do wiary, że zdołałeś powiedzieć to na jednym oddechu – zauważyła Riss.

– Bo prochy były czyste... – rzucił Goodnight. – Z drugiej strony, ponieważ wcale nie uważam, abyśmy byli prawi, chciałbym wprowadzić do tego planu niejakie modyfikacje.

– Przypominam ci, że to twój plan. Jaki geniusz cię natchnął?

– Chodzi o tę część, gdzie była mowa o siódmych potach – powiedział Goodnight. – Owszem, praca fizyczna uszlachetnia i jest moralnie pozytywna, zwłaszcza gdy jest to ciężka i odpowiedzialna robota górnika. Niemniej, dogadawszy się z moim kochanym bratem, dostałem od niego sześć ton wysokoprocentowej rudy. Ponad osiemset na wskaźnikach. W ten sposób, nie brudząc sobie rączek, możemy udać się od razu na 47 Alfa i wykonać zadanie. Może być? Riss zastanowiła się.

– Dlaczego nie? – powiedziała w końcu. – Łupanie skał

już mnie nie bawi.

– Czterdzieści siedem Alfa... echem... nasłuch cztery siedem Alfa, zgłasza się *Golec* – odezwał się Goodnight. – Przepuszczalny czas przybycia za czternaście minut. Prosimy o instrukcje podejścia i zgodę na dokowanie, odbiór.

Musiał powtórzyć to kilka razy, zanim doczekał się odpowiedzi.

– Mówi nasłuch cztery siedem Alfa – rozległ się kobiecy głos. – Weźcie pod uwagę, że jesteśmy tylko stacją łączności. Nie udzielamy instrukcji ani zgód. Dokujcie, gdy uznacie, że można. Bez odbioru.

– Mam wrażenie, że właśnie opuściliśmy obszar cywilizacji – powiedział Goodnight.

47 Alfa była stacją małą i tymczasową, założoną w tym miejscu jedynie przypadkiem. Prezentowała się wręcz rozpaczliwie.

Leżała na powierzchni nieregularnej planetoidy niczym ręka trędowatego z losowo wyprostowanymi palcami. Wszystkie budynki były solidnie zakotwiczone czy wręcz wpuszczone w powierzchnię, a drugą i ostatnią ich zaletą było to, że nie uciekało z nich powietrze.

Obok cumowały statki górnicze oraz transportowce rudy, w większości przeróbki, czasem nawet samowolne, kupionych po cenie złomu okrętów wojennych, wycofanych liniowców pasażerskich czy stareńkich wewnątrzukładowych jachtów.

Całości tej menażerii dopełniał bulwiasty statek z burtami pomalowanymi na żółto, zielono i czerwono oraz

wielkim ozdobnym napisem TRUNKOWY JACHTKLUB ZACHODNIEGO BANDORF.

Za taksówki służyły pospawane z metalowych rur i kształtowników wehikuly z doczepionym napędem. Zasadniczo raketowym. Mało kto z twórców tych wynalazków trudził się przydawaniem im kabin, zwłaszcza hermetycznych, tak że pasażerowie podróżowali uczepieni różnych elementów konstrukcji niczym ptaszki w klatce.

Goodnight podprowadził *Golca*, ustabilizował go silniczkami manewrowymi i wyłączył napęd. Oboje byli już w skafandrach, z hełmami pod ręką.

– Teraz rzućmy jeszcze kotwicę i ruszajmy opchnąć nasz wysokoprocentowy produkt – powiedział.

– Nie tak szybko – przyhamowała go Riss. – Gdy zacumujemy, znajdziemy hotel albo to, co za niego uchodzi. Tam z kolei zlokalizujemy łazienkę. Z prawdziwą wodą, nieważne, ile ona tutaj kosztuje. Dzięki temu zyskamy reputację utracjuszy, którzy nigdy się niczego nie dorobią.

Goodnight powąchał się pod pachą.

– To nawet nie taki zły pomysł – mruknął. – Gdybym już dawno nie przywykł do własnego zapachu, sam uciekłbym od siebie z wrzaskiem.

– Nie chciałam niczego mówić – stwierdziła Riss. – Niemniej...

Hotel był.

Zasadniczo.

Tworzyły go trzy połączone transportowce, które wybebeszono i przebudowano, dodając biegnące pod różnymi kątami kładki i pokoje o nader zróżnicowanej kubaturze – od szuflad do spania po apartamenty, w

których gość hotelowy mógłby zamieszkać wraz ze swoim jachtem.

Hotel nie miał nazwy. Jego budowniczy i właściciele zniknęli jakiś rok wcześniej, zostawiwszy na posterunku starego górnika, który przedstawiał się jako Pelee. Ludzka obsługa zjawiała się od przypadku do przypadku, resztę roboty wykonywały przebudowane androidy wojskowe.

Co dziwne, było tu bardzo czysto.

Pelee wyjaśnił im, że uciekł w kosmos przed wszechobecnym na planetach brudem.

– Tutaj wystarczy dopilnować maszyn sprzątających – powiedział. – Niech no tylko która dojrzy jakiś pyłek, zaraz się na niego rzuca i po kłopotcie – dodał.

Ceny pokoi były równie zaskakujące. Pelee obejrzał ich sobie, poskubał krzaczaste brwi i powiedział:

– Wyglądacie mi na jakieś pięćdziesiąt kredytów za dobę.

– Trochę drogo – stwierdziła Riss, która nazbyt długo żyła z ołówkiem w ręku.

– Dobra – odpowiedział pojednawczo Pelee. – Niech będzie dwadzieścia pięć. Sypiacie razem?

Oboje pokręcili głowami.

– Trochę szkoda – mruknął Pelee. – Nieźle wyglądacie. To znaczy będziecie wyglądać, gdy oskrobiecie się z brudu – dodał, potwierdzając obawy Goodnighta. – Dajcie zaliczkę, a zaprowadzę was do pokoi.

Dali.

– Pan ma numer 45, dla pani jest 33. Kontenery z rudą możecie zostawić na zewnątrz, nikt ich nie ruszy.

– Na pewno? – spytała Riss.

– Bez dwóch zdań – odparł Pelee, pokazując im wielki

blaster z widocznymi śladami zużycia, który schował równie szybko jak wyciągnął. – Chodźmy.

Weszli do windy, wjechali jeden poziom wyżej, potem zeszli pochylnią poziom niżej.

– Tu jest pani pokój – powiedział Pelee. – Pański znajduje się na końcu korytarza.

– Nie ma numerów na drzwiach? – zdziwił się Goodnight.

– A po co? Nie zmieniły się, odkąd oddano ten hotel.

– A klucze? – zagadnęła Riss.

– Nie ma. To znaczy kiedyś były, ale ludzie je gubili albo zapominali oddać i tylko kłopoty z tego wynikały. Zamków w drzwiach też już nie ma.

– Nie ma też naturalnie złodziei? – spytała M'chel.

– Ani jednego.

– A co, gdy ktoś zbłądzi po nocy do cudzego pokoju? – spytał Goodnight.

– Zdarza się cały czas – przyznał Pelee. – Albo się pobijają, albo dogadają. A czasem... Z tych małżeństw, co się tu zrodziły, co najmniej dwa wciąż są razem.

Łazienka była i M'chel zastanowiła się po kwadransie, dlaczego właściwie umówiła się z Goodnightem za godzinę, zamiast za tydzień.

Zignorowała skomlenie żołądka, który coraz głośniejsze domagał się jedzenia nie pochodzącego z torebki oraz, co ważniejsze, nie przygotowanego przez Goodnighta.

Hotel miał własne generatory grawitacyjne, niemniej łazienka i tak zadziwiała. Przydano jej własny generator pozwalający na ustalenie wybranego ciężenia.

Wannę tworzyła wielka przezroczysta kula z

regulowanym kołnierzem, który chronił amatora kąpieli przed utonięciem, oraz taką płataniną węży, że Meduza wzięłaby ją za siostrę. Riss nastawiła grawitację na ćwierć normalnej i wśliznęła się w wannę. Dopasowała temperaturę wody, włączyła dysze i cieszyła się bijącymi ze wszystkich stron strumieniami.

Posłuszna zawieszona na ścianie instrukcja wyłączyła urządzenie już po kilkunastu sekundach, z zamykanej szafki wyjęła mydło i zrobiła z niego użytek. Szampon stał w innej szafce. Walcząc z klaustrofobią, Riss zanurzyła głowę w kuli i wyszorowała włosy.

Potem wypłynęła i dotknęła płytki z napisem „Ziemski bez”, co sprawiło, że w kuli została rozpylona sól do kąpieli o takim właśnie zapachu. M'chel dołała wody i przez dłuższą chwilę pławiła się w prywatnym oceanie.

Mogła jeszcze włączyć sobie holo, szkoda jednak jej było wychodzić w tym celu z kąpieli. Poza tym nie chciała, żeby coś zaczęło tu gadać.

Unosiła się w wodzie aż do chwili, gdy przekłety wewnętrzny timer przypomniał jej o spotkaniu z Goodnightem. Niechętnie wypuściła wodę i znalazła ręcznik. Susząc włosy, zastanowiła się, czy ma cokolwiek nadającego się do włożenia na dość długo, aby pójść w tym kupić nowe ciuchy.

Urzednikowi w skupie mało oczy nie wyskoczyły, gdy ujrzał ich deklarację.

– Jeśli to naprawdę tak wygląda...

– Wygląda – powiedział Goodnight.

Mężczyzna cztery razy zamrugał nerwowo powiekami.

– Jak chcecie zapłatę? – zapytał po chwili.

– Czystą, żywą gotówką – odparła Riss. – Albo jakkolwiek, byle można to było tu bez trudu wydać.

– Tutaj przyjmą wszystko, o ile tylko nie gryzie – stwierdził urzędnik z lekkim uśmiechem. – A gdyby gryzło, narobilibyście sobie kłopotów. Ile macie w tych kontenerach?

Goodnight powiedział mu ile. Urzędnik znowu trochę pomrukał i podał cenę. Riss aż drgnęła. Były to mniej więcej pięcioletnie zarobki majora Sojuszu. I to takiego, któremu przysługiwały dodatki za akcje bojowe i wysługę lat.

Chas jednak tylko wydał usta.

Urzędnik zastanowił się i podał kolejną liczbę. Około jednej trzeciej wyższą.

– Więcej naprawdę nie mogę – zapewnił ich. – Aby dostać wyższą cenę, musielibyście zawieźć tę rudę na Mfir i sprzedać ją bezpośrednio Transkootenay.

– Za daleko – powiedział Goodnight. – Załatwimy to tutaj.

Urzędnik otworzył sejf i odliczył kilka plików kredytów.

– Dziękujemy – powiedział Goodnight.

– To ja dziękuję – odparł urzędnik. – Mam nadzieję, że złożę nie wyczerpie się szybko i że dalej będziecie przychodzić z urobkiem do mnie.

– Jeśli wszystko zadziała jak trzeba, to dlaczego nie? – zgodził się Goodnight.

Gdy zapinali skafandry, aby wyjść przez służbę, Riss obejrzała się i zobaczyła, że urzędnik siedzi przed ekranem komunikatora. Wyraźnie z kimś rozmawiał, i to pewnie o nich, bo zerkał w ich stronę.

Goodnight gwizdnął.

Riss zerknęła na siebie w lustrze i zrezygnowana pokręciła głową.

– Naprawdę podobają ci się takie kobiety? – zapytała.

– No... tak. Co ci nie pasuje w tym stroju? Wygląda bardzo seksownie.

– Ale tanio i prostacko.

– I co z tego? – spytał Goodnight. – Nie mieszkamy w Ritzu. A ja niby co noszę? Wyglądam jak alfons. Tani alfons.

M'chel spojrzała na niego. Rzeczywiście. Chas miał na sobie zdecydowanie za ciasne jasnozielone spodnie, dopasowaną kolorystycznie koszulę, ciemnozieloną krótką marynarkę i burgundową apaszkę.

– Taa... – mruknęła.

W porównaniu z tym kiczem jej ubiór zaczął nagle wyglądać o wiele przyzwoiciej. Była to niemal czarna suknia. Dekolt miała za głęboki, była za krótka i nazbyt mocno przylegała do ciała. Pasowałaby jak ulał panience na godziny albo na bal przebierańców. Całości dopełniały buty do pół uda.

– Nie rozumiem, co macie przeciwko mojemu towarowi – odezwał się zaniepokojony właściciel sklepu, mężczyzna mierzący około półtora metra wzrostu i około dwóch w obwodzie. – Większość ludzi przychodzących tu po stroje na uroczyste okazje wychodzi zadowolona.

– Widzisz? – powiedział Goodnight. – Pasujesz do miejscowej socjety.

– Cóż...

– Poza tym nie ma wielkiego wyboru.

M'chel rozejrzała się po „składzie”, urządzonej w niegdysiejszej barce. Było tu prawie wszystko. Pod ścianą ciągnęły się stojaki ze skafandrami kosmicznymi i specjalistycznym sprzętem górniczym. Dalej znajdowały się pojemniki z liofilizowaną i głęboko zamrożoną żywnością. Jeszcze głębiej stały meble i sprzęty domowe, a przy wejściu straszyla szafa z bronią sąsiadująca z działem odzieżowym.

Nad sklepem wisiała miejscowa „taksówka”, bez wątpienia zatankowana do pełna i dająca szansę natychmiastowej ucieczki.

– Powtórzę raz jeszcze: to nie jest rue Montaigne – powiedział Goodnight.

– Zauważyłam.

– Zapłaćmy więc i chodźmy dać się zapamiętać.

– Równie dobrze mogłabym pójść nago.

– Wtedy tym bardziej by nas zapamiętali, nieprawdaż? – rozmarzył się Goodnight. – Bierzemy to, przyjacielu.

– Tak, proszę pana.

– I jeszcze jedno pytanie.

– Odpowiem z przyjemnością.

– Gdzie tu jest najmniej bezpieczna knajpa?

Niektóre budynki połączone były pięciometrowymi korytarzami ze stopów lekkich, dzięki czemu nie zawsze trzeba było przed wyjściem wkładać skafander.

Tłoczyli się w nich górnicy i ci, na których żerowali. Był też drugi koniec łańcucha pokarmowego, czyli ludzie, którzy wiązali koniec z końcem, skubiąc górników.

Goodnight rozglądał się nieustannie, jakby oczekiwał, że w tłumie pojawi się zaraz ktoś z wielką tablicą z napisem

„Pracuję dla Murgatroyda”.

M'chel korytarze przyprawiały o klaustrofobię. Na dodatek miała wrażenie, że znajdują się w kiszce odbytowej jakiejś wielkiej metalowej istoty, skutkiem czego zachowywała się podobnie jak Chas.

W końcu znaleźli knajpę poleconą im przez sklepikarza. Nazywała się U Soupy'ego i była największym budynkiem na 47 Alfa.

W odróżnieniu od innych tutejszych przybytków, nie powstała przez przebudowę żadnego złomu. Była labiryntem przejść, boksów i pokoi skupionych wokół baru, za którym kłębiło się co najmniej dziesięciu barmanów w archaicznych strojach: czarnych spodniach, białych koszulach z długim rękawem i czarnych krawatach.

Z boku znajdowała się nieco cichsza sala, w której siedziało z tuzin kobiet. Sączyły drinki i z zapalem rozmawiały o intratnych interesach.

Zostało mieć nadzieję, że żadna z nich nie uzna M'chel za konkurentkę wkraczającą na nie swój teren.

Goodnight podszedł do centralnego pulpitu. Dyżurował przy nim arogancki, sądząc po minie, szef sali, który nagle się uśmiechnął.

– Witam, m'sieu...

– Atherton – odparł Goodnight. – Atherton i Smedley.

Riss ukryła zaskoczenie.

– Oczywiście – powiedział mężczyzna. – Rozumiem, że dopiero przybyli państwo na 47, pragnę więc państwa powitać i życzyć udanego pobytu.

– Jestem pewien, że będzie udany – stwierdził Goodnight. – Trochę nam wpadło i chcemy się zabawić.

– Zatem może będziecie państwo zainteresowani naszym

salonem gier. Znajduje się w dalszej części lokalu.

– Może po obiedzie.

Zostali zaprowadzeni do stolika i zaraz obok zmaterializował się kelner.

– Restauracja U Soupy'ego z chęcią poczęstuje państwa drinkiem – powiedział szef sali. – Na dobry początek długiej i sympatycznej znajomości.

– Bourbon sarazac – powiedział Goodnight.

– Ja wolalabym Płonące Jutro – odezwała się Riss.

Kelnerowi nawet nie drgnęła powieka.

– Zaraz wrócę z państwa zamówieniem – rzekł tylko.

– Mam pytanie – odezwał się Goodnight, gdy kelner i szef sali zniknęli.

– Nie, ja pierwsza – przerwała mu Riss. – Dlaczego przedstawiłeś się właśnie jako Atherton? Myślisz, że nikt nie pamięta już o tamtej historii?

– Nie obchodzi mnie, czy pamiętają, czy nie – powiedział beztrąsko Chas. – Mam już dość chowania się w cieniu i marzy mi się porządna strzelanina.

– Nie wiem, czy to roztropne – mruknęła Riss. – Nie znasz jeszcze tutejszych reguł gry.

– Może. Ale teraz już przepadło, prawda?

– No to drugie pytanie. W imię jakich bogów przezwalesz mnie Smedley? Brzmi strasznie.

Goodnight roześmiał się.

– Po prostu się czepiasz – powiedział. – Za dobry byłem dla ciebie.

Dostali drinki. Riss w wysokim pucharze z krawędzią zawiniętą do środka.

Kelner przytknął do drinka prawdziwą drewnianą zapalną, i płomień strzelił aż pod sufit.

– Wielki węzu! Co w tym jest? – spytał Goodnight.

– Różne alkohole – odpowiedział kelner. – Ma ciekawy smak.

Riss zakryła dłonią puchar i płomień zgasł. Uniosła naczynie, posmakowała i uśmiechnęła się.

– M'dam wyraźnie dobrze zna tego drinka – powiedział kelner, szczerze pod wrażeniem. Wyjął zza pasa dwa egzemplarze menu i podał gościom. – Zjawię się za kilka chwil.

– Co w tym takiego szczególnego... – Goodnight wziął puchar, łyknął – i trwało trochę, nim odzyskał oddech.

– Ma niepowtarzalny smak, prawda? – spytała uprzejmie Riss.

– Ma... tylko... na razie... nie wiem... jeszcze jaki.

Riss gotowa była zgodzić się na coś, co ruszałoby się na talerzu, byle nie uciekało za szybko i zostało podane w odpowiedniej ilości. Skończyło się jednak na stekach. Pierwszy pochłonęła kilkoma kęsami i stwierdziwszy, że chyba podali jej kawałek podgumowanego dywanu, sięgnęła po następny. Przy nim zaczęła mruczeć z zadowolenia.

Goodnight, który niespiesznie odkrawał cienkie płatki pasztetu drobiowego na ostro, patrzył na nią z podziwem.

– Jesz jak bester – stwierdził.

Riss pokiwała głową.

– Gdy wracam na stały... albo prawie stały ląd, potrzebuję jakiejś nagrody za swoją pokładoporządniczość.

– Nie ma takiego słowa.

– Teraz już jest.

Goodnight opowiedział, jak czekając na nią, zerknął do kilku hotelowych pokoi.

– Sprawdzaleś, czy ktoś nie porzucił na łóżku wielkiego naszyjnika z pereł? – spytała Riss. – Odezwały się stare przyzwyczajenia?

– Raczej z nawyku – odparł Goodnight i opisał część z tych pokoi. Poprzedni właściciele musieli być na swój sposób romantyczni.

– Pchali tam wszystko, co tylko dało się znaleźć. Trafiłem nawet na pokój przypominający komnatę średniowiecznej księżniczki i inny, cały w skórze i z pasami, których zastosowania nie chcę się nawet domyślać. – Pokręcił głową. – Myślałem, że człowiek jest z gruntu dobry. Przykro porzucać takie złudzenia.

Riss doszła do wniosku, że pozujący na uwodziciela Chas nie prezentuje się najgorzej.

Zakończyli prawdziwym czekoladowym mousse. Riss zastanawiała się jeszcze nad deserami, gdy kelner postawił na ich stoliku biały talerz z ręcznie skreśloną notatką:

Jeśli nie macie państwo nic przeciwko, byłbym wdzięczny za poświęcenie mi chwili, gdy zjedzą już państwo obiad.

Soupy Schmid

Goodnight uśmiechnął się do kelnera.

– Nie mamy nic przeciwko. Zechce pan nas zaprowadzić?

Nie trzeba było specjalnie się rozglądać, aby poznać, która z osób w salonie gier jest panem Schmidem. Siedział w wielkim fotelu na stanowisku obserwacyjnym dobry metr ponad głowami graczy i iście po królewsku mierzył wzrokiem swoich poddanych.

Był rostry, większy nawet niż Goodnight. Miał beczkowatą klatkę piersiową i proste, mocne włosy, które hodował już chyba od jakiegoś czasu. Mógł mieć pięćdziesiąt kilka lat, na jego poznaczonej zmarszczkami twarzy malowało się coś, co można było wziąć za okrucieństwo.

Szyję znaczyła mu szeroka blizna. Widać ktoś był kiedyś bardzo bliski odcięcia mu głowy.

Dostrzegł ich z daleka i lekkim krokiem zszedł z podwyższenia.

– Panie Atherton, panno Smedley – odezwał się do przybyłych – zapraszam do mojego stolika.

Stolik znajdował się w rogu i stała na nim karafka oraz trzy kryształowe kieliszki.

Schmid podszedł do krzesła stojącego pod ścianą i wskazał gościom pozostałe.

– Nie lubię siedzieć plecami do sali – powiedział i nie pytając, czego się napiją, napełnił kieliszki do połowy. – Wieści szybko się rozchodzą. Słyszałem, że powiodło wam się w pracy.

– Dziękuję – odparł Goodnight, smakując alkohol. Ku jego zdumieniu okazał się bardzo słodką i mocną owocową brandy. Nie lubił takich napitków, ale wychylił kieliszek.

– To ja dziękuję, że wybraliście mój lokal – rzekł Schmid. – Mam nadzieję, że obiad... który podano wam na koszt zakładu... okazał się smaczny?

– Owszem – odpowiedziała Riss.

– Lubicie hazard?

– Taki jak tutaj nieszczególnie – stwierdziła M'chel. – Bardziej życiowy, na przykład związany z poszukiwaniami.

– Podchodzę do tego trochę inaczej niż moja

wspólniczka, niemniej gry hazardowe też nie budzą we mnie żywszych emocji – dodał Goodnight.

– Zazdroszczę wam samokontroli – powiedział Schmid.

– Niestety, szmer kart i grzechot kości bywa niekiedy silniejszy niż zew godowy. Dlatego jestem wdzięczny losowi, że ten lokal, jakkolwiek dobrze prosperujący, nie jest moim głównym źródłem dochodów.

– A co nim jest? – spytała Riss.

– Przede wszystkim jestem agentem ubezpieczeniowym. Specjalizuję się w polisach wysokiego ryzyka.

– Takich jak...? – spytał Goodnight.

– Największe sukcesy odnoszę na polu górnictwa. Ubezpieczam od wypadków, a nawet gniewu Bożego, zakładając, że trafi się klient, który w Niego wierzy.

– Ma pan na myśli zdarzenia w rodzaju trzęsień ziemi? – spytała Riss.

– Nie, oczywiście że nie. Raczej różne wypadki przemysłowe, o które zawsze łatwo w tym fachu, przede wszystkim zaś ataki przeklętych bandytów, które wzbudziły w pasie tyle niepokoju.

– Sugeruje pan, że może zagwarantować, iż ubezpieczona u pana działka nie zostanie zaatakowana przez tych drani? – spytał Goodnight z wyraźnym niedowierzaniem.

– Ma pan prawo do sceptycyzmu – powiedział Schmid. – Jest jednak faktem, który można sprawdzić w moim biurze, że żaden z moich klientów nie padł ich ofiarą. Statystyka mówi sama za siebie.

– Jakie ma pan stawki? – spytała Riss.

– Godziwe, bo przywiązuję wielką wagę do godziwego traktowania innych. Ich wysokość jest zależna od

dochodów ubezpieczonego.

– To znaczy, że ktoś, kto odkrył żyłę złota, płaci więcej niż szuflujący bez powodzenia biedak? – spytał Goodnight.

– To jedyne sprawiedliwe podejście.

– Jestem pod wrażeniem pańskiej godziwości, szczerości i poszanowania sprawiedliwości, panie Schmid – powiedział Goodnight, wstając. Potem ceremonialnie wziął karafkę, odkorkował i obrócił ją do góry dnem nad głową Schmida.

– Ty draniu! – warknął restaurator i sięgnął pod stół.

Goodnight lekko uniósł dłoń do pasa i nagle w jego rękę pojawił się niewielki blaster.

– Gangster, który za późno wyciąga broń, to martwy gangster, panie Schmid – stwierdził sentencjonalnie.

Restaurator odsunął się ostrożnie od stołu i uniósł rękę.

– Wobec tak niespodziewanego obrotu spraw sędzę, że jednak sami zapłacimy za obiad – powiedział Goodnight. Sięgnął wolną ręką do kieszeni i cisnął na stół plik kredytów. – Dobrej nocy, panie Schmid.

Pośród dzwoniącej ciszy opuścili salon gier i restaurację.

– To właśnie w tobie lubię – powiedziała Riss. – Zawsze wymyślisz coś subtelnego.

– Aha. Teraz już wiemy, kto tu jest reketerem i że Schmid musi mieć układ z Murgatroydem. Freddie ucieszy się, gdy mu o tym powiemy. Wystarczy poczekać, aż wystąpią przeciwko nam otwarcie, przeżyć spotkanie z nimi i patrzeć, gdzie uciekają. Powinni zaprowadzić nas prosto do Murgatroyda i krążownika.

– Przeżyć spotkanie. Powiedziałaś to tak nonszalancko, jakby chodziło o coś trywialnego.

– Bo chodzi. Gangsterzy są dla mnie mniejszym

zmartwieniem niż to, czy dobrze się rano uczesałem.

– Hm. A słyszałeś kiedyś o niespodziewanym obrocie spraw?

– Jakiś problem, panie von Baldur? Coś nie tak ze statkami? A może ten pechowy transportowiec, któremu zmienił pan nazwę? Czyżby i panu przyniósł pecha? – spytała szczerze zatroskana Winlund.

Von Baldur zastanowił się, jakim cudem szefowie tej kobiety jeszcze jej nie odprawili, uznawszy, że jest nazbyt ludzka, a przez to niezdolna do pracy.

– Nic podobnego – zapewnił ją uspokajająco. – Mam tylko drobny kłopot z obiegiem papierów w Transkootenay.

– Dziwne – powiedziała Winlund. – Dotąd nie było z nimi żadnych problemów.

– Mnie też to zdumiewa. Czy nie sprawiłoby pani problemu, gdyby sprawdziła pani na wcześniejszych fakturach, kto z Transkootenay je autoryzował? Może łatwiej będzie mi wtedy odszukać właściwą osobę i przepchnąć papiery przez ich biurokrację.

– To nie jest przyjęte, ale z drugiej strony nie ma powodu, żebym panu nie pomogła – powiedziała Winlund. – Proszę chwilę poczekać.

Ekran pociemniał i Baldur odwrócił się do innej klawiatury, aby wklepać aktualizację dokumentacji Star Risk.

Zwykle była to robota King, która teraz jednak rozgryzała zawilóści życia elit politycznych Glace. Winlund przywróciła obraz.

– Mam. Tak... faktury zatwierdzał oddział na Mfirze. Podpisywał je Reg Goodnight. Fatalny charakter pisma.

Von Baldur zachował kamienną twarz.

– Dziękuję – powiedział.

– Przesłać panu kopie?

– Nie trzeba. Bardzo pani dziękuję za pomoc. Chociaż...

Mogę zapytać, co kupował pan Goodnight?

Winlund zerknęła na ekran swojego kompa.

– Chyba jakieś uzupełnienie dla działu ochrony. Ostatnia faktura jest na dziesięć starych jednostek N'yarów. Są trochę przestarzałe, więc nie poszły drogo. Nic dziwnego, że przyklasnęli pańskiemu wyborowi patrolowców typu P.

– Oczywiście – powiedział von Baldur. – I ostatnie pytanie, które nie ma już właściwie nic wspólnego z Transkootenay. Czy nie słyszała pani ostatnio o kimś, kto kupił duży okręt, jeden z tych krążowników typu *Sensei*, które przez lata były podstawowymi ciężkimi jednostkami Sojuszu?

Winlund zastanowiła się chwilę i pokręciła głową.

– Nie. I nie sędzę, aby coś takiego mogło się zdarzyć. Taki wielki kawał żelastwa rzucałby się w oczy na rubieżach.

– Oczywiście, bez wątpienia. – Podziękował jej raz jeszcze i zakończył rozmowę.

– Wpadliśmy w gęsto splątana sieć – mruknął zamyślony, gdy Grok wszedł do kabiny.

Futrzak trzymał jakiś wydruk i warczał coś pod nosem.

– Mamy kłopot – powiedział. – A raczej mają go M'chel i Chas. Automatyczny nasłuch przechwycił to jakieś cztery godziny temu. Sygnał dochodził z za pasa asteroid, może ze statku, może z księżyca któregoś z lodowych gigantów. Był za krótki, aby udało się dokładnie określić namiar.

Był też kodowany, ale szyfrem, który złamałem już jakiś czas temu. Jeden z rajderów użył go kiedyś jeszcze przed

naszym przybyciem. Rozgryzłem go w nadziei, że powie nam coś o ich obecnych szyfrach, ale nic z tego nie wyszło. Teraz mają naprawdę dobre, tamte to była dziecięca łamigłówka. Wykorzystywali tablice jednorazowe, tyle że nie własne, lecz z kupnych pakietów. Łatwo je rozpracować.

– Dobra, ale o co chodzi, facet? – spytał Baldur.

Grok spojrział na niego zdumiony.

– Facet? Piłeś dzisiaj?

– Przepraszam. Nie zamierzałem cię urazić. Co było w tej wiadomości?

Grok podał mu wydruk.

– Wszystkie ikсы oznaczają elementy, których nie zdołałem zidentyfikować, a słowo w nawiasach to oczywiście moja ekstrapolacja. Nie określiłem też jeszcze nadawcy, no i brak zakończenia.

Baldur zgromił Groka spojrzeniem. Tym razem zasłużenie.

– Przepraszam, ale zbyt często musiałem tłumaczyć podobne rzeczy admirałom i weszło mi to w nawyk – wyjaśnił Grok.

– To go porzuć – warknął Baldur i spojrział na tekst.

XXXX XXXX PRAWDOPODOBNA ID
PODEJRZANYCH. ŻADNI GŁUPCY TYLKO TAJNA
OP STRRSK O KTÓREJ UPRZEDZALIŚMY. XXXX
(POTRZEBA) CZEGOŚ WIĘCEJ. TRZYMAĆ SIĘ OD
NICH Z DALEKA. EKIPA XXXX W DRODZE.
ZAPEWNIĆ WSPARCIE I LEGENDĘ.

– Na razie mam tylko tyle – powiedział Grok.

– Wystarczy – mruknął Baldur. – Ostrzegłeś Goodnighta i Riss?

– Próbowałem się z nimi skontaktować, ale na ich statku nikt nie odpowiada. Nie zostawili też włączonej rejestracji wiadomości. Nie mieliśmy od nich znaku życia, odkąd zameldowali, że lądują na 47 Alfa.

– Wspaniale. A są od nas...

– Cztery dni drogi.

– Niedobrze. I to mają być zawodowcy w tajnej misji. Idioci na przepustce i tyle. Gdy to się skończy, będziemy musieli ustalić sztywne procedury operacyjne. Co robi Spada?

– W gotowości.

– Niech weźmie trzech... nie, czterech swoich i skoczy bliżej pasa niż zwykle. Powiedz mu... Do diabła, sam z nim porozmawiam.

– Chyba się przeliczyłem – mówił Chas. – Nadmuchałem restauratorowi w kaszę i co? Oczekiwałem ataku zabójców, bomb, linczu, a co dostałem?

– Miły relaks i wypoczynek – powiedziała Riss z kanapy, na której polegiwała z pracą *Traktat o matematyce pięciowymiarowej. Sprawozdanie z badań nad możliwością podróży w czasie z wykorzystaniem rzeczywistości międzywymiarowej.*

– Odpocznę po śmierci – warknął Goodnight.

– Oklepane.

– Trudno. Ubieraj się, dziewczyno, idziemy na tańce. Niech coś się wreszcie zdarzy.

– No i dobrze – powiedział Spada. – Zakładając, że chłopcy Murgatroyda już tu są, co wcale nie jest takie pewne, jak mamy ich rozpoznać, byśmy wiedzieli, czy musimy się spieszyć?

– Co do pośpiechu, to znalazłby się powód – rzekł Lopez, wskazując luksusowy jacht cumujący obok dwóch starych, poważnie przerobionych trałowców. – Skromna, nie rzucająca się w oczy jednostka. Ktoś mi kiedyś powiedział, że różni dranie trafiają do więzienia jedynie dlatego, że czasem okazują się głupszy od policji.

– Anarchista z ciebie – mruknął Spada. – Rozumiem jednak, że twoim zdaniem górnicy raczej rzadko używają podobnych jachtów do pracy?

– Nie jestem anarchistą, tylko realistą – sprostował Lopez.

– Co dalej?

– Zaparkuj grata. Albo jeszcze lepiej, oddaj go do przeglądu i chodźmy rozejrzeć się za naszymi szefami. I chyba rzeczywiście dobrze będzie się pospieszyć.

– Zapewne tak – przyznał Spada. – Możemy zacząć od hotelu, w którym zamieszkali, i stamtąd ruszyć dalej. Tutaj nie może być więcej niż pięć czy sześć tysięcy ludzi. Cholera. Czasem żałuję, że jestem tylko zwykłym szoferem i tak niewiele wiem o żołnierce i szpiegowaniu. – Zastanowił się chwilę. – Nie. Hotel w drugiej kolejności. Najpierw zajmiemy się tym uroczym stateczkiem.

Było ich trzech. Schmida przebiegł dreszcz. Owszem, zdarzało mu się zabijać, zawsze jednak w walce, pod wpływem emocji. Ci zaś mieli zimne oczy i było widać, że tam, gdzie inni mówią przepraszam, aby przejść w tłoku, oni równie łatwo robią użytek z broni.

Przeglądali nagrania z kamer bezpieczeństwa. Interesowały ich ujęcia przedstawiające dwoje osobliwych gości, którzy kilka dni temu narobili w restauracji tyle zamieszania.

– Zapamiętacie ich? – spytał przywódca grupy.

Pozostali zgodnie skinęli głową.

– Zdejmujemy ich w hotelu? – zagadnął jeden z nich.

– Tak byłoby najłatwiej – powiedział trzeci.

Ktoś zastukał głośno do biura Schmida. W progu stanął szef sali.

– Tych dwoje... Ci, którzy byli tu trzy wieczory temu... wrócili – powiedział prawie bez tchu.

– Najłatwiej się zmieniło – powiedział jeden z zabójców.

– Chyba nie chcecie ich sprzątnąć tutaj? – przestraszył

się Schmid.

Przywódca trójki pomyślał.

– Dlaczego nie? – rzekł w końcu. – Nikt nie skojarzy tego z tobą. Spokojnie, panie Schmid. Postaramy się nie zaplamić obrusów. Ani nie puknąć przypadkiem innego klienta.

– Ciekawe, czy dostaniemy coś nie przyprawionego trucizną – powiedział Goodnight. – Widziałaś ten wianuszek głów wyglądających z kuchni?

– Czy któraś z nich należała do Soupy'ego?

– Nie wydaje mi się. Cóż, dzisiaj zamówię chyba stek – stwierdził Goodnight. – Albo dwa. Krwiste, żeby pasowały do nastroju.

– Myślisz, że do czegoś dojdzie?

– Mam nadzieję. Jeśli nie... to może pozwolisz mi się potrzymać za rękę.

– Coś takiego grozi promiskuityzmem – odparła Riss. – Może się na przykład skończyć tańcem.

– Trudno. W takim razie się zaleję.

– Nie, nie zrobisz tego. Ja poproszę wieprzowinę na ostro i dużą miskę makaronu.

– A co do picia?

– Mrożoną herbatę.

– Zakończymy kieliszkiem wina?

– Dwa poproszę. Jeden do sałatki, jeden do głównego dania.

– Co za ekstrawagancja!

– Siądziemy przy tym stoliku, który właśnie się zwalnia. Dwa poziomy wyżej od naszego celu – powiedział

przywódca zabójców. – Dam znak, kiedy strzelać. Pierwszego zdejmijcie bestera. Jest groźniejszy.

Spada i Lopez weszli do restauracji Soupy'ego w marynarkach, pod którymi skrywali broń. Szybko rozejrzeli się po gościach.

– Mam nadzieję, że ten stary pierdziel z hotelu wiedział, co mówi – szepnął Lopez.

– Spokojnie. Jeśli ich tu nie będzie, weźmiemy coś na ząb i... Tam siedzą! – Pomachał ręką.

Riss dostrzegła ich z boksu na górnym poziomie. Odmachała i dwóch lotników zaczęło przepychać się w ich stronę.

– A to kto, do diabła? – rzucił jeden z zabójców.

– Czy to ważne? – odparł przywódca. – Zmienili układ sił. Załatwiamy naszych, potem nowych, jeśli zaczną przeszkadzać, i wycofujemy się zgodnie z planem.

Wyciągnęli blastery z ukrytych kabur. Przywódca wstał i trzymając broń oburącz, wycelował w odległego o piętnaście metrów Goodnighta.

– Patrz! – krzyknął Lopez. – Patrz na tych drani!

– Goodnight, padnij! – zawołał Spada.

Do Riss i Goodnighta podszedł kelner.

– Czy mają państwo ochotę na koktajl, zanim...?

Przywódca zabójców strzelił i kelner, który zasłonił właśnie Goodnighta, jęknął, nie kontrolowanym ruchem wyrzucił tacę wysoko w powietrze i upadł.

Riss obróciła się na krześle. W dłoni miała już broń. Trafiła drugiego zabójcę w głowę, zdmuchując mu czubek

czaszki.

Spada i Lopez biegli po rampie. Operator uzbrojenia wycelował i trafił niewielką starszą panią w plecy, uciszając ją w pół krzyku. Chwilę później sam oberwał pociskiem wystrzelonym przez trzeciego zabójcę i padł bezwładnie.

– Pieprzona majówka! – krzyknął trzeci zabójca, nurkując na podłogę. Przetoczył się parę razy, wstał i wystrzelił trzy razy na oślep.

Jakiś bardzo gruby konsument siedzący nad zupą chrząknął dziwnie i padł twarzą w talerz.

Szef zabójców pognał za podwładnym w stronę kuchni.

Spada strzelił, strącił pozłacaną statuetkę z postumentu i zaklął.

Goodnight wybiegł już z boksu i dotknąwszy dłonią żuchwy, przeszedł w tryb szybki, stając się rozmazaną smugą. Z bronią w ręku pobiegł za dwoma zabójcami, którzy zniknęli właśnie za wahadłowymi drzwiami kuchni.

– Co jest!? Tu nie wolno...!

Ober-zabójca strzelił szefowej kuchni w żołądek, nie dając jej dokończyć zdania, i pobiegł do drzwi służbowych na tyłach.

Chas wpadł do kuchni, posłał jeden pocisk w ślad za uciekającymi, ale chybił. Pocisk zrykoszetował od posadzki i strącił stos rondli, które zagrzechotały na podłodze.

Wkoło rozległy się krzyki. Riss i Spada wbiegli do środka. Pilot oparł się niebacznie o piec, zaklął oparzony i gwałtownie cofnął dłoń, niechcący ściągając przy tym język spustowy.

Pocisk trafił w wielką pieczeń zamarynowaną przez drugiego kucharza, rozpryskując wkoło krew i czerwone

wino.

Jeden z zabójców zatrzymał się w drzwiach i spróbował wycelować, ale Goodnight przeszył mu gardło. Przeskoczywszy trupa, wybiegł na korytarz i ruszył za jego szefem. Był dwanaście metrów od niego, gdy mężczyzna wskoczył do windy i zamknęły się za nim drzwi.

Goodnight, ciągle jako bester, pobiegł po schodach, lecz wpadł na nich na kuchcika z koszem owoców. Rozsypały się po stopniach i poleciały za koziółkującym Chasem.

Pozbierał się przy drzwiach windy, usłyszał, że zjeżdża ona niżej, i pobiegł dalej.

Pokonał jeszcze dwa piętra, ale winda okazała się szybsza od niego. Na samym dole ujrzał tylko, że się zamyka, i usłyszał trzaśnięcie drzwi prowadzących na zewnątrz. Zaraz potem od zewnątrz uderzyło w nie kilka pocisków z blastera, wyginając i odkształcając blachę.

Goodnight nacisnął płytkę otwierania, ale mechanizm tylko zawył. Drzwi się zaklinowały.

Odstrzelił zawiasy i wbiegł do hangaru, gdzie parkowały trzy niepozorne stateczki.

Jedna ze śluz właśnie się zamknęła i znajdujący się w niej statek uniósł się na napędzie antygravitacyjnym, wycofał się rufą na zewnątrz i zniknął w przestrzeni.

Goodnight dotknął policzka i jego świat przyspieszył.

– Niech to... – westchnął. – Nie miałem nawet kiedy podrzucić im pluskwy.

– Ja to zrobiłem – spokojnie powiedział Spada, który pojawił się zaraz za nim. – Zanim jeszcze poszliśmy was szukać.

On i Riss dyszeli ciężko.

– I wziąłem trzy patrolowce, żeby miał kto ich śledzić.

Adrenalina powoli uchodziła z Goodnighta. Skinął głową.

– Ale straciłem Lopeza – dodał Spada. – Ktoś musi za to zapłacić.

– Na górze jest cała restauracja – rzekł Goodnight.

– No to chodźmy.

Wrócili schodami i przeszli przez kuchnię do głównej sali.

– Wszyscy wychodzić! – krzyknął Goodnight, strzelając w sufit. – Lokal idzie do rozbiórki!

Przełączył blaster na ogień ciągły i przejechał serią po suficie. Ekspłodowało kilka lamp, włączyły się zraszacze. Krzyki przybrały na sile.

W drzwiach służbowych pojawił się Schmid. Twarz miał purpurową ze złości, wykrzykiwał groźby i przekleństwa. Trzymał ciężki karabin piechoty. Uniósł go i Riss strzeliła mu w pierś, a Spada dołożył swoje. Restaurator zwinął się na podłodze.

– Dobrze – mruknął Goodnight, mierząc do stojaka z winami. Uśmiechnął się, widząc pękające butelki z zielonego szkła.

Spada dostrzegł w drzwiach dwóch uzbrojonych mężczyzn. Zastrzelił jednego bez ceregieli, Riss zajęła się drugim.

Goodnight uśmiechnął się lekko.

– Lepiej już chodźmy – powiedział, nagle jednak spostrzegł na dywanie wielki stek, który spadł z tacy. Złapał go i obejrzał. – Nie jest zanadto spieczony – powiedział i ugryzł porządny kęs. – Wynośmy się z miasteczka, zanim wróci szeryf – dodał z pełnymi ustami.

– Chyba się szczyrowi kryjówki skończyły – powiedział Baldur i niewiele brakowało, żeby zatarł ręce.

– Na to wygląda – stwierdził Grok, wskazując na ekran.
– Uciekający zabójca skoczył najpierw z pasa w otwartą próżnię. Spada zdołał go wyśledzić. Przy drugim skoku wyszedł w pobliżu odległego giganta, Lodowej Czwórki, jak ją nazywają. Pilot był dość rozgarnięty, żeby nie wzywać pomocy. Może zresztą wiedział, co się stało z innymi, którzy tego próbowali. Skierował się w stronę piątego naturalnego satelity giganta. Spada był dość blisko, żeby namierzyć miejsce lądowania statku, bliżej nie podlatywał. Teraz jest w drodze powrotnej. Będzie tu jutro, razem z Riss i Goodnightem.

– Bardzo dobrze – rzekł Baldur. – Chyba pora zorganizować grupę bojową, która zniszczy ten cholerny krążownik, i będziemy mogli zakończyć sprawę.

– Może – powiedziała Jasmine, wchodząc do kabiny.

– Może? – spytał Baldur.

– Siedziałam cały czas przy komputerze i znalazłam kilka brakujących kawałków układanki. Ich niedostępność musiała być bardzo po myśli Murgatroyda. Rząd układu Foley dotąd nie podał nam koordynat tych opuszczonych baz. Zaczęłam się zastanawiać, czy kiedykolwiek je dostaniemy albo czy ktoś z obecnej na Glace grupy Murgatroyda nie usunął ich trwale z bazy danych.

– Zgadza się – powiedział Baldur, wciąż jeszcze w dobrym humorze. – Ale możemy wysłać zdalniaka na rozpoznanie, zanim na nich uderzymy.

– Chodzi o coś więcej – stwierdziła King. – Po tym, jak M’chel znalazła swoją skałę, zaciekałam się, jakie jeszcze cenne surowce znaleziono w pasie i co Transkootenay z nimi robi. Nieodżałowana Doe wspomniała mi kiedyś o pewnym górniku, Dmitrim Herndonie, który podobno znalazł inny bogaty komin diamentowy, zginął jednak zabity przez rajderów. Jego zgłoszenie uległo zniszczeniu wraz z biurem Transkootenay, w którym je złożył, jednak żadna choćby w miarę cywilizowana biurokracja nie poprzestaje przecież na jednej kopii. Zawsze jest co najmniej duplikat. Zaczęłam więc sprawdzać i trafiłam na Glace na centralny rejestr wszystkich – powtarzam, wszystkich – zgłoszeń znalezisk bogactw naturalnych w układzie Foley. Poprosiłam o udostępnienie danych. Przypuszczam, że całą tę instytucję prowadzą sklerotyczne półgłówki. Nikt z nich nie zauważył, że od pięciu lat nie wpłynął do nich żaden raport dotyczący zgłoszeń z pasa asteroid.

– Co? – spytał Baldur, tracąc ochotę na żarty.

– Tak. Te raporty powinno nadsyłać Transkootenay w imieniu górników albo sama kompania, o ile odkupiła od górników prawa do złoża. Nie ma jednak nic. Potem sprawdziłam jeszcze w Sheolu i okazało się, że Transkootenay nie otworzyło ponownie swojego biura zgłoszeń. Gdy spytałam o to, okazało się, że nikt nie ma pojęcia, kto teraz je przyjmuje.

– Sukinsyn – mruknął Baldur. – A właściwie dwoje sukinsynów. Chyba mnie zaćmiło. Tak, musiało mnie zaćmić. Pierwsze, na co powinienem był zwrócić uwagę, to stwierdzenie Rega Goodnighta, że Transkootenay od dawna nie robiło interesów z panną Winlund i jej firmą.

Tymczasem panna Winlund nie tylko powiedziała coś przeciwnego, ale ma też dokumentację konkretnych i całkiem świeżych transakcji. Drugi punkt to Tan Whitley, otwarcie dążąca do unieważnienia kontraktu Star Risk z Transkootenay. Może jest jednym z agentów Murgatroyda? Skoro brak zapisów zgłoszeń, po wyrzuceniu kompanii z układu wszyscy górnicy zostaną na lodzie. Nie będą mieli nawet z czym pójść do sądu.

– Po trzecie – wtrącił się Grok – ciekawi mnie, skąd wiedzieli o operacji Chasa i M'chel. Jak może pamiętacie, Goodnight pochwalił się, że potrzebną do realizacji planu bogatą rudę zmyślnie zorganizował, zamiast ją własnoręcznie wydobyć. Dostał ją od...

– Rega Goodnighta – powiedziała King. – Brata.

– Skoro tak, dlaczego nas zatrudnił, u diabła! – wykrzyknął Baldur. – No tak. Sami przyszliśmy i uratowaliśmy jego brata. W sumie chyba uznał, że podpisanie umowy z małą nieznaną firmą ułatwi mu robotę. Założył, że szybciej coś spieprzymy niż duża firma z ustaloną renomą. Najgorsze zaś, że gdy sprawa się wyda, zostanie łagodnie potraktowany. Wystarczy dowodów, żeby wylali go z pracy, ale zabraknie na wyrok. Nie wiem, jaką rolę odgrywa w tym Cerberus. Czy tylko czeka, czy już działa. Nowotny wyglądał na zdumionego, gdy wspomniałem o Mar Trac, ale mógł przecież grać.

– Dlaczego Reg zdradził Transkootenay? – spytała King. Baldur pokręcił głową.

– Tego też nie wiem – powiedział. – Sądzę jednak, że zdradziłby nam ten sekret, gdybyśmy na chwilę podłączyli go do prądu.

– To może zadzwonisz do niego i umówisz się na

spotkanie? – zaproponował Grok.

– Niezły pomysł. Nawet jeśli niczego nie powie, odetniemy go od świata do czasu, gdy dopadniemy krążownik. – Baldur podszedł do konsoli łączności i wybrał numer.

Na ekranie pojawiła się twarz sekretarza Goodnighta.

– Dzień dobry, panie von Baldur.

– Dzień dobry, Mikael. Czy mogę rozmawiać z Regiem?

– Obawiam się, że nie. Pan Goodnight wyjechał na dłuższą inspekcję naszych zakładów.

– Powiedział, które z nich zamierza odwiedzić?

– Nie. Stwierdził, że to ma być niezapowiedziana inspekcja, która da naszym pracownikom trochę do myślenia.

– Jaką wziął eskortę?

– Żadnej. Powiedział, że jej nie potrzebuje.

Von Baldur uśmiechnął się, jakby wszystko zrozumiał.

– Jeśli się odezwie, niech pan go poprosi, żeby się ze mną skontaktował – rzekł. – To bardzo ważne.

Ekran pociemniał.

– Co za zbieg okoliczności – mruknął Baldur.

– Jeśli to nie prawdziwa inspekcja, powinniśmy się zastanowić, co wywołało alarm – powiedział Grok.

– Kto wie? – zastanowiła się King. – Może ktoś z tych gryzipiórków błysnął jednak intelektem, może był na ich żołdzie. Albo ktoś tutaj zameldował, że szukam starych zapisków. Sądzę, że powinniśmy przyjąć najgorszy wariant, czyli że Reg Goodnight wie o naszym odkryciu. A dlaczego wszedł do spisku? Mogło chodzić po prostu o pieniądze. Jestem pewna, że płacili mu znacznie więcej niż Transkootenay. On zaś był im potrzebny do płynnego

przejęcia dorobku firmy i jednoczesnego skasowania roszczeń wszystkich górników. Tak czy owak musimy działać szybko. Murgatroyd może niebawem spróbować frontalnego uderzenia. Ponadto mógłby poczynić konkretne ruchy na Glace, na przykład postarać się o unieważnienie licencji Transkootenay i tym samym naszej umowy, przez co zostalibyśmy na lodzie: nieźle poinformowani, ale z pustką w kieszeni.

– Jest jeszcze jedna niemiła ewentualność – powiedział Grok. – Że Reg wciągnął do spisku brata.

Baldur zamyślił się i skrzywił.

– Nie przypuszczam – odrzekł.

– To prawdopodobne – stwierdziła King. – Z moich wyliczeń wynika, że Chas może być podwójnym agentem, dobrowolnie wystawiającym się na niebezpieczeństwo uwiarygodniające go w naszych oczach. Ale to niczego nie przesądza. Cała ta sprawa obfituje w wątpliwości. Baldur uspokoił się nieco.

– Cieszę się, że nasz czołowy analityk tak mówi.

– To musi być Reg – powiedział z ponurą miną Chas Goodnight. Chodził tam i z powrotem po mesie *Boopa*. – Wspominał mi, że mierzi go to, jak Transkootenay traktuje ludzi. Że nie toleruje żadnych błędów, z miejsca posyła na zieloną trawkę. Może nie był tam tak hołubiony, jak mi opowiadał. Twierdził też, że jest bliski wypalenia. – Goodnight skrzywił się kwaśno. – Albo też odezwały się w nim te same kryminalne ciągoty co we mnie. Tak czy owak, biorąc pod uwagę, ile razy mnie wystawił, nie mam zamiaru się nad nim litować. – Podszedł do iluminatora i spojrzał na płytę lądowiska. – Chcę poprowadzić zwiad na

ten księżyc i zgadzam się, że powinniśmy działać jak najszybciej – dodał.

– I tak byś go poprowadził – powiedział Baldur. – Musi ci jednak być teraz ciężko i...

– To inna sprawa, bez znaczenia dla operacji – odparł Goodnight. – Ale potrzeba mi jakiegoś zajęcia, żeby o tym nie myśleć.

– Przyda ci się ktoś do pary.

– Poradzę sobie sam.

– Nie wygłupiaj się.

– I ja tym razem nie zostanę z tyłu – oznajmił Grok. – Potrzebuję trochę ruchu.

Goodnight zawahał się, w końcu jednak pokiwał głową.

– Dobra – rzucił. – Pora na kolejny kij w mrowisko.

Księżyc zwany po prostu Piątym był nagim skalnym globem orbitującym 200 tysięcy kilometrów od macierzystej planety. Jego powierzchnia zryta była kraterami, przecinały ją kaniony o pionowych zboczach.

Sygnał transpondera podrzuconego na statku zabójców ograniczył obszar poszukiwań do kwadratu o boku dziesięciu kilometrów, zanim jego źródło zasilania się wyczerpało.

Niestety, kwadrat wypadł w najbardziej górzystej części księżyca.

– Jedyne dobre, co można powiedzieć o tym kawałku skały, to że muszą tu być wspaniałe zachody słońca – powiedział Spada, spoglądając przez szyby pokładowego ogrodu zimowego na wiszący nad nimi masyw Lodowej Czwórki.

– Nie dla mnie – stwierdził Goodnight. – Cały czas miałbym wrażenie, że ten grzmot na mnie spadnie. Też mi zachody słońca.

Riss uświadomiła sobie nieco zdziwiona, że to pierwszy żart, na który Chas zdobył się od opuszczenia Mfiru.

Patrowiec Spady parkował wraz z bocznym za innym księżycem giganta. Reszta jednostek Star Risk wymknęła się z Mfiru pojedynczo lub parami, żeby nie budzić podejrzeń szpiegów, których Murgatroyd musiał mieć na planecie. Lepiej, by nie uznali, że Star Risk wpadł w panikę albo – co byłoby jeszcze gorsze – przeszedł do działania. Obecnie patrolowały okolice pasa i czekały na rozkazy.

Spada umieścił satelitę komunikacyjnego na orbicie

odległej o pół miliona kilometrów od planety i wszystkie transmisje były przekazywane wąską wiązką za jego pośrednictwem. Małe były szanse, aby piraci zauważyli krótkie szyfrowane sygnały przemykające między *Boopem* a Spada.

Grok oprócz siebie zabrał tonę rozmaitej elektroniki, która wypełniła znaczną część patrolowca, zmuszając załogę do życia w ścisku.

Goodnight i Riss poczekali, aż pomrukujący ze szczęścia kudłacz sprawdzi wszystkie odczyty. Zajęło mu to prawie dobę.

– Murgatroyd nie jest taki głupi – oznajmił w końcu.

– Nigdy tego nie zakładaliśmy – zauważyła Riss.

– Zafundował sobie wczesne ostrzeżenie – wyjaśnił Grok. – Szczęśliwie dla nas wykorzystał parę satelitów, które orbitują dziesięć kilometrów nad tym małym księżycem. Jeszcze w zasięgu jego pola grawitacyjnego.

– Dlaczego szczęśliwie? – spytał Goodnight.

– Sprawdziłem je ostrożnie na kilku częstotliwościach. Nie są najlepszymi strażnikami. Przypuszczam, że chodzi o typ HRNY, model siedem albo osiem. Oczywiście z demobilu Sojuszu.

– Albo i kogoś innego – mruknęła Riss. – Ten osobliwy akronim...

– Co? – spytał Grok.

– Nieważne. Możesz je usmażyć?

– Nigdy nie zrobiłbym czegoś podobnego – odparł Grok.

– Brak sygnału byłby równie znaczący jak alarm. Nie, zamierzam dopilnować, aby odbiornik na powierzchni odbierał meldunki, że nic się nie dzieje. Wtedy będziemy mogli przejść do drugiej fazy operacji i precyzyjnie ustalić

położenie ich bazy, żebyśmy nie musieli biegać po górach jak kozice.

Grok wrócił do swojej elektroniki. Dwie godziny później nadeszła wiadomość. Riss przepuściła ją przez dekodery.

PATROLOWCE MELDUJĄ OBECNOŚĆ CZTERECH BANDYTÓW W PASIE. NIE ATAKUJEMY, ŚLEDZIMY. CHYBA PROWADZĄ ZWIAD ZAKŁADÓW PRZETWÓRCZYCH TRANSKOOT. NIC POZA TYM. NIE WIEMY, CZY COS PLANUJĄ. NIE PODOBA MI SIĘ TO, PODEJMUJĘ STOSOWNE DZIAŁANIA. VON BALDUR.

– Jakie stosowne działania? – zdziwił się Goodnight.

– Diabli wiedzą – powiedziała Riss. – Freddie sam nam powie, gdy przyjdzie mu na to ochota.

Nieco później Grok wystrzelił jedną ze swoich zabawek: zmodyfikowany pocisk bez główicy bojowej.

Nowy operator uzbrojenia w patrolowcu Spady, kobieta imieniem Nkrumah, na minimalnej mocy podprowadził ptaszka do Piątego i przeszedł na dużej wysokości nad wyznaczonym obszarem poszukiwań. Potem sprowadził zdalniaka nisko nad powierzchnię tuż obok krawędzi kwadratu.

Na pokładzie wszyscy zniżyli głos do szeptu, jakby Murgatroyd mógł czaić się tuż obok.

Po pierwszym przejściu Nkrumah pokręciła głową i zawróciła do kolejnego. Za każdym razem czujniki pocisku pokrywały pas terenu o szerokości dwustu metrów.

Za trzecim razem uśmiechnęła się.

– Mamy ślad w podczerwieni – oznajmiła. – Dwa ślady.

Daje wam to coś?

– Nałożę mapę terenu – powiedział Grok. – Owszem, daje. Impulsy pojawiły się dokładnie tam, gdzie coś przegradza kanion. Zapewne wykorzystali naturalną formację terenu, aby zbudować bazę, a potem dodali izolację i maskowanie. Chyba warto zbadać dokładniej ten rejon. – Spojrzał na Spadę. – Możesz nas przerzucić. Sugerowałbym ładne niskie podejście z drugiej strony, podobnie jak podszedł pocisk. Poniżej horyzontu radarowego, na wypadek gdyby mieli dodatkowy system ostrzegawczy. Lądowanie tutaj, za tą górą.

– Dzięki za cenne wskazówki, panie prelegencie – odparł z sarkazmem Spada. – No i oczywiście wrócę na gwizdnięcie.

Patrolowiec przyziemił łagodnie, wzbijając tuman pumeksowego pyłu. Otworzył się wjazd i Riss, Goodnight oraz Grok zeskoczyli na skały. Odziany w obszerny skafander obcy wyglądał jeszcze bardziej groteskowo niż zwykle.

Goodnight pomachał pilotowi i poprowadził swój oddziałek przez skalistą okolicę. Wędrówka nie należała do łatwych. Skalne formacje wyrastały niczym postaci z koszmarne snu. Chas i Riss, przywykli przecież do wysiłku, łapali ciężko powietrze. Grok był w trochę lepszej formie.

Gdy znaleźli dogodną niszę, Riss połączyła przewodami skafandry całej trójki. Odczekała, aż chrapliwe oddechy trochę się uspokoją, i włączyła mikrofon.

– Idziemy do samego kanionu – oznajmiła, choć było w tym też coś z pytania.

– Tak – potwierdził Goodnight.

– A tam co? – zapytała go Riss.

– Tam sprawdzimy, czy baza jest zamknięta i zahermetyzowana. Lepiej, żeby nie była. Gdyby wszyscy nosili tam skafandry, łatwiej byłoby mi wniknąć do środka.

– Chwila. Dlaczego tylko tobie? – spytała podejrzliwie Riss.

– Bo wejdę tam sam – stwierdził zdecydowanie Chas. – W pojedynkę. Ty masz czekać na zewnątrz, gotowa wezwać pomoc. Grok też, jako ewentualne wsparcie.

– To trochę za wiele jak na zwiad – zauważyła.

– I oni pewnie tego nie oczekują, co powinno oszczędzić nam przykrych niespodzianek – powiedział Goodnight. – Chyba.

Riss postanowiła na razie nic nie mówić.

– Ruszajmy dalej – odezwał się Chas. – Dobrze będzie dotrzeć na miejsce, zanim zdecydują, co robić. Na razie chyba czekają i analizują sytuację.

Napili się z układu odzyskiwania wody i poszli.

Byli około dwóch kilometrów od kanionu, gdy wciąż prowadzący Goodnight poczuł wibrację gruntu pod stopami. Skinął na pozostałych, żeby poszukali sobie ukrycia między skałami.

W wiecznym półmroku spowijającym Piątego dostrzegli cztery patrolowce N'yarów wznoszące się ku niebu i znikające w dali.

Goodnight pomachał na towarzyszy i podjęli marsz.

Bazę zauważyli kilometr dalej. Nad kanionem wisiała zakotwiczona na brzegach gęsta metalowa kratownica kryjąca kopułę z wielu warstw tworzywa. Z jednej strony konstrukcja zamykająca kanion zamontowana została na

przewodnicach, tworząc wrota olbrzymiego hangaru.

Riss pokiwała głową z uznaniem. Niezła robota.

Grok wskazał na pobliski krater. Schowali się w nim i ponownie połączyli przewodami skafandry.

– Tam dalej jest jakiś wąż, zapewne inspekcyjny – powiedział Goodnight. – Skorzystam z niego i spróbuję się rozejrzeć.

– A jeśli wpadniesz w kłopoty? – spytał Grok.

– Wezwę pomoc na częstotliwości wartowniczej. Potem przejdę w tryb szybki, rozrzucę trochę granatów i będę zwiewał gdzie pieprz rośnie. Byłoby fajnie, gdybyście czekali wówczas przy wężu i załatwili każdego, kto miałby ochotę mnie ścigać.

– To najmarniejszy plan, o jakim słyszałam – powiedziała Riss.

– A masz lepszy?

Riss pokręciła głową.

– Tylko taki, aby wracać na łajbę i poprosić Freddiego o porządny nalot w nadziei, że krążownik jest w hangarze – odrzekła. – Tam, a nie na niebie, gotowy do kontruderzenia – dodała.

– Wrócę mniej więcej za godzinę – stwierdził Chas.

Odłączył przewód i podszedł do wężu. Riss pomyślała, że Goodnight nawet w skafandrze porusza się ze sporym wdziękiem.

Poczekala, aż przyklnie, znajdzie sposób na otwarcie wężu i zejdzie w głąb.

– Wydaje mi się, że nasz Chas coś kombinuje – powiedziała.

– To na pewno najosobliwsza operacja, w jakiej zdarzyło mi się brać udział – zgodził się Grok.

– Obawiam się, że chce odszukać brata i zemścić się na nim.

– To niedobrze.

– Niedobrze. Chcę iść za nim. Chętnie razem z tobą, żebyś załatwił każdego, kto by o nas źle pomyślał. Co ty na to?

– Nie widzę problemu.

Podeszli do wjazdu, który był dość duży, aby pomieścić ślizgacz.

Pod nimi rozciągała się baza rajderów, wielka jaskinia oświetlona zawieszonymi na kratownicy reflektorami. Krążownik stał na samym środku wolnej przestrzeni. Obok parkowały patrolowce N'yarów i jeszcze jakiś statek.

Ściany zostały częściowo wycięte w skale, wygładzone i wzmocnione. Widać było w nich duże podwójne okna jakichś pomieszczeń.

Na podłodze oraz na pomostach poruszały się liczne postaci w skafandrach. Chas był jedną z nich. Wtapiał się w tłum. W bazie noszono skafandry cywilne, wojskowe, zdarzały się nawet obcej konstrukcji. Nikogo nie dziwił ciężki plecak z amunicją, który Goodnight zabrał na dół, a ciężki blaster do pary z ręcznym nie robiły tam na nikim wrażenia. Wiele osób miało jakąś broń.

Chas trafił na wysunięty pomost, ogarnął spojrzeniem hangar i rozpoznał statek brata. Bezwiednie się uśmiechnął, smutno, pokazując zęby, i zszedł po pajęczych schodach na dół.

M'chel postukała w hełm Groka i zetknęła z nim swój.

– Idę za nim – powiedziała.

– To niemądre – odrzekł. – Mamy tylko przeprowadzić zwiad.

– Zwiad tak. O tym, czy mądrze, nic nie było.

– Fakt – zgodził się Grok. – Poza tym nie ma to jak kilka trupów o poranku, prawda?

Goodnight zszedł na podłogę i skierował się do statku brata. Był pusty, miał otwarty właz.

Zastanowił się i spojrzał na człowieka prowadzącego wózek z generatorem. Goodnight podszedł do niego krokiem kogoś bardzo pewnego siebie. W skafandrze było to nawet łatwe.

Pokazał mechanikowi wtyczkę interkomu. Mężczyzna uniósł oczy do nieba, zapewne mając dość szwendających się po bazie szefów i ich pomysłów, ale podłączył kabel.

– Co cię dręczy? – odezwał się.

– Czyj to statek? – spytał Goodnight.

– Jakiejś szychy. Przyleciał kilka dni temu.

– Musimy go przesunąć, żeby zrobić miejsce dla nowych.

– Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? – jęknął mechanik. – Miałem tylko podłączyć tę skrzynkę i sprawdzić, dlaczego antygrawy mają czkawkę.

– Nic mnie to nie obchodzi – powiedział Chas. – Gdzie znajdę pilota? Przecież nie będę sam targał tego złomu, zwłaszcza jeśli antygrawy nawalają.

– A skąd mam wiedzieć? – rzucił mężczyzna. – Spytaj tego ważniaka. O ile odważysz się go fatygować. Cała wierchuszka jest na górze, mają jakieś zebranie. Chyba chcą wreszcie zwinąć ten cyrk, co bardzo mi pasuje. Nigdy więcej kontraktu, który zmusza do siedzenia w jakiejś śmierdzącej dziurze.

– Gdzie znajdę tego ważniaka?

– Pewnie na górze, jak mówiłem. Gdzieś na poziomie

dowodzenia. – Mężczyzna wskazał ogólnie w kierunku przeciwnym do podłogi.

– Jak się nazywasz?

– Nijak – powiedział mechanik, wyciągając wtyczkę z gniazda swojego skafandra.

Goodnight uznał, że niemądrze byłoby naciskać. Ostatecznie ktoś nawet w miarę ważny powinien znać rozkład pomieszczeń w bazie. Pokiwał więc głową, zwinął kabel i ruszył z powrotem ku schodom. W połowie drogi zobaczył windę i skręcił w jej stronę.

Obok pojawiła się nie zidentyfikowana postać, która podała mu kabelek.

Wziął go z irytacją.

– Co jest? – spytał.

– Wyglądasz, jakbyś potrzebował towarzystwa – powiedziała Riss.

Goodnight omal nie podskoczył.

– Cholera jasna, powiedziałem ci... – warknął.

– I co z tego? Nie możesz mi rozkazywać, Chas. Nie pamiętasz? Raz, że jesteśmy współnikami, a dwa – mam wyższą rangę.

– Możesz zginać przez takie numery.

– A ty nie?

Goodnight poczuł, że jego lodowy pancerz trochę się nadtopił.

– Mówił ci już ktoś, że jesteś idiotka? – spytał z lekkim uśmiechem.

– Nie raz. A ty słyszałeś, że jesteś jeszcze gorszy?

Weszli do windy i pojechali na samą górę. Goodnight streścił po drodze rozmowę z mechanikiem.

– I co zamyślasz? – spytała Riss.

- Chcę odszukać Rega.
- Tak też przypuszczałam.

Drzwi windy otworzyły się i poszli w kierunku służy. Przez okna mogli się przyjrzeć obszernym biurom po drugiej stronie. Kręcili się po nich ludzie w ubraniach z eleganckich sklepów, biurka były chyba z prawdziwego drewna.

Przed służą siedziało za stołem dwóch uzbrojonych mężczyzn. Jeden z nich wstał i uniósł rękę.

Riss i Goodnight zatrzymali się posłusznie.

Mężczyzna postukał się w pierś, na której nosił plakietkę identyfikacyjną, i wyciągnął rękę, żądając, aby okazali swoje.

Riss uśmiechnęła się i zastrzeliła go. Jego partnerowi opadła szczeka, zaraz jednak sięgnął po blaster. M'chel uporała się z problemem, zanim Goodnight uniósł broń.

Chas z ukłonem wskazał Riss służę. M'chel ponownie się uśmiechnęła i weszła, Goodnight przekroczył próg zaraz za nią.

Zamknęły się drzwi, zasyczało wpuszczane powietrze. Goodnight włączył zewnętrzny mikrofon.

- Jak chcesz ich załatwić? – zapytał.

Riss zmarszczyła brwi, jakby niczego nie słyszała, i otworzyła hełm.

Chas zrobił to samo.

- Co z twoim...? – zaczął.

Riss otwartą dłoń uderzyła go mocno w czoło. Głowa Goodnighta szarpnęła się w hełmie i ciało bestera zwiotczało.

– Biedaku – mruknęła Riss – nie zasłużyłeś sobie, aby żyć z pamięcią tego, co zamierzałeś zrobić. – Przeciągnęła

go w narożnik śluzy. – Poleż tu sobie trochę, jak ofiara przemocy domowej. Wrócę, gdy tylko zrobię z siebie kompletną idiotkę.

Zamknęła hełm, otworzyła wewnętrzne drzwi śluzy i wyjęła z plecaka parę granatów.

Ta część bazy należała już do świata słońca i powietrza. Przy recepcji czekały na wezwanie trzy osoby, dwóch mężczyzn i kobieta. Robili co mogli, aby jakoś wysiedzieć na nowoczesnych krzesłach.

– Czym mogę służyć? – spytał z uśmiechem recepcjonista.

Riss nie odpowiedziała, tylko odbezpieczyła pierwszy granat i pokulała go pod recepcję. Zaraz potem poleciał drugi.

Ten drugi eksplodował pierwszy, robiąc całą masę hałasu i niewiele poza tym. Kobiety zanosły się krzykiem. Pierwszy, gazowy, zadziałał sekundę później.

Gaz rozszedł się po pomieszczeniu. Ludzie zaczęli łapać się za gardła, chwiać się na nogach i przewracać.

Riss zaraz o nich zapomniała, kierując się ku właściwym biurom.

Jakiś mężczyzna wyszedł stamtąd i spojrzał ze zdumieniem na rozkręcające się pandemonium. Potem dostrzegł broń w ręku M'chel i sięgnął po mały blaster noszony w kaburze pod pachą.

Riss zastrzeliła go, na wszelki wypadek rzuciła granat do jego pokoju i ruszyła ku sali konferencyjnej.

Strzegły jej podwójne drzwi z absolutnie prawdziwego drewna. Jej blaster szybko sobie z nimi poradził.

W środku ujrzała długi stół, przy którym siedziały cztery osoby wpatrzone w jakieś dokumenty. Wokół jaśniały

ekrany. Obecni dopiero po chwili spojrzeli w jej stronę. Ktoś zerwał się na równe nogi.

Riss nie знаła tu nikogo. Poza jedną osobą.

Regiem Goodnightem.

Przez chwilę żałowała, że to nie powieść i nie znajdzie nawet sekundy, aby powiedzieć Goodnightowi, że oto wreszcie przyszła spłacić dawny dług.

Odstrzeliła mu głowę i odruchowo rzuciła dwa granaty. Zaraz potem skierowała się z powrotem do służby, na wszelki wypadek strzelając tu i ówdzie.

– Co za idiotka, co za idiotka, co za idiotka – powtarzała po drodze.

Zawyły alarmy.

M'chel wbiegła do służby i uderzyła w przycisk zamykania drzwi. Chas powoli się podnosił i chyba zbierało mu się na mdłości.

– Zapnijcie się, żołnierzu – powiedziała. – I nie próbujcie rzygać w hełmie.

Pokiwał nieprzytomnie głową i zrobił, co należało.

Powietrze uleciało ze służby i wycie alarmu ucichło.

Riss z daleka dostrzegła biegnących po schodach ludzi z ciężkimi blasterami. Zastrzeliła pierwszych trzech i pochyliła się, gdy ładunek gwizdnął tuż obok niej.

Półprzytomny Chas zdołał jakoś unieść blaster i nawet otworzył ogień. Niekoniecznie celny, ale zmusił strażników, żeby poszukali ukrycia.

Kolejne pociski nadleciały gdzieś z góry. Riss uniosła głowę i ujrzała Groka klęczącego na pomoście i systematycznie wybijającego okna w przylegających do hangaru pomieszczeniach.

Nagle olbrzym zdumiewająco szybko pognał pomostem,

zrywając z siebie plecak.

Riss nie pojmowała, co on właściwie robi, i nie miała czasu się nad tym zastanawiać. Pchnęła Goodnighta na górę, ku najwyższemu pomostowi.

Grok był już o sto metrów od niej i właśnie grzebał w plecaku.

M'chel nagle zrozumiała, o co chodzi.

Kilkadziesiąt metrów niżej szarzała bryła krążownika. Dokładnie pod Grokiem znajdowała się otwarta śluza wiodąca wprost do centrali.

Futrzak zakręcił plecakiem niczym starożytną procą i puścił pasy.

Plecak poleciał daleko, uderzył w dziobowy stabilizator okrętu i spadł na rampę przed śluzą. W tej samej chwili eksplodował odbezpieczony przez Groka granat, powodując detonację całej zawartości plecaka. Kula ognia wdarła się do śluzy.

Grok biegł już z powrotem w kierunku Riss. Nie zatrzymując się, zgarnął Goodnighta pod pachę.

Przerażeni nadciągającą katastrofą piraci stracili wszelkie zainteresowanie trojgiem intruzów, którzy ile sił w nogach uciekali do włazu. Gdy wychodzili na zewnątrz, krążownik skrywały już kłęby dymu.

M'chel najchętniej padłaby na skaliste podłoże, ale nie było na to czasu. Dym zaczął się przesączać przez izolację kopuły.

Dwa razy próbowaliśmy, w końcu za trzecim się udało, pomyślała.

Potykając się i zataczając, przebiegli jakieś dwieście metrów, gdy na ich drodze znalazł się bezpiecznie głęboki krater. Skoczyli do niego i wczepili się palcami w skałę.

Chwilę później poczuli drżenie ziemi od pierwszych eksplozji.

Zaraz potem cała okolica zatrzęsa się, jakby księżyc umyślił się rozpaść. Z bazy wystrzeliła wielka kolumna ognia, błyskawicznie pożerając kopułę i pochłaniając całą bazę. Krążownik eksplodował.

Troje uciekinierów wstało i spojrzało po sobie.

Nikt nie sięgnął po kabel interkomu.

Żadne słowa nie były potrzebne.

Odwrócili się i wolno poszli ku miejscu, gdzie czekał na nich Spada.

Grok wyszedł z pomieszczenia rekreacyjnego *Boopa* i pokręcił głową.

– Oto wielka ironia losu – powiedział.

– Co mianowicie? – spytał Goodnight, który tego wieczoru opiekował się troskliwie wielką butlą brandy. I swoim nieco posiniałym czołem.

– Nowiny z Glace – wyjaśnił Grok. – Ogłoszono właśnie, że rząd zdecydował o unieważnieniu umowy z Transkootenay Mining. Jako powód podano niesatysfakcjonujące ekonomicznie wyniki współpracy.

Chas zrozumiał.

– To znaczy, że nam nie zapłacą! – zawołał.

– Tak, to ironia – powiedziała Riss. – Chociaż chwilowo mi nie do śmiechu.

– Gorzka ironia – zgodził się Grok. – Nie wspominając o tym, że nigdy już się nie dowiemy, kim był Murgatroyd ani czy dopadliśmy ich wszystkich.

– Zapewne nie – mruknęła Riss. – Wątpię, aby Mar Trac bywała w bazie na Piątym. Ona i ci, którzy przepchnęli tę decyzję rządu. Dopadliśmy tylko wykonawców.

– Takich jak mój brat – stwierdził Goodnight z dziwnym wyrazem twarzy. – I większość ludzi od czarnej roboty. Ale pewnie i z nich wielu ocalało. Gdyby Reg przyczytał się i okopał na kilka tygodni, częstując wszystkich jakąś logiczną gadką, byłby teraz wygrany.

– Racja, to nie jest szczęśliwe zakończenie – powiedziała Riss.

– Tyle zmarnowanego czasu – jęknął Goodnight. –

Kurwa mać. Gdzie są King i Freddie? Wypieprzajmy z tego świata i z tego układu, żebym mógł się nad sobą poużalać.

Riss, która wolała nie wspominać Rega, spojrzała w iluminator.

– Idą – oznajmiła. – Powiedzmy im, co zaszło, i lećmy stąd.

Baldur jednak się nie zmartwił, King zaś nie przestała się promiennie uśmiechać.

– Dobra – syknęła Riss. – Czy możecie mi wyjaśnić, skąd ta mina kota, który zjadł kanarka, i dlaczego nie posypujecie głowy popiołem?

– Po pierwsze trzeba zająć się tym – powiedział Baldur, stawiając na stole sporą paczkę. Wyjął z niej butelkę szampana.

– Nie wiedziałem, że mają tu takie rzeczy – zdumiał się Chas. – Prawdziwy ziemski taitinger.

– Otwórz, nalej i wyjaśnimy wam, dlaczego decyzja rządu Foley nie ma dla nas najmniejszego znaczenia.

– Kilka tygodni temu zaciekawilo mnie, co Transkootenay robi z różnymi cennymi kopalinami, na które można tu trafić oprócz rudy – powiedziała King, zanim jeszcze korek wyskoczył z butelki. – Diamentami, rzadkimi metalami i tak dalej. – Spojrzała na Riss. – Zainspirował mnie oczywiście twój Kinnison. Wyobraźcie sobie moje zdumienie, gdy w towarzyskiej rozmowie z parą mineralogów dowiedziałam się, że Transkootenay trzymało to wszystko tutaj, na Mfirze. Nie wiem, pod jakim pretekstem i czy zawsze tak robili, czy też może był to pomysł pana Goodnighta. Tak czy owak cenne kopaliny nie trafiały na Glace, nie wysyłano ich też do centrali Transkootenay. Być może Reg trzymał je w charakterze

rezerwy finansowej na niespodziewane wydatki albo osobistego łupu. Ale teraz to już nieważne. Razem z Friedrichem wszczęliśmy poszukiwania tego skarbu i trafiliśmy na niego w sejfie pewnego banku na przedmieściu. Zupełnym przypadkiem mieliśmy akurat przy sobie wystawione przez Transkootenay Mining upoważnienie do odbioru depozytu i wyekspediowania go do prawowitego właściciela. – Wskazała na iluminator. – Te dwa opancerzone ślizgacze z ochroną przy bramie mają zabezpieczyć załadunek tego bogactwa na *Boopa*.

– Niech mnie – wyjąkał Chas. – Więc nie jesteśmy spłukani.

– Nie jesteśmy – potwierdziła King.

– A jeśli jeszcze ktoś zacznie tego szukać? – spytała M'chel.

– Och, ci paskudni piraci, rabowali wszystko, co im w ręce wpadło! – wykrzyknął Baldur.

– Ale wciąż nie wiem, jaką rolę odegrał w tym Cerberus – powiedziała Riss. – I czy w ogóle jakąś odegrał.

– Bardzo dobre pytanie – rzekł Baldur. – Wszystko zdaje się wskazywać na to, że nie sprzymierzyli się z Murgatroydem. Pewności nie mamy, ale nie trafiliśmy na żaden ślad poza gadaniem Nowotnego. Nie liczę bomby, która zapewne miała nas przede wszystkim zastraszyć. Sądzę, że węszyli tylko wkoło, licząc na jakieś zyski.

– Może i straszili, ale naprawdę mogli nas zabić tą bombą – stwierdziła King. – Gdyby nie twoja przebiegłość, zeszkrobywaliby nas ze ścian. Gdy następnym razem znajdziemy się w podobnej sytuacji, będę już wiedziała, co robić.

Wciąż nieco zagubiony Goodnight wypchnął korek

kciukami. Szampan natychmiast się zapienił. Chas napełnił kieliszki.

– Więc bywają jednak szczęśliwe zakończenia – powiedziała rozmarzona Riss.

– Oczywiście – stwierdził radosnym tonem Baldur.

– Ani przez chwilę w to nie wątpiłam – dodała King.

Chas Goodnight uniósł kieliszek.

– Za zbrodnię! – zawołał.

Członkowie zespołu Star Risk zgodnie podjęli toast.